

John Silver Cleland

PAMIĘTNIK
ZABAWKI



Rozdział pierwszy

Moja dobra matka, Agata z Kew, mawiała, że wyrosnę na porządnego człowieka. Ilekroć przynosiłem do domu dobre stopnie, a byłem uczniem pilnym i pojętnym, rodzicielka patrzyła na mnie z rozczeniem i przygarniając mą kasztanową główkę do obszernego łona naszeptywała tylko nam dwojgu znanym językiem cudowną baśń o naszej wspólnej, słodkiej przyszłości. Miałem zostać podporą jej sędziwych lat i żywicielem silnie rozrosłej rodziny. Dla mojej matki szczęśliwa wizja hordy wnucząt zdawała się najpiękniejszą na ziemi.

Gdy więc wspominam te matczyne rojenia robi mi się na przemian smutno i wesoło. Bowiem, tak naprawdę, nigdy nie lubiłem dzieci. Sam będąc dzieckiem miałem się za brzydala, a moja wyobraźnia, niczym u noworodka, nie wybiegała poza najprymitywniejszą chęć stania się jak najszybciej dorosłym. I rzeczywiście, całe me postępowanie, a i zabawy, którym się oddawałem, cechowało potęgujące się z wiekiem zniecierpliwienie, jakbym zawczasu wiedział, iż moja dziecięcość naznaczona jest niedoskonałością tyleż irytującą, co możliwą do przezwyciężenia. Lekarstwem był czas, a „błąd” natury zanikał z każdym rokiem. Oto cechy męskie, cechy płci zaznaczały się w mym ciele coraz wyraźniej, głos załamywał się pod wpływem mutacji, na twarzy zjawił się jasny puszek, który rychło zgęstniał — aż na moje czternaste urodziny dobrotliwy ojciec, Mateusz z Kew, polecił mi po raz pierwszy sięgnąć po brzytwę.

Los mego rodzica zasługuje na uwagę. Uprawiał zawód typowy dla naszych okolic. Rybołówstwo w zimnych wodach zatoki utrzymywało całe pokolenia porządných ludzi z Kew nie przynosząc im jednak pewności jutra. Ryby przyływały nieregularnie, całymi miesiącami ginąc w chłodnych odmętach Północnego Morza i wówczas maleńkie Kew dojadło ostatnie kęsy. Był to czas biadolenia kobiet, zdwojonej potencji mężczyzn i najliczniejszych poczęć. Ja także zostałem powołany na świat w jednym z tych smutnych, ogarniętych miłosną gorączką wieczorów. Nazajutrz ojciec wypłynął w morze, aby po raz kolejny stwierdzić, że ryby ominęły rodzinną zatokę. Po powrocie do domu objął szeroką kibić mej matki i wypowiedział słowa, które ona z lubością powtarzała, kiedym przytulony słuchoł jej szeptu płynącego jakby spomiędzy krochmalonego fartucha i ciężkiej, samodziiałowej spódnicy: „To będzie chłopak, któremu powiesz się w życiu!” Poczciwiec miał rację, gdyż przecucia szczęścia nie omijają także maluczkich, kiedy przypadnie im w udziale spłodzić dziecię o szczególnych talentach.

Mówiłem już, iż uważałem się za brzydala. Nie odpowiadało to jednak prawdzie, której dają posłuch rybacy z Kew. Ojciec rychło zauważył, iż jestem delikatniejszy niż inne dzieci, co z początku niepokoiło go, albowiem nie odróżniał subtelności od słabości. Tymczasem, wraz z upływem lat, rosłem wcale niezgorzej, choć moja skóra, nogi i ręce wyróżniały mnie spośród ogorzałych dzieciaków do tego stopnia, iż rychło przewzano mnie paniczkiem. Przewisko bolało, lecz utwierdzałem mych rówieśników w jego trafności prezentując coraz to nowe świadectwa, że istotnie — mam w sobie coś z pańskiego dziecka. Myłem się często i z przyjemnością, czesałem swe długie, kasztanowate włosy, za które tak chętnie ciągnięto mnie w szkole, pielęgnowałem paznokcie, a kiedy młodzieńczy trądzik musnął gładkość mych policzków wpadłem w prawdziwą rozpacz, ukradkiem przemywając brzydką wysypkę skradzionym z kuchni mlekiem.

Nie dziwię się więc ojcu, iż nie umiał mnie pojąć. Chyba też zapomniał o swej radosnej wróżbie zaprzątnięty ciężkim i prymitywnym zdobywaniem środków do życia. Rychło w Kew zaszły duże zmiany. Pewnego lata ryby nie powróciły więcej. Nasza rodzina stanęła w obliczu nędzy, a ojciec rad nie rad udał się na służbę do sąsiedniego majątku Fontenbarry — lorda znienawidzonego za swą pychę i grodzenie miasteczkowej łąki.

Praca mego rodzica polegała na czyszczeniu stajni. Od dnia, kiedy po raz pierwszy zaczęliśmy jeść lordowski chleb ojciec, zawsze dosyć zamknięty w sobie, spochmurniał jeszcze bardziej. Stał się opryskliwy, a nawet ordynarny, toteż moja ujawniająca się z wiekiem subtelność gniewała go i drażniła. Wreszcie, gdy sypnęła mi się broda uznał, iż nadszedł czas, abym zarabiał na życie. Sobie wiadomym sposobem wyjednał mi pracę pomocnika w stajni i odtąd udawaliśmy się rankiem do kamiennego budynku pełnego odoru i kwaśnych wyziewów. Ta praca, choć trwająca ledwie do południa wyczerpywała mnie bardziej, niż pomoc w sklepiku, dzięki któremu matka spodziewała się zwalczyć nasz niedostatek.

Nie byłem bowiem jedynakiem. Mój starszy brat, Filip, rychło usamodzielniał się znikając z domu na dłuższe okresy. Wynajmował się do sianokosów i zbierania kartofli i chwalił sobie to zajęcie, przy którym, jak mi z całą szczerością opowiadał, przeżył niejedną miłosną awanturę. On też został moim pierwszym przewodnikiem w tych sprawach. Od niego dowiedziałem się wszystkich szczegółów i, przyznam, doświadczyłem wówczas bardzo mieszanych uczuć.

Ale fizyczne zbliżenie dane mi było ujrzeć dzięki najstarszemu z braci, pupilowi rodziny, temu, dla którego ojciec, matka i poniekąd ja sam poświęciliśmy wszystkie siły. Andrew studiował teologię i był bardzo zaawansowany w zbożnym dziele osiągnięcia stanowiska pomocnika pastora w największym mieście okolicy. Podobnie jak Filip przypominał byczka z czerwoną twarzą i grubymi rękoma, którymi zwykł niezwykle kunsztownie podkreślać co piękniejsze wersy na pamięć cytowanej Biblii. Zazdrościłem mu, gdyż mimo

ojcowskiego proroctwa w odniesieniu do mej osoby, to Andrew urzeczywistniał nasze wspólne pięcie się wzwyż. Będąc o kilkanaście lat młodszy żyłem w cieniu jego dokonań.

Pamiętam, iż tej wiosny Andrew przybył do domu na krótki wypoczynek i maleńkie Kew, jak zwykle, witało go z powściągliwym uszanowaniem. Wziął mnie na małą przechadzkę brzegiem morza i ilekroć mijaliśmy znajomych unosił nad głowę czarny kapelusz odwzajemniając ukłony i spojrzenia mówiące tylko jedno: oto człowiek, który zwycięża! Choć gryziony zazdrością, czułem się wielce uhonorowany, gdyśmy we dwójkę brnęli po śliskich kamieniach, wśród których z sykiem kotłowała się szarozielona woda.

Nasze wybrzeże usiane było ruinami starych obwarowań, toteż rychło doszliśmy do szczątków ciosowej wieży, w której od niepamiętnych czasów hulał wiatr. W przyziemiu czyjaś zapobiegliwa ręka zamknęła małymi drzwiczkami wejście do zacisznego loszku, skąd na pohukiwanie mego brata odpowiedział radosny, żeński głos. Andrew, nie tłumacząc się, kazał mi pozostać na zewnątrz, a sam przepadł w środku. Wrodzona ciekawość wkrótce ściągnęła mnie do pełnych szpar i pęknięć drzwiczek. Bez trudu dostrzegłem coś, co zaparło mi dech w piersiach.

Oto Andrew, zrzuciwszy pantalon i lniane gatki, stał z podciągniętą wyżej pępka koszulą, a spomiędzy jego obficie porośniętych czarnym włosom ud wystrzelał organ tak okazałych rozmiarów, iż w pierwszej chwili wziąłem go za konar, którym zwykł, jak laską, podierać się podczas spacerów. Podobieństwo dopełniała sękatość, członek obrzmiał tak mocno, iż splot żył wyglądał jak liany znikające w niesfornym mchu zarostu. Brunatna żołądz z ostrym kapturem przypominała odsłoniętą spod kory hubę. Te wszystkie porównania przyszły mi do głowy znacznie później. Wówczas stałem niemy, porażony widokiem, który po bliższym przyjrzeniu okazał się niepełny.

Przy ścianie, w jakimś oddaleniu od sterczącej męskości, kulila się młoda kobieta. Spod zsuniętej z ramion sukni wyskakiwały obfite piersi, nadal ściśnięte przekrzywionym stanikiem. Dziewczyna, dosyć nieporadnie, usiłowała uwolnić się od tej części garderoby, lecz zachęcona kołyszącym się na wysokości jej twarzy członkiem jęła posuwać się ostrożnie w jego kierunku. Dostrzegłem, iż zebrawszy w dłonie sukienkę z całej siły wcisnęła ją w podolek i na rozkraczonych kolanach parła do celu.

Andrew czekał na nią wprawiając biodra w kolebiący ruch tak, że męskość poczęła zataczać koła, coraz szybciej i przekorniej umykając ustom dziewczyny. Zebrawszy je w ryjek usiłowała schwycić czubek niesfornego organu, który pocierał jej policzki, nos i powieki.

Pośladki Andrew poczęły drżeć, a przez wydatny brzuch przebiegł dostrzegalny skurcz. Wydało mi się to komiczne, gdyby nie groźny wygląd najsekretniej—szej części ciała mego brata. Nie potrząsał już swym pastorałem — trzymał go prosto, celując w twarz kobiety.

Teraz i ona odmieniała swe postępowanie. Otworzył szeroko usta jednym ruchem warg objęła wążadełko, by następnie z wielką ostrożnością wsuwać członek głębiej, jakby starając się go połknąć. Wkrótce jednak, dla rozmiarów tego dania, wstrzymała się i przez chwilę oboje zamarli w oczekiwaniu.

Zdawało się, iż to już koniec. Ciało mego brata uspokoiło się, choć śmieszna sztywność tułowia nie ustąpiła. Wyglądał jak zadowolony z siebie bankier na rysunkach sławiących bogactwo. Nigdy jednak nie podejrzewałbym, co ów godny szacunku jegomość nosi w spodniach. Teraz wiedziałem i — chciało mi się śmiać. Byłem także zafascynowany i onieśmielony, a wszystkie te emocje przyspieszały mój puls i powodowały uderzenia krwi do głowy. Zwłaszcza, że usta kobiety poruszyły się jakby coś przeżuwała. Powoli, czego bardziej domyśliłem się niż spostrzegłem, w jej wypchanych policzkach zaczął pracować język. Masowała nim wyprężoną kolbę w górę i w dół, a wyraźna przyjemność płynąca z tej czynności rychło odzwierciedliła się w zachowaniu partnera. Ujawszy jej głowę począł ruszać nią rytmicznie to przybliżając, to oddalając od siebie, aż spazmatyczny oddech kobiety wzmógł się tak bardzo, iż przypominał do złudzenia jęk. Wówczas jednym, zdecydowanym ruchem Andrew wyrwał członek spomiędzy jej warg i, odchylając się w tył, strzelił gęstą cieczą. Dziewczyna westchnęła, po czym, wysunawszy język, zgarniała nadmiar ściekającej po brodzie spermy. Andrew odsunął się nieco, obserwując z satysfakcją to zachowanie podobne do odruchu kotki.

Dziewczyna także odchyliła się do tyłu podciągając spódnicę. Po spoconych udach zsuwały się falbaniaste majtki. Dłońmi krzepcej ujęła podbrzusze. Andrew chwycił ją za ramiona i brutalnie zawiął jej ciałem; leżała teraz na brzuchu, całkiem bezwładna. Schylił się i ujawszy jej łydki ważył je w dłoniach, a następnie założył na swe biodra. Dziewczyna dźwignęła się na łokcie wspierając czoło o ziemię. Między jej pośladkami a brzuchem mężczyzny fałdowała się zmięta suknia. Andrew bezceremonialnie zarzucił ją na głowę kochanki obnażając jej tyłek.

I tym razem zbliżał się powoli nasuwając ciężkie jądra na pulchny wzgórek, który od tyłu wylaniał się spod różowych półkul. Ku memu zaskoczeniu nie stał się on jednak przedmiotem rzeczywistego zainteresowania mego brata. Andrew ułożył bowiem zwiotczały członek w bruzdzie pomiędzy prawym a lewym pośladkiem i rozpoczął posuwisty ruch przed siebie. Wkrótce jego maczuga osiągnęła poprzednią długość, choć w tym położeniu nie sterczała już, lecz doskonale wypełniała bezbronną szczelinę.

Dostrzegłem krople potu, które spływały z pępka kobiety, gdy nadawała swemu lekko otyłemu ciału ów posuwisty, dostosowany do tempa partnera ruch, w którym jej piersi i pośladki falowały z całkowitym zapamiętaniem.

Mój brat nadal nie spieszył się, mimo najwyższego napięcia, które rozpoznałem po szybkich rzutach bioder. Dłońmi z szeroko rozstawionymi kciukami przesunął po ciele dziewczyny poprzez talię aż ku łopatkom, nachylając się przy

tym głęboko. Wtedy jego męskość wciskała się u nasady w szczelinę, a ponownie obrzmiąta żołądź odchyłała się w górę. Ta, niezbyt chyba wygodna pozycja wymagała zmiany. Andrew odsunął się przeto na taką odległość, iż łydki dziewczyny z trudem utrzymywały się na jego biodrach. Przydusił dłonią wznoszącą się niesforne męskość, wycelował i pchnął z całej siły.

Sądziłem, że zaspokoi się w sposób znany mi z opowiadań Filipa. Wszelako uczony brat był najwyraźniej kochankiem nazbyt światowym jak na wyobraźnię ludzi z Kew. Toteż z niejakim wstydem poznałem, iż znalazł upust między pośladkami dziewczyny.

Spodziewałem się jakiegoś protestu z jej strony świadczącego o udręce, lecz poza znanym mi już, głuchym jękiem, wyrażającym rozkosz nie słyszałem nic, co świadczyłoby, że jest temu przeciwna. Jej ciało prężyło się jak struna, ściągnięte piersi wspierały opadającą w dół sylwetkę; nareszcie głośny krzyk zakończył to dające do myślenia widowisko.

Odskoczyłem od drzwiczek, teraz dopiero uświadamiając sobie, że nie tylko wzrok, ale i pozostałe zmysły biorą udział w oglądanym spektaklu. Krocze pękało mi od naporu rozognionej męskości. Gwałtowny ruch wyzwolił drzemiące tam soki. Z desperacją obciągnąłem spodnie; gorąca, kleista ciecz zmoczyła ścianę wieży.

Nim Andrew wyszedł, zdołałem się nieco uspokoić. Dla niepoznaki rzucałem płaskie kamienie w pomarszczoną toń morza. Odbijały się wielokrotnie i z przygłuszonym odległością pluskiem tonęły daleko od brzegu.

— I cóż mały — zagadnął Andrew — nauczyłeś się czegoś dzisiaj?

— O tak, drogi bracie — odparłem pełen uszanowania. — Dzięki tobie liznąłem tęgi łyk męskiej teologii...



Rozdział drugi

Piętnaście lat to wiek zachęcający do nadspodziewanie licznych odkryć. Choćby kobiety: było ich wokoło mnie niemało. Oprócz dwu braci dobrzy rodzice obdarzyli mnie aż czterema siostrami. Dotychczas wydawały mi się nieznośne; najstarsza Mary Ann, gdyż traktowała mnie jak smarkacza, najmłodsza Mary Lou, bo widziałem w niej siusiajmajtkę. Dwie średnie — bliźniaczki, młodsze o rok ode mnie żyły własnym, tajemniczym życiem, skoncentrowanym na lalkach i kuchni.

Teraz jednak zacząłem uważniej przypatrywać się moim siostrom i doszedłem do wniosku, że nie były wcale jednakowe. Mary Ann bez wstydu wypinała swe krągłości nic sobie nie robiąc z utyskiwań matki i uszczypliwości ojca. Była ładną, hożą dziewczyną, której ciało pragnęło miłości. Wówczas zaczynałem to dopiero odczuwać ledwie obudzonym instynktem, a nie rozumiejąc jaki fluid płynie od rozmarzonej dziewczyny, wpadałem w panikę. Moje zmieszanie świadczyło jedynie jak cnotliwą zdawała się atmosfera naszego rodzinnego domu.

Wszystkie me siostry wychowywano skromnie i pobożnie na gospodarne żony i matki. Jednostajność takiej edukacji najwidoczniej doskwierała najstarszej, bowiem rychło spostrzegłem, iż nie przykłada się nadmiernie do haftów i smażeńin zalecanych jako najlepsze przygotowanie do stanu małżeńskiego. Przeciwnie, Mary Ann łaknęła przygód, odmiany, wyrwania się z prowincjonalnej ciasnoty. I chociaż nie uświadamiała sobie tego do końca, zgodnie z kobiecą intuicją wybrała najłatwiejszą ku temu drogę: wcześniej straciła dziewictwo.

W południe zachodziła do lordowskiej stajni przynosząc w wiklinowym koszyku posiłek. Jedliśmy go wraz z ojcem — w pogodne dni na dworze, zaś w słotne wprost na sianie, gdzie folwarczne perszerony usiłowały mokrymi pyskami wyrwać nam ostatnią kromkę chleba. Mary Ann przysiadła wówczas naprzeciw, przybierając pozę niewinnej dziewicy, choć oczy jej błądziły na prawo i lewo. W stajni pracowało kilkunastu zdrowych parobków. Wśród nich hałaśliwością i prostacką krzepą wyróżniał się niejaki John „Ciężkie Dzwony”. Przydomek ów, powtarzany z obleśnym chichotem rozbawiał mnie, nie nasuwając żadnych skojarzeń. Ale Mary Ann, jak sądzę, rozumiała go na własny i podniecający sposób.

W letnie, gorące dni John zwykł po pracy zdejmować kubrak, zawijać nogawki spodni i myć się publicznie pod pompą. Dzisiaj wydaje się to

nieprawdopodobne, lecz wtedy, w Kew, takie zachowanie uważano za nieprzy-
stojne. Dorodne bary parobczaka grały harmonią mięśni, a moja siostra strzelała
w nie skupionymi oczkami.

Domyślałam się, że będąc sprytną szybko powzięła plan, prowadzący do
ureczywistnienia jej zamiarów.

John, choć mocny w gębie, nie miał czasu na oglądanie się za dziewczynami.
Pracował ciężko, wieczorami przesiadując w pubie przy kuflu piwa. Za kilka lat,
po uzbieraniu nieodzownej żeniączce sumy, pewnie uderzyłby w koperczaki do
jakiejś ciepłej krówki z kilkoma funtami posagu. Lord Fontenbarry, zgodnie ze
zwyczajem, podniósłby Johna do godności pracownika otrzymującego tygod-
niówki, co pozwoliłoby mu zająć jedną z izb folwarcznych i spokojnie doczekać
licznego potomstwa.

Wszystko to doskonale pojmowała Mary Ann, toteż w jej planie taki chłopak
odgrywał jedynie rolę wytrycha, ułatwiającego otwarcie zaryglowanych dotąd
drzwi.

Nie wiem, kiedy to się stało, lecz po dwuznacznych prześmiewkach parob-
ków, wściekłości ojca i rozpacy matki poznałem, iż Mary Ann straciła rzecz
najcenniejszą: ludzki szacunek. Teraz nie mogła już oczekiwać, iż któryś
z porządnych i nudnych młodych rybaków z Kew zechce przedstawić ją swoim
rodzicom. W miasteczku jej przyszłość rysowała się nader czarno.

Musiała wyjechać i zabrać rodzinną hańbę ze sobą.

Pocziwi rodzice uradzili wysłać ją do ciotki mieszkającej w dużym,
kupieckim mieście na południu. Poszukiwano tam pokojówek; Mary Ann nie
pozostało więc nic innego jak gotować, sprzątać i niańczyć cudze dzieci.

W ten sposób najstarsza siostra ukazała mi jeden z możliwych, choć niezbyt
zachęcających sposobów ucieczki z Kew. Sam nie byłem do niej gotowy,
przeciwie właśnie rozpoczynała się moja męska, domowa nauka, w której
niepoślednią rolę odegrały bliźniaczki — Fryda i Kathy, czternastoletnie
panienki porozumiewające się systemem znaczących spojrzeń, uśmiechów
i półsłówek. We dwie tworzyły zamknięty świat, do którego nader niechętnie
dopuszczały intruzów. O tym, że dostąpiłem tego zaszczytu zadecydował
przypadek.

Żyjąc tak blisko pięciu kobiet w małym i niewygodnym domku, nie mogły
ujść mej uwadze czynności i zabiegi związane z ich płcią. Chociaż nasi rodzice
surowo przestrzegali przystojnych obyczajów, prymitywizm warunków bytowa-
nia odsłaniał pewne tajemnice. Najzwyczajniejszy prześwit w belkowaniu sufitu
dopomagał chłopięcej ciekawości w zjrzeniu do siostrzanej alkozy.

Zrazu patrzyłem na bliźniaczki krztusząc się od śmiechu. Ich zaokrąglające
się dopiero ciała wydawały mi się zdeformowane, a pulchne, bezbronne
podbrzusza wywoływały odruch pogardy. Pod tym względem traktowałem swą
fizyczność nieskończenie wyżej. Było w niej coś zwycięskiego i zdecydowanego,
czego stanowczo brakowało obu moim siostram.

Przez dłuższy czas sądziłem, iż tylko one są dotknięte owymi budzącymi litość brakami. Jakież było moje zaskoczenie, gdy odkryłem, że także moja matka w kąpielni wygląda bardzo podobnie, choć jej ciało — duże i rozłożyste budziło większy szacunek i ciekawość. Jednakże wstyd wzbraniał mi podglądania rodzicielki, natomiast coraz częściej wypełzałem na strych, aby oddawać się kontemplacji wdzięków bliźniaczek.

Wkrótce zauważyłem, iż dziewczątka zachowują się osobliwie. Po udaniu się na spoczynek oczekiwały czas jakiś w przykładowym, lecz fałszywym śnie, po czym cichutko zrzucały koszule i wskakiwały do jednego łóżka. Czyn ten należał do szczególnie nagannych. Dom nasz, choć biedny, szczylił się posiadaniem przez każdego członka rodziny własnego miejsca do spania.

Pewnej sierpniowej nocy wlałem na strych, aby jak zwykle obejrzeć moje siostry łamiące najsurowszy z zakazów. Noc była gorąca, więc uczyniłem to w samych gatkach. Pełzłem ostrożnie na brzuchu, wsłuchując się w szmery dobiegające z dołu. Wyławiałem chrapanie ojca i ciężki oddech matki.

Wkrótce znalazłem się nad izbą bliźniaczek. Chłodne deski mile drapały mą spotniałą skórę. Ułożyłem się wygodnie na brzuchu i przysunąłem oko do szpary.

W sypialni było prawie jasno. Przez otwarte okno księżyc oświetlał całą scenę, a jego zielono—niebieska poświata nadawała dobrze znanym kątom tajemniczy wygląd. Na łóżkach, z rękami na kołdrze, leżały obie siostrzyczki. Wiedziałem, że nie wytrzymają długo. Solidarna ostrożność pozwalała im, jak dotąd, skutecznie ukrywać nocne występki.

Pierwsza zerwała się z posłania Fryda. Nieco wyższa od siostry o krzepkich, silnie osadzonych biodrach i szczupłej talii zatańczyła przed oknem kilka wcale pomysłowych figur i, zsunawszy barchanową koszulę, wskoczyła z cichym śmiechem na łóżko Kathy. Ucałowała siostrę, a następnie pomogła jej ściągnąć przyodziewek. Odrzuciły lekką kołdrę i klęcząc przyglądały się sobie, uśmiechając się przy tym dziwnie i oddychając głęboko. Przygląnąłem do mojej szpary, aby lepiej widzieć. Księżyc, jakby na zawołanie buchnął ostrym, seledynowym promieniem. Ujrzałem, jak dłoń Frydy wędruje po udzie siostry i zatrzymuje się na słabo owłosionym wzgórku; palce zginają się i nikną w podbrzuszu. Pieszczocie tej towarzyszył cichy szept. Kathy wydawała się pogrążona we śnie, choć jej brzuch powoli, lecz systematycznie wyprężał się. Kiedy ruchy Frydy stały się energiczniejsze Kathy, niby w podzięcie, ujęła w dłonie szczupłe piersi siostry i uniosła je ku górze. Następnie schwyciła w dwa palce małą sutkę lewej piersi, prawą zamykając w miseczkowato złożonej dłoni.

Tymczasem ręka Frydy pogrążała się między udami siostry; kciuk oparł się o łono, palce wskazujący i środkowy baraszkowały w sekretnej szczelinie to wynurzając się, to znów zagłębiając prawie po nasadę. Zabawa ta sprawiała obu dziewczynom ogromną przyjemność.

Ów akt całkowitej intymności wyrażał wzajemną fascynację i zarazem

pobłażliwość dla własnych niedostatków. Fryda najlepiej jak umiała naśladowała mężczyznę, lecz nie potrafiła mu dorównać ani mocą, ani stanowczością pchnięcia. Jej szczupłe palce w żaden sposób nie oddawały rozmiarów przeciętnego członka. Obserwując wysiłki bliźniaczek z zadowoleniem stwierdzałem, że moja męskość, choć tak jeszcze niedoświadczona, bez trudu wygrałaby w tej rywalizacji.

Prawdę mówiąc i ja odczuwałem gorący prąd wywołany przez podrażnione zmysły. Przywarłem silniej do podłoża powodując skrzywienie starych belek. Dziewczęta zamarły, zalęknione, a ja wstrzymałem oddech w obawie przed odkryciem.

Po chwili wsłuchiwania się w bicie własnych serc cała nasza trójka powróciła do przerwanych czynności.

Tym razem Fryda nakłoniła Kathy do szerokiego rozłożenia nóg. Otwarta szpara zapraszała do wejścia, lecz siostry zajęły się pieszczotami piersi i twarzy. Składały sobie pocałunki, pocierały sutki, a nawet lizaly się wzajemnie. Fryda, klęcząc nad Kathy także rozsunęła uda i zaraz spod poduszki wydobyla około półmetrowej długości kij obciążony skórą. Poznałem uchwyt pejsza, który zginął ojcu kilka tygodni wcześniej. Ten elastyczny, ale wystarczająco twardy przedmiot, posłużył im do kolejnej, miłosnej gry.

Rozpoczęła ją Fryda, gładząc ciało Kathy trzymaną w dłoni pałką. Odwróciwszy ją sztorcem w dół kilkakrotnie uderzyła w łono siostry, a następnie zwróciła obłą zakończenie w swoją stronę i wbiła je pomiędzy uda. Uczyniła to jednym, gwałtownym pchnięciem, zachowując pełne napięcia milczenie. Skuliła się od tego samobójczego ciosu. Ciemniejsze niż u siostry włosy dotknęły skóry Kathy z niepokojem patrzącej na walkę Frydy z własnym ciałem. Jednakże, niemal natychmiast potem, Fryda wyprostowała się, rozłożyła ręce, a nawet uniosła je nad głowę w geście zwycięstwa. Pałka, lekko chwiejąc się, tkwiła już samodzielnie, przypominając sterczący członek.

Pomysłowej filutce nieobce było to podobieństwo. Wykorzystała je teraz, kierując drugi koniec w kierunku łona Kathy. Ta odpowiedziała uważnym poddaniem bioder, przyspieszającym moment połączenia. Za chwilę obie dziewczyny poruszały się w jednym tempie zadając sobie wspólnie rozkoszny ból.

Samowystarczalność bliźniaczek ubodła mnie. Mimo najszczerzych chęci swą pałką mogłem obsłużyć tylko jedną kobietę na raz. Poznając miłosną technikę przekonywałem się o nieodzowności różnego rodzaju atrybutów. Miłość nie wyposażona w dodatkowe przedmioty służące do okazywania sobie czułości zdawała się uboga i pozbawiona fantazji.

Fryda i Kathy dosyć długo zabawiały się skradzionym ojcu pejszem, przybierając różne pozycje. Ich perfekcja w posługiwaniu się tą namiastką pozwoliła, w jednym z wariantów, zetknąć się łonami. W ten sposób ukryły w sobie ów twardy, obcy i wzbudzający dreszcz niepokoju przedmiot tak naturalnie, jakby był on stworzony wyłącznie do nocnych igraszek.

Targnęła mną zazdrość, tyleż dziecinna co usprawiedliwiona. Czyżby sztuczny przyrząd mógł rzeczywiście zastąpić podobny memu organ, który wbił się właśnie w przegniłe krokwie? Pewność, że z łatwością wystrzeli nad głowami obu panienek prawdziwą fontanną — tylko pogłębiała irytację. Obie wykazywały głupotę i krańcowe zepsucie, zabawiając się ze sobą tuż pod bokiem niczego nie podejrzewających rodziców. Wiedząc o ich sprawkach mogłem zagrozić Frydzie i Kathy zdemaskowaniem ich nienaturalnych praktyk...

Złośliwą wizję przerwała mi ponowna aktywność bliźniaczek. Po usunięciu skórzanej pałki, Kathy wyciągnęła się na łóżku pragnąc nieco wypocząć. Lecz niepożyta Fryda nie pozwoliła na to. Spod wezglowia wyjęła tym razem gruby sznur, na którym nasza pocziwa matka rozwieszała bieliznę i sprawnie oplotła nim ciało bliźniaczki w taki sposób, iż w jednej pętli znalazła się szyja, a w drugiej stopy. Ściągnięcie obu pętli powodowało uniesienie nóg Kathy i zetknięcie ich z głową. Bezlitosny księżyc oświetlił wypięty dziewczęcy tyłek.

Fryda długo i z zadowoleniem studiowała ów podniecający widok. Nie taję, iż bezbronna nagość Kathy nasiliła tylko mą nie rozładowaną żądzę. Pchany silniejszym od świadomości woli nakazem, jak wąż wyzwoliłem się z gatek i począłem na ślepo szukać przystani dla coraz bardziej rozkołysanej męskości. Szpary w krokwiach były na tyle duże, iż bez większego wysiłku wsunąłem członek w miękkie, choć zdradliwe próchno. Z sufitu posypał się na izbę seledynowy w promieniach księżycy pył.

Ale bliźniaczki nazbyt zajęły się sobą, by zwracać uwagę na podejrzone trzaski. Fryda ułożyła się między wzniesionymi nogami Kathy tak, by jej łono dokładnie przylegało do łona siostry. Wykonywała długie, posuwiste ruchy, w trakcie których pocierała zarówno odbył jak i rozsunięte płatki sromu swej partnerki. Ruchy te stawały się coraz żywsze i bardziej kanciaste. Fryda podrzucała biodrami, atakując bliźniacze ciało. Stare łóżko zaczęło niebezpiecznie skrzypieć, zagłuszając hałas jaki wszczynałem na górze. Odtwarzałem zachowanie się Frydy mając pod sobą jedynie zetlałą więźbę stropu. Rozdygotany członek pracowicie odłupywał wapno z naruszonej zaprawy sufitu. Postrzępiony płatek spadł na splecione ze sobą ciała i rozprysł się na drobne kawałeczki.

Cudowny dreszcz targnął moimi biodrami. Strumień wytrysku przebił słabą zaporę próchna i spryskał rozwieszzone na krześle suknie moich występnych siostrzyczek. Kilka kropel zmoczyło skórę Frydy, lecz nie zareagowała, jakby jej rozpalone ciało przemieniało natychmiast każdą wilgoć w obłoczek pary.

W trakcie stosunku pętla na szyi Kathy zacisnęła się niebezpiecznie. Drganie uniesionych nóg i bezradny młynek dłoni dawały poznać, iż dziewczyna się dławi.

Lecz napastliwa Fryda ani myślała o przerwie. Odwróciwszy się pośladkami do brzucha siostry rozpoczęła nowe ćwiczenia. Jej rozchylone uda ukazywały oddychającą jak małż szczelinę. Naraz, spośród falujących płatków mięsa, trysnęła brunatna ciecz, wkrótce bijąca z regularnością pulsu. Ciecz spływała po udach Frydy, które stawały się lśniące i brunatne, odcinając się od księżycowej

bieli wzdętego brzucha. Zacięta twarz potwierdzała przypuszczenie, iż krwotok nie obywat się bez bólu.

Tymczasem dłonie poszukującej wyzwolenia Kathy natrafiły na uda siostry i rozmazując krew przeniósły ją wyżej, aż ku piersiom okrutnej dręczycielki. Gdy strumień miesiączki osłabł, Fryda ciężko dysząc zsunęła się z ciała siostry, która natychmiast usiłowała rozluźnić zaciśniętą na szyi pętlę. Fryda jakby nie zauważyła tych starań. Tylko obawa przed ujawnieniem się powstrzymała mnie od wspomagającego wysiłki Kathy okrzyku.

Nareszcie Fryda pospieszyła siostrze z pomocą. Był już najwyższy czas. Zsiniała twarz Kathy przypominała zachmurzony księżyc. Jej spętane nogi znów powróciły do normalnego położenia. Z ulgą rozcierała obrzmienie pozostawione na szyi przez napięty sznur.

Naraz, niespodziewanie dla niej samej, wszystkie jej członki usztywniły się; wygięty tułów spoczywał tylko teraz na piętach i potylicy. Przez ciało przechodziła fala rozluźniająca, to znowu sprężająca rozdygotane mięśnie. Finał tej nawałnicy pojawił się wkrótce i uda Kathy, podobnie jak wcześniej siostry, pokryła brunatna w świetle księżycza krew.

Ta dziwna noc, zakończona widokiem krwawiących dziewcząt zapadła mi głęboko w pamięć. Ujrzałem, jak wielką niezależność w miłosnej magii mogą wywalczyć kobiety. Stosunek z księżycem przekraczał męskie możliwości, ale rozbudzał wyobraźnię... Poznanie tych odczuć pozwoliło mi za kilka lat na stoczenie zwycięskiej batalii, dzięki której zdobyłem pozycję i sławę.



Rozdział trzeci

Na razie jednak moja kondycja parobka przedstawiała się nędznie. Bolałem nad tym dotkliwie, gdyż każdy dzień spędzony na oczyszczaniu z gnoju folwarcznych stajni lorda Fontenbarray przysparzał mi zgryzot i poniżeń. Przeciwnie do ojca, który najwyraźniej znajdował zadowolenie w upodlającym stanie dającym mu skromną pewność jutra, ja wołałem najgorszą niewiadomą od monotonii ogłupiającej pracy. Dlatego ze wszystkich sił wyglądałem okazji wyrwania się z tego piekła.

Cały ten rok, niezwykle deszczowy, nasilił wczesnojesienny przybór rzek. Spadły one na nasze wybrzeże z taką gwałtownością, iż poważna część i tak zazwyczaj podmokłych łąk została zalana. Podobnie zły los dotknął umiłowane przez lorda ogrody. Kto żyw zatem został ściągnięty na ratunek.

Praca po łydki w błotnistej wodzie nie uśmiechała mi się wcale. Nie zmartwiłem się przeto, gdy do pomocy ogrodnikom zapędzono mego ojca, mnie przydzielając do stajni dworskich, pełnych eleganckich koni pod wierzch.

Stajnie te różniły się od folwarcznych. Miały wysokie stropy, wykwintne, metalowe balustrady dla siodła i uprząży, zapach przedniej skóry, wspaniałe przybory do pielęgnacji zwierząt. Na ścianach wisiały trofea myśliwskie lorda — małe pyski saren, potężne głowy łosi i szczeciniaste ryje dzików. Wszędzie panowała budząca podziw schludność i pewien rodzaj wykwintu, nakazujący nawet przy najcięższych pracach nie zapominać o swym wyglądzie i manierach. Toteż skórzany fartuch, wysokie buty i sukienna czapka z daszkiem, które wręczono mi wraz z surowym zakazem plucia na podłogę i załatwiania naturalnych potrzeb między końskie kopyta, stały się dla mnie widomą oznaką awansu.

Gnój wszakże był ten sam, a praca przy szlachetnych rumakach — wyczerpująca. Nie raz zdarzyło mi się po uprzątnięciu boksów zasnąć w ukryciu w ciepłym zapachu siana i parujących zwierząt. Nie wypatrzony przez nikogo zapomniałem o upływającym czasie. Spóźniałem się na domową kolację i po tygodniu ciągle nasilającej się powodzi ów nawyk wszedł mi na tyle w krew, że hardo odpowiadałem na utyskiwania matki. Zniecierpliwiony ojciec złożył mi skórę, ale gdy i to nie dało rezultatu postanowił zaczekać, aż wszystko wróci do starego porządku. Ja natomiast błogosławiłem rujnącą ogrody wodę i w pięknej stajni marzyłem o wspaniałej przyszłości.

W sobotę nawał pracy dawał się szczególnie we znaki. Należało starannie

wyczyścić wszystkie wierzchowce, zmienić ściółkę, nasypać obroku, uporządkować uprząż przed niedzielną przejażdżką lordowskiej rodziny. Wyczerpany trwającą od świtu gonitwą zapadłem w głęboki sen, który przedłużył się ponad miarę. Ocknąwszy się stwierdziłem, że drzwi stajni są już zaparte od zewnątrz.

Na dworze panował złocisty zmierzch. Głosy nawołujących się stróży, poszczekiwanie psów i gra świerszczy łagodziły mą samotność. Leżąc z otwartymi oczami rozmyślałem o ludziach takich jak lord Fontenbarry — — bogatych, krzykliwych i próżnujących. Mieli na zawołanie wszystko, czego można zamarzyć, podczas gdy ja, wiejski głupek, wymiatałem ich brudy...

A przecież umiałbym równie dumnie nosić zgrabne ubrania, trzaskać bacikiem po glansowanych cholewach i wydawać nie znoszące sprzeciwu rozkazy kłaniającej się służbie. Mógłbym odbierać honory, pławić się w podziw i zgarniać pieniądze. Piękna wizja bogactwa zajęła mnie na tyle, iż nie spostrzegłem, jak do stajni wsunęły się, jedna po drugiej, dwie postaci. Dopiero ich głośny, niczym nie skrępowany szept uświadomił mi tę obecność. Para ta nie po raz pierwszy spotykała się tutaj, gdyż ani trochę nie dbała o ostrożność. Któż bowiem przypuszczałby, iż do świetnie chronionego budynku zakradnie się, używając klucza, aż dwoje intruzów?

Dosłyszany przeze mnie dialog okazywał się żarliwą prośbą z jednej i równie stanowczą odmową z drugiej strony. Głos męski usiłował wyjednać jakieś „wielkie szczęście”, podczas gdy kobieta, bardzo zalotnie powoływała się na „opinię ludzką”. Przekomarzanie to trwało czas jakiś, aż zniecierpliwiony mężczyzna wziął się na jedyne sposoby dający szansę osiągnięcia celu i, wśród zdławionych okrzyków damy, przewrócił ją na siano. Odgłosy żarliwych pocałunków i szelest zdzieranej pospiesznie odzieży zachęcił mnie do zajęcia wygodniejszego dla widza miejsca. Wdrapałem się więc na wysoki bróg, aby stamtąd obserwować rozwój akcji.

Po wykwintnych strojach rozrzuconych niedbale wokół poznałem, iż są to mieszkańcy pałacu. Nastawiłem się przeto na obejrzenie miłosnej zwady w najświetniejszym, dworskim wykonaniu. Jakież jednak było me rozczarowanie, kiedy ów podniosły akt przebiegał na wsiową modłę wielokrotnie opisywaną przez Filipa, mego średniego brata. Kochanek wbił się bowiem bez żadnych ceremonii we wdzięki swej pani i skrupulatnie odrobił to, co zwykło nazywać się ekstazą, a co w jego ujęciu okazywało się pracowitą i nie pozbawioną krzepy harówką. Najwyraźniej jednak zasłużył na wdzięczność damy, albowiem z ust jej płynął potok komplementów. Słowa, którymi wyrażała swój podziw zaskakująco przypominały słyszane przeze mnie na co dzień. Folwarczne wyrobnice nie znały jedynie kilku obcojęzycznych wyrazów, ale i te znaczyły mniej więcej jedno, służąc porównaniu kochanka do narowistego ogiera.

Prawdę **rzekłszy zachciało mi** się śmiać i już cofałem się do swego bezpiecznego ukrycia, gdy wymowna dama, oswobodziwszy się z objęć mężczyzny podbiegła ku najbliższemu wierzchowcowi. Jej szczupłe, wysportowane ciało

bez trudu zdobyło koński grzbiet. Pozostawiony samemu sobie szlachcic wydał cichy gwizd mający oznaczać podziw i spytał wesoło, czy lady Margaret przedkłada usługi dosiadanego ogiera nad troskę, którą ofiaruje jej prawdziwy rycerz. W odpowiedzi nerwowo zarżał folblut. Szlachetny pan musiał więc pofatygować się w jego pobliże.

Lady Margaret! Znałem to imię, należące do siostry lorda Fontenbarry, ale nigdy w tej zgrabnej kobiecie o złocistorudych włosach, obejmującej kolanami wroniego konia nie domyśliłbym się swego przeznaczenia! Młodszą siostrę lorda spotykałem wcześniej gnającą jak wichur przez podwórze na ostrych rumakach. Uwielbiała polowanie i oddawała mu się namiętnie, zawsze w towarzystwie grupki wielbicieli. Teraz widziałem ją bez stroju, naga, rozpaloną i bardzo powabną. Rozpuszczone włosy, ujęte wstążką, wysoka szyja, duże, soczyste piersi i stromy brzuch nad smukłymi, silnymi nogami dawał obraz rasowej i pełnej czaru kochanki. Wówczas nie znalazłem stosownych określeń dla oddania piękna tego typu kobiety, ale i tak dawałem się ponieść mimowolnemu zachwytowi. Sposób, w jaki dosiadała nerwowego ogiera o imieniu Jowisz podniecał również, nieznanego mi szlachcica. Z gracją zawodowego jeźdźca wskoczył na koński grzbiet, oplatając od tyłu ciało kochanki rękami i nogami. Rumak podrzucił zadem i trefioną grzywą, a wraz z nim kołysała się zjednoczona uściskiem para.

Z ust lady Margaret wyrwało się słowo, które ponownie objawiło dysonans między doskonałością obrazu a pospolitością faktów; słowem tym szlachcianka zażądała od mężczyzny dalszych starań, które też podjął niezwłocznie, rozbawiony miejscem, w jakim przyszło mu to czynić.

Kilku ruchami podporządkował sobie partnerkę unosząc ją i obracając twarzą ku sobie. Nie pozwolił jej jednak zbyt długo rozkoszować się widokiem własnej, gotowej do działania męskości. Brutalnie zmusił piękną lady, by położyła się na końskim karku, wplatając palce we grzywę.

Tak delikatna uzda uspokoiła nieco drżącego z emocji ogiera. Moment ów mężczyzna wykorzystał dla dokonania kilku pchnięć, dzięki którym zawładnął niepodzielnie ciałem swej bogdanki.

Teraz, chcąc sprowokować konia, kopnął gołymi piętami w jego naprężone boki. Ogier skoczył niepewnie, a potem wspiął się na tylne nogi. Aby nie spaść, zuchwały jeździec musiał uchwycić się piersi zaczepionej o końską szyję lady. Syknęła z bólu, lecz spazmatycznie drgającymi udami sama poczęła zachęcać rumaka do wykonywania niebezpiecznych skoków. Mimo ciasnoty boksu koń żwawo odpowiadał na wezwanie. Oboje trzymali się na jego grzbiecie nader śmiało, nie zaprzestając miłości.

Wreszcie, zsunąwszy się na świeżą ściółkę, legli wyczerpani. Jowisz stał nad nimi, jakby zdziwiony tym bezruchem. Minęło kilka chwil i jaśnie pani zainteresowała się uspokojoną męskością swego kochanka. Wziąwszy ją delikatnie w dłoń poczęła przyrównywać rozmiary do podrażnionego członka Jowisza.

Szlachcic w tym pojedynku przegrywał z kretešem. Dlatego, z urazą w głosie, zaproponował, aby siostra lorda Fontenbarry szukała zaspokojenia w objęciach konia. W odpowiedzi usłyszał, iż jeśli tylko przytrzyma rumaka, dama gotowa jest do jazdy. Speszony, obrócił propozycję w żart, lecz szlachcianka nie ustępowała — prośbą i groźbą zmuszając, by spełzał Jowisza i założywszy udeę czuwał nad jego zachowaniem.

Gdybym przesiadł się w skórę tego szlachcica, czułbym się nad wyraz upokorzony. Nawet ciekawość nie skłoniłaby mnie do tak niecznych prób. Widziałem wszakże, iż mężczyzna czerpie zadowolenie z roli osobliwego grooma. Stał na rozkraczonych nogach, ściągając udeę przy pysku Jowisza. Koń, przeczuwając coś niezwykłego, rozdymał nozdrza i toczył wokół przekrwionymi oczami. Lady Margaret ostrożnie podsuwała się pod jego brzuch, cmoktając i naszeptując łagodnie. Dłońmi delikatnie gładziła karą sierść na wezbranym od mięskółów kłębie, wspaniały ogon i suche pęciny tylnych nóg. Gdy bezwstydnę palce dotknęły moszny, Jowisz usiłował kopnąć. Związane kopyta uderzyły w mur, kochanka zachwiała się, pchnięta przez podrażnione zwierzę. Mężczyzna przygiął łeb ogiera, zasłaniając mu oczy. Wówczas rozpustna kobieta, dobrawszy się do płci konia wcisnęła ją między uda i odstąpiła krok do tyłu. Ciemna, pulsująca kolumna łączyła ją teraz z wierzchowcem, który zamarł w objęciach szlachcica. Dama z wprawą pieściła aksamitną skórę końskiego organu. Jakby w odpowiedzi penis mężczyzny uniósł się bojowo i obrzmiał. Jowisz prychnął lękliwie, z pyska pociekła mu piana, spadając na męskie uda.

Jaśnie pani, oswobodziwszy czubek końskiego organu wzięła go między piersi i, używając niczym skrobaczki, usuwała z nich przyklejone źdźbła słomy. W tym samym czasie obserwujący te zabiegi szlachcic coraz natarczywiej domagał się pomocy. Jego męskość wyglądała rozpaczliwie, jakby za chwilę miała ją rozsadzić sprężona w niej żądza.

Zniecierpliwiony Jowisz dopomógł rozwiązaniu. Napiąwszy kark uniósł szlachcica w powietrze i cisnął nim o ścianę. Z chciwych dłoni lady Margaret wyslizgnął się mszysty organ, by powrócić pod koński brzuch. Pozbawiona zajęcia kobieta musiała skierować uwagę na leżącego z rozrzuconymi nogami mężczyznę.

Upadek odebrał kochankowi świadomość. Ale jego broń nadal sterczała dzielnie nie rezygnując ze starań o wdzięki kochanki. 1 chociaż męski członek nie równał się pod względem rozmiarów z końskim, to jednak siostra lorda nie próbowała już zainteresować się Jowiszem. Bezbronność męskiego ciała zachęciła ją do nowej rozkoszy.

Uklękawszy przy biodrach szlachcica ujęła sztywny penis i uczyniła z nim dokładnie tak, jak przed chwilą z organem wierzchowca. Tym razem nie natrafiła na opór. Odwrotnie, członek poddawał się wszystkim zachętom: szczypała go, ugniatała, próbowała złamać i ściągnać z niego skórkę. Wreszcie, drugą dłonią odszukała zgrabny woreczek wszyty u nasady i, bez troski o zadawany ból,

kilkakroć ścisnęła go w garści.

To otrzeźwiło kochanka, a jego pierwszym świadomym doznaniem była rozkosz z eksplodującego spermy członka. Jednak cierpienie niemal natychmiast wykrzywiło mu twarz ostrym grymasem.

Dręczycielka udała, że o niczym nie wie, zajęta rozprawadzeniem spermy po brzuchu i udach partnera. Wilgotne dłonie wytarła o pierś Jowisza, który stał nad milczącą parą, jakby dopraszał się ponownego włączenia w jej igraszki.

Na szczycie brogu zatrzymał się ostatni refleks złotego słońca, czyniąc widoczną moją uniesioną głowę. W tejsze chwili nasze spojrzenia z lady Margaret skrzyżowały się. Szlachcianka zachnęła się, zerknęła ponownie i nagle ostygła wobec znowu bardzo przedsiębiorczego kochanka. Po kilku bezowocnych próbach użył on gwałtownych wymówek, lecz nie doczekał się wyjaśnienia, co jest powodem przerwania miłosnej akcji.

Lady Margaret nie zdradzała mnie i byłem jej za to wdzięczny. W rozrosłych barach szlachcica zwinąłbym się jak słomka. Przez głowę przemknęła mi myśl, że podobam się lady. Jej rozpustna wyobraźnia knuła zapewne jakąś nową intrygę, w której szlachcic najwyraźniej okazywał się zawadą. Przynagliła go też do pośpiechu gdy, nadąsany, zbierał ubranie i wbijał się w strojny fraczek. Pozornie przez cały ten czas nie zwracała na mnie uwagi, lecz aż nadto dobrze wiedziałem, że zażąda ode mnie ofiary, zaraz po ulotnieniu się kochanka.

Tak też się stało. Drzwi trzasnęły, lady przeciągnęła się słodko, jakby ukazując mi raz jeszcze całą swą doskonałość i, nie zwlekając zażądała, abym szedł do niej.

Była to najdłuższa droga w moim krótkim życiu. Nigdy jeszcze nie stanąłem oko w oko z nagą, piękną, trzydziestoparoletnią kobietą. Jej dojrzałe kształty kontrastowały z mą młodzieńczą kanciastością. Czułem się jak strach na wróble, którego pusta głowa obraca się z byle podmuchem nadlatującego wiatru...

Nie raczyła się unieść na powitanie. Jej biała, teraz lekko niebieskawa od nocnych cieni skóra wydzieliała podniecający zapach. Znalazłem się w jego kręgu i niemal natychmiast zakrztusiłem od intensywnej żądz, jaką niósł ze sobą.

Parobek — przemówiła wzgardliwie, taksując mnie od stóp do głów.
— Chłopak od gnoju... Zwyczajny, ordynarny wsiok!

Obrzucała mnie raniącymi serce wyzwiskami, ani przez chwilę nie pozwalając dojść do głosu. Trąciła mnie stopą, jak przedmiot, tyleż obrzydliwy, co zastanawiający.

— Każę cię wychłostać, głupku — rzekła gardłowo, bez cienia złości. — Na podwórzu, w obecności wszystkich parobków i dziewczek. — Jak psa... — dorzuciła okrutnie, bawiąc się moim przestraczem.

Próbowałem obrony, twierdząc, iż tylko przypadek uczynił mnie świadkiem owej sceny, o której nigdy i nikomu nie będę miał nic do powiedzenia. Już nie pamiętam jej i tylko Bóg na sądzie ostatecznym wydrzeją ze mnie, razem z duszą.

Zdawało się, iż moja wymowność nie była niemiłą dla lady Margaret.



Słuchała chętnie, grzebiąc palcami stóp w sianie. Gdy skończyłem, powiedziała zwyczajnie:

— Odwróć się!

Spełniłem polecenie najskwapliwiej jak umiałem, wyrażając całą postawą oddanie i cześć dla tak niezwykłego zjawiska. Ale lady pojmowała rzecz całkiem inaczej.

— Spuść spodnie — usłyszałem.

— Jakże to, jaśnie pani, czyż mógłbym...? — dukałem przerażony, gdy jej śmiech chłostał mnie niczym obiecana kara.

— No pokaż—że wreszcie ten swój wiejski tyłek! — zażądała wprost. Jak niepyszny odwiązałem pasek i pozwoliłem, aby spodnie zsunęły się do mych kostek.

— Koszula! — rzekła stanowczo.

I tę zdjąłem nie ociągając się. Stałem teraz nagi, kanciasty, przygnieciony wstydem i porażony bezlitosną wzgardą, jaką ta kobieta umiała okazać mi jednym ohydnyim żądaniem. Przez szum krwi w uszach słyszałem, że podniosła się i szuka wśród uprząży stosownego narzędzia. Gdy wreszcie mej skóry dotknęła chłodna końcówka pejcza uspokoiłem się nagle.

Biła długo, zmuszając mnie do szerokiego rozstawienia nóg, aby kaleczący ciało rzemień dosięgał miejsc sekretnych. Chociaż cierpiałem, nie wydałem jęku.

— Nikomu nie powiesz, co się tu wydarzyło — oświadczyła jak rzecz oczywistą i znów nie słuchała mych przysięg na głowę matki.

— Skoro chcesz zakląć się na coś naprawdę wartościowego — rzekła oschle — złóż przysięgę na całość swej męskości. Bo jeśli naprawdę wygadasz, to cię wykastruję!

Poznałem, iż nie żartowała i dopiero teraz zrobiło mi się słabo. Lady Margaret mogła uczynić mnie kapłonem, zanim jeszcze zaznałem pełnej słodyczy, płynącej z bycia mężczyzną.

Odstąpiłem przeto kilka kroków i, powodowany gorliwością, odwróciłem się do mej prześladowczyni tak, aby widziała szczerłość malującą się na mojej zboląlej twarzy. Kładąc dłoń na poranionej mosznie przysiągłem, jak sobie tego życzyła.

Skończywszy, trwałem w tej poddańczej pozycji nie uświadamiając sobie, że jaśnie pani ogląda mnie starannie i z pewnym zainteresowaniem. Nie przeczę

— męskość, pobudzona niezwykłą przysięgą wyjrzała spod mego brzucha i w naturalny sposób ujawniła się w niemałej przeciwieź okazałości. Szczupłość ciała zapewne stanowiła kontrast z dojrzałym i rwącym się do działania seksem. Byłbym zarozumiały sądząc, iż wywarł on duże wrażenie na lady Margaret. Wszelako nie zapanowała nad ustami, które cmoknęły lubieżnie, polecając mi zarazem, abym natychmiast poszedł sobie do wszystkich diabłów!

Rozdział czwarty

Myliłbyś się Czytelniku wnosząc, iż w moim życiu zaszły teraz jakieś gwałtowne zmiany! Kilka długich i żmudnych miesięcy upłynęło mi bowiem w przygnębiającym przeświadczeniu, iż okrutna arystokratka najzwyczajniej o mnie zapomniała! I zamiast cieszyć się — chodziłem jak struty, albowiem tak dosłowne wymazanie z pamięci naszego spotkania okazywało się dla mnie wielką stratą. Co z tą przyszłością wymagającą przekonującego startu? Oto znów przywrócono mnie do dawnej pracy. Ojciec ponownie nadzorował każdy mój ruch... A przed oczami nieustannie miałem białe ciało lordówny... Jakaż męka!

Pozostawały marzenia; w nich lady Margaret przyzywała mnie do siebie zrazu jako stajennego, a później jako pokojowca do sekretnych poruczeń. Nie śmiałem myśleć o fizycznym zbliżeniu z tak piękną i dystygowaną kobietą, choć wydawało mi się, iż nie pozostała zupełnie obojętna na widok mej chłopięcej, skrwawionej nagości.

Niestety, wokółjaśnie pani roilo się od mężczyzn. Ze zgryzotą obserwowałem kolejnych zalotników postawnych młodych ludzi udających się w jej towarzystwie na konne przejażdżki. Nie mogąc się do niej zbliżyć, chciwie słuchałem plotek. Były obrzydliwe i raz czy dwa uniosłem się gniewem, obrywając od bezwstydných parobków solidnego szturchańca.

Niepokoila mnie także kwestia tycząca mej urody. Nigdy nie uważałem, iż jestem ładny i nikt, jak dotąd, nie powiedział mi, że mogę się podobać. A potrzebowałem takiego potwierdzenia, gdym widział dorodnych jeźdźców oblegających moją wybrankę. Zacząłem przeto porównywać się z innymi chłopcami i rychło doszedłem do wniosku, że chociaż nie za wysoki i raczej nieatletycznej budowy, natura dała mi ową pełną umiaru proporcję, w której zawiera się sens prawdziwego piękna. Po raz pierwszy także usiłowałem odgadnąć, co lady Margaret mogłoby spodobać się we mnie najbardziej. Aby odpowiedzieć na to pytanie, należało przejrzeć się w lustrze. Niestety, przekłeta bieda nie zezwalała na taki luksus. Jedyne matka posiadała małe lusterko, wyjmowane przy najuroczystszych okazjach. Na co dzień przeglądaliśmy się w wypolerowanych garnkach lub w wodzie. Udałem się więc nad jeden ze stawów słynny ze swej głębi i czarnej tafli. W bezwietrzne dni połyskiwała ona niczym najszlachetniejsze zwierciadło. Temperatura zazwyczaj chłodnej wczesną wiosną wody odstręczała pływaków, ja jednak, pod pozorem kąpieli obnażyłem się i, niby to badając stopą wodę, zapatrzyłem w dobrze widoczne odbicie.

Postanowiłem być krytyczny i obraz, który ujrzałem, zupełnie mnie nie zadowolił. Zbyt smukły, by nie powiedzieć wąły w porównaniu z parobczańską krzepą, o niemal kobiecej talii, wysoko uniesionym penisie i szczerze wypchaną torebką moszny między długimi udami wydawałem się, nawet sobie, nieco dziwny. Nie znałem wówczas rzeźb greckich efebów i gryzłem się tą chłopięcością, przyrównując ją do zwałistych sylwetek szlachciców zjeżdżających na dwór lorda Fontenbarry. Tylko płeć korzystnie odróżniała się w mej delikatnej konstrukcji bardzo dorosłymi rozmiarami. Mierząc jej pobudzony format nie bez satysfakcji stwierdzałem, iż śmiało konkurowała z członkami mych braci. Szersza u podstawy i znacznie dłuższa obiecywała więcej, niż całe ciało razem wzięwszy.

Kiedym tak stał zapatrzony we własny obraz, roiłem o spotkaniu z mą dręczycielką. O zachodzie słońca kąpałibyśmy się razem w lodowatej głębi. Jej wierzchowiec czekałby na skarpie grzebiąc kopytami ziemię. Patrzyłaby, jak powoli wynurzam się z toni, a woda ścieka po mej skórze, zatrzymując się w kępce włosów na łonie.

Rojenie to było tak sugestywne, iż, nie usłyszałem chrzęstu poza plecami. Dopiero, gdy ostatnia kropla samorzutnie tryskającego ze mnie nasienia zniknęła w stawie dostrzegłem obok siebie odbicie jeźdźca na koniu.

Odwrociłem się. okropnie zawstydzony i bezradny wobec jabłkowitego wierzchowca, który zstępował ku mnie kierowany twardą dłonią lorda Fontenbarry. Pięćdziesięcioletni arystokrata dosiadał go z właściwą byłym kawalerzys—tom elegancją. Zachwycony nie odrywałem wzroku od lśniącego kapelusza i białych rękawiczek jego lordowskiej mości.

Jaśnie pan milczał, oglądając mnie niczym rzeźbę w parku. Pod wpływem chłodu i wewnętrznego zmieszania mój członek kurczył się i cował, a ja usiłowałem ukryć swe obnażenie przyciskając dłonie do podbrzusza.

Wówczas lord roześmiał się przyjaźnie i rozkazał mi trzymać ręce za plecami. Z trudem pozwoliłem szlachetnemu panu na ponowne ujrzenie mej bezbronnej męskości.

Jak się nazywasz, chłopcze? — zagadnął ciepłym tonem, a kiedy podałem mu imię wyjął mały notatnik i skreślił w nim kilka słów. — Zgłoś się z tą kartką do zarządcy pałacu — polecił i, przenosząc spojrzenie na czarny staw, dodał: — Ubierz się, chłód coraz większy...

Nie spostrzegłem, kiedy odjechał. Jego łaskawość wielce mi pochlebiła, lecz nie przejęła na tyle, bym od razu pojął, iż los swym nieobliczalnym kaprysem zbliża mnie do lady Margaret. Otrzymałem bowiem zaproszenie do pałacu, gdzie żyła ona — nieosiągalna, daleka i niepokojąca...

Ojciec przyjął wiadomość o zatrudnieniu mnie przez lorda z kwaśną miną. Natomiast matka i siostry ucieszyły się; matka, gdyż pragnęła dla mnie lepszej pracy, siostry — albowiem oczekiwały, iż przyniosę im zamorski puder, który właśnie był w modzie. Siedzieliśmy całą rodziną do późna snując wizję

szczęśliwych wydarzeń. Nazajutrz, ubrany w najlepszy przyodziewek stawilem się u zarządcy pałacu mister Samuela Gedeona Simpsa.

Mały, korpulentny człowieczek o wielkim nosie i zniszczonych strunach głosowych na mój widok zaczął miotać się po marmurowym hallu, wytrząsając pięściami nad głową. Przerażonego tak nagłym wybuchem wyzywał od gamoniów, wreszcie dał się ubłagać, bym dowiódł, że cokolwiek potrafię.

Umialem przecież czytać i pisać, nieźle rachowałem i liznałem nieco łaciny, dzięki gramatyce pozostawionej przez Andrew. Ciekawość kazała mi także zaglądać do kalendarzy nabywanych przez pastora, toteż orientowałem się nieźle w historii dworu i kamaryli. Dzieje Anglii poznałem z popularnego wydania czytanek dla włościan, z nich też czerpałem przeświadczenie, że ród Fontenbarrych jest najokazalszym w kraju. Ponadto szkoła, choć ledwie trzyletnia wpoila we mnie pamięciową znajomość Biblii, tak bardzo pastor z Kew, nasz surowy mentor, poważał Świętą Księgę. Zdając egzamin u mister Simpsa nie zataiłem i tej wiedzy, która nastroiła dzikiego zarządcę znacznie przychylniej; raz jeszcze przeczytał polecenie lorda i już bez większych wstrętów poprowadził mnie na górę do pomieszczeń służby.

Po raz pierwszy gościłem w pałacu! Dotychczas oglądałem go jedynie z daleka, toteż wspaniałość mijanych wewnątrz oszołomiła mnie tak bardzo, iż pospieszałem za mister Simpsem w obawie zagubienia się wśród mrowia korytarzy i amfiladowych sal. Kiedym nareszcie wylądował w ciasnym pokoiku przydzielonym mi do spania, rzuciłem się na twarde wyrko z gorącą od wypieków twarzą. Rozejrzawszy się wkoło poznałem, iż stoją w nim jeszcze dwa łóżka porządnie zasłane i niewątpliwie należące do kogoś, z kim odtąd miałem dzielić los służącego. Ponieważ mister Simps, odwołany do swych obowiązków, zniknął w czeluściach budynku, nie niepokojony przez nikogo postanowiłem rozejrzeć się w najbliższej okolicy. Strachliwie uchyliwszy drzwi wyostałem się na ciasny korytarzyk. Dalej kręte schody wiodły na małą galeryjkę oświetloną lunetą. Po przeciwnej stronie proste schody prowadziły w dół, ku gwarnemu życiu lorda i jego siostry.

Nie odważyłem się tam zapuścić; na razie wolałem pozostać wśród służby. Na chybił trafił pchnąłem pierwsze z brzegu drzwi. Odkryte przed moimi oczami wnętrze, kobieca ręka ozdobiła haftowanymi makatkami przedstawiającymi grzechy główne: pijaństwo, zazdrość, cudzołóstwo. Ich wdzięk przypominał nieco domowe zacisze. Nabrałem śmiałości i powędrowawszy w przeciwną stronę korytarzyka natknąłem się na solidne drzwi, poza którymi ciągnęło się wypełnione sznurami poddasze. Wędrowałem między białymi płachtami prześcieradeł, kolorową pstrokacizną męskiej i damskiej bielizny, wdychając świeży zapach krochmalu. Czułem się jak w kościele, a widząc błękitną, strojną halkę, która mogła należeć do jaśnie pani (jak cudownie układałaby się na jej biodrach!) zwróciłem ku niej modlitewną orację. Błagałem, aby zezwoliła mi na pozostanie w swym pobliżu, obiecywałem, że nie będę się narzucał, ofiarowywałem siebie.

aby czyniła ze mną wszystko, czego zapagnie.

W trakcie tej bluźnierczej modlitwy, w którymś z kątów strychu coś zaszurugało i dobiegł stamtąd zdławiony chichot. Zamilkłem, lecz. ktoś, kto mnie podsłuchiwał, zdecydował się nie ujawniać. Tylko płótna falowały ciężko, a odorująca woń czystości kręciła w nosie. Kichnąłem. Spoza komunijnych feretronów dobiegło ciche: „na zdrowie”.

— Dziękuję — odpowiedziałem grzecznie, wypatrując skąd głos dobiega. Ale i tym razem tylko zwodnicze cienie przemknęły po rozkołysanych kurtynach.

— Kocha się pan w jaśnie pani? — zapytał wysoki, dźwięczny głosik i zaraz potem nastąpiła seria parsknięć bardzo swawolnym śmiechem.

Kocham wszystkie dziewczyny — odrzekłem dyplomatycznie i roześmiałem się również.

A ile ich pan miałeś? — indagowała niewidoczna osóbka, zmieniając dla zmylenia pozycję. Zaskakiwała mnie teraz od tyłu, odwróciłem się więc, aby nie okazywać braku szacunku.

— Nie tak wiele, jak mógłbym — odpowiedziałem skromnie.

I cóż pana powstrzymywało w ich zdobywaniu?

— Prawdziwa miłość!

— Kochałeś je pan wszystkie, nieprawdaż?

— Istotnie.

— I one pana także kochały?

— Niewątpliwie!

— I rzucałeś pan jedną dla drugiej...?

Już chciałem przyświadczyć, kiedy uświadomiłem sobie podstęp tkwiący w pytaniu. Jakże, miłość ku jednej niszczyłaby miłość ku drugiej? A jaka to miłość, skoro kończy się tak szybko?

Wolałem zmilczeć lub obrócić wszystko w żart.

— Nie odpowiadasz, pan naglił głosik.

— Nie odpowiadam, bo nie widzę komu.

— A to dobre — zachnęła się nieznajoma — a to wykręt!

— Pokaż się panna, to będę mówił!

Chwilę moja rozmówczyni wahała się, nie pokonując jednak ciekawości. Spoza falbaniastej poszwy wyszła młodziotka dziewczyna w zgrabnym fartuszkku, z wysoko upiętymi włosami, w których nosiła sztywno krochmalony czepek.

I kimże to waćpan jesteś? — zagadnęła, obcesowo mierząc mnie jasnym, zyczliwym spojrzeniem.

— Jeszcze nie wiem — odparłem — w jakim charakterze będę przebywał w pałacu.

A to dobre, a to świetne! — znów parskła niewstrzymanym śmiechem, jakby coś zabawnego odgadła patrząc na mą postać.

— Założę się, że wynalazł kawalera lord Fontenbarry...

Tak — odparłem krótko lord okazał mi swoją wielką łaskawość.

Panienka bawiła się w najlepsze.

— Okazał łaskawość przedrzeźniała — łaskawość lorda doprawdy nie zna granic! Założę się, że weźmie kawalera do swej sypialni...

— Jestem gotów do posług wszędzie, gdzie tego zażąda! — wydeklamowałem bardzo z siebie dumny.

— Nie wątpię odrzekła z westchnieniem. — Ale lord jest ogromnie wymagający...

Poczułem się nieco gorzej. Moja odwaga ulatniała się pod wpływem tych znamiennych słów. Mimo to nie poddałem się łatwo.

— Zrobię wszystko, cokolwiek rozkaże!

— Ach... tak... — młoda służąca patrzyła na mnie drwiąco, bez cienia uśmiechu.

Jeśli tak... Swoją drogą szkoda. Lord Fontenbarry zabiera nam naprawdę ładnych chłopców!

— Zabiera? — usiłowałem dowiedzieć się czegoś więcej, ukrywając zadowolenie z komplementu. Moja rozmówczyni odwróciła się na pięcie i szeleszcząc spódnicą odfrunęła za biały parawan.

Powiedz chociaż jak ci na imię! — krzyknąłem za nią i usłyszałem w oddali: — Emma, lordowski kochasiu!

Poszwendalem się jeszcze po strychu, lecz nie widząc tu nic zajmującego wróciłem do pokoju. Czekał już na mnie chudy chłopak w liberii; poprowadził mnie do krawca. Znów mijaliśmy nieskończoną liczbę komnat, pokoi i korytarzy, a ja głowiłem się nad zagadką, czemu kilka osób arystokratycznej krwi skazywało się na tak wystawną niewygodę. W pałacu brakowało kącika, w którym mógłbyś ukryć się ze swą miłością. Czyż możliwa byłaby tu scena w jakiej uczestniczyłem przed paroma miesiącami, scena lubieżna i szalona, która rozdzierała mi serce i raniła ciało? Pod dostojnymi spojrzeniami malowanych przodków zachowanie dalekie było naturalności i chyba nawet bezwstydu wydawał się tu namaszczone i oficjalny.

Na szczęście pomieszczenia gospodarcze wyglądały przytulniej. Krawiec okazał się miłym człowiekiem pełnym humoru. Podczas zdejmowania miary na liberię opowiadał o moich poprzednikach. Ostatni przede mną, równie jak ja młody chłopak, blisko rok cieszył się pełnym zaufaniem chlebobdawcy. Kiedy je stracił odesłano go do Londynu na naukę. Perspektywa takiej kariery nie wydała mi się nadmiernie niepokojąca, ale niemiłym był fakt, iż łaska pańska trwa tak krótko... Krawiec życzył mi powodzenia i obiecał, że za dwa dni zmienię swój ubiór na zielonożółte barwy Fontenbarrych. Gdy nadeszła upragniona godzina przymiarki, w pokrywającym niemalże całą ścianę lustrze zobaczyłem widok, który kazał mi zapomnieć o wszelkich zgryzotach: stał przede mną najprawdziwszy dworak w atlasowym stroju. Krótkie spodnie zgrabnie opinały łądzwie, czyniąc je jeszcze smuklejszymi. Dobrze skrojony fraczek ładnie uwypuklał talię i linię ramion.

Byłem gotów przedstawić się mister Simpsowi w nowej, szlachetniejszej

postaci. Ujrzawszy mnie, stary mentyka kiwnął aprobowająco głową i pokrótce zarysował moje obowiązki. A więc najpierw miałem być zawsze i wszędzie na zawołanie lorda. Po wtóre powinienem towarzyszyć mu na spoczynek, ze szczególnym uwzględnieniem podawania napojów, wygrzanych poduszek i pleców. Z racji tych powinności dostępowałem zaszczytu spania w przedpokoju lordowskiej sypialni, a na wyraźne życzenie mego pana także u stóp jego łóżka. Lord cierpiał na złe sny, toteż, zdaniem mister Simpsa, niejednokrotnie należało go taktownie wyrywać z męczącego koszmaru.

Za dnia nie wolno mi było odstąpić jaśnie pana ani na krok. Tylko jego wyraźne polecenie winno mnie skłonić do dyskretnego oddalenia się. Rozkaz, bym towarzyszył lordowi we dnie i w nocy był kategoryczny. Mister Simps wbił w mą głowę, iż osobiste potrzeby wolno mi posiadać jedynie wówczas, kiedy lord wyraźnie nie życzy sobie usług.

W zamian uzyskiwałem obietnicę dostępu do wszelkich uroków życia. Dzieliłem zaszczyt uczestnictwa w polowaniach, uroczystych i zwyczajnych posiłkach oraz, ku mej wielkiej radości, miałem wstęp do pałacowej biblioteki. Dołączałem tedy do rodziny jako jej uznany, choć nieprawy członek, zbliżając się na odległość oddechu do mej cudownej i nieczulej prześladowczyni...



Rozdział piąty

Zarządca pałacu — mister Samuel Gedeon Simps nie spieszył się jednak z powierzeniem mi tak szeroko zakreślonych obowiązków. Choć drzałem ze zniecierpliwienia i całym swym zachowaniem dawałem świadectwo najwyższej gotowości, dworski pedant rozpoczął ze mną żmudną naukę bycia prawdziwym i niezawodnym służącym. Z perspektywy lat błogosławię go za ten niewdzięczny i ciągnący się tygodniami trud, który powoli przynosił zadowalające nas obu rezultaty. Ale sztuba jaką pan zarządca fundował mi dzień w dzień niejednokrotnie wywoływała moją spontaniczną wręcz nienawiść.

Mister Simps nie przebierał w środkach. Znane mu metody były tyleż proste, co wyrafinowane w okrucieństwie uprzytamniania ci jak niewiele potrafisz...

Na pierwszy ogień poszły zagadnienia higieny. Wspominałem już o swej wrodzonej schludności, która dla mister Simpsa okazywała się kolejnym dowodem nieokrzesań. Teraz miałem się kąpać raz w tygodniu, włosy układać u pałacowego balwierza, co zaś do zębów odkryto przede mną całą gamę proszków o obrzydliwym smaku, lecz wyśmienitym działaniu. Musiałem także oduczyć się czkania, dłubania w ustach, ziewania na oścież i drapania się po tyłku. Niewinne te czynności nigdy nie budziły mego obrzydzenia, na odwrót, traktowałem je — w pewnych okolicznościach — jako nader poręczne. Taktyka mister Simpsa polegała na zaskakiwaniu na niedozwolonych odruchach i karceniu delikwenta bolesnym szczutkiem w nos. Trzeba mu przyznać, iż w tej konkurencji bił na głowę wszystkich chłopaków z Kew.

Po wstępnym rozpoznaniu umysłowych zdatności surowy mentor wziął się do przyspieszonego kursu poprawiania mego słownictwa. Odtąd najzupełniej niewinne wyrazy na zawsze ginęły z języka, którym godziło się posługiwać w pałacu Fontenbarych. W zamian poznawałem inne, wykwintniejsze i bardziej uległe. Wśród nich pokorne „służę” grało pierwszorzędną rolę. „Powinieneś być małomówny, lecz wymowny” — oto credo Gedeona Simpsa wcielane w życie w najbardziej charakterystyczny dla niego sposób — bolesnym prztyczkiem w sam koniec nosa...

Ku memu rozczarowaniu, surowy nauczyciel niewiele zwracał uwagi na głębszą wiedzę, posiadaną przeze mnie w jakimś stopniu. Odymał się lekceważąco, gdy proponowałem konwersację na tematy tak zajmujące jak historia dynastii szkockiej, z którą ród lordowskiej mości łączyło bliskie powinowactwo, albo rozruchy w koloniach amerykańskich. „Milcz i słuchaj”

mawiał do mnie utyskliwie wbijając mi w pamięć, iż dobry sługa wymaga od siebie znacznie więcej niż od niego oczekuje przełożony... „Lord nie lubi przemądrzałych młodzików” ostrzegał i należało mu wierzyć. Żywiłem wszakże cichą nadzieję, że kiedy poznam jego lordowską wysokość uda mi się zainteresować ją wiadomościami o świecie.

Ostrożny Simps sprawdzał także praktyczne umiejętności podopiecznych: jazdę na koniu, staranność czyszczenia ubrań i butów, umiejętność rozstawiania zastawy. Bywało, iż lord udawał się w pojedynkę z młodocianym groomem na długie, konne spacery i obiadował w lesie lub na łące. Obszerne kulbaki mieściły prawie wszystko, co niezbędne dla takiego posiłku, a groom przemieniał się wówczas w podającego do stołu. Przyznam, iż znaczna liczba sztucców, nieznanego kształtu naczynia i egzotyczne potrawy oraz sposób ich podawania nieraz doprowadzały mnie do łez. Mister Simps nic sobie nie robił z mego rozżalenia, a przemykający obok lokaje podśmiewali się z purpurowego nosa, kwitnącego dokładnie na środku mej zawstydzonej twarzy.

Intensywna szkoła trwała już czas jakiś, a zarządca ciągle nie okazywał mi niezbędnego dla samodzielnej próby zaufania. Włączał mnie, co prawda, w szeregi służących, którzy serwowali posiłki i porządkowali komnaty prywatne obojga państwa, lecz ja, pragnąc wyróżnień, odbierałem tę pracę jako karę i szczerze bolałem nad swą wyimaginowaną miernotą. Wszelako nawet wówczas, gdy pochylałem się nad prześcielanym łóżem, dane mi było przeżywać chwile wzruszenia. Dotykałem przecież pościeli lady Margaret, a cóż bardziej podniecającego od wyobrażenia sobie jej ciała na składanym przeze mnie prześcieradle?

Niestety, sama lady bawiła właśnie z wizytą w Londynie, toteż nie mogłem zaprezentować siebie i swych nowych umiejętności przed najsurowszą egzamina—lorką.

Tym częściej marzyłem o kobiecie, wypełniającej błękitną sypialnię osobliwą aurą. Nawet pod jej nieobecność w powietrzu unosił się dobrze wyczuwalny zapach piżma, trochę dziki i niepokojący, a dostojne łóżo, należące niegdyś do prababki jaśnie pani, zachowywało nietknięty obrys kobiecego ciała. Przesądne duszyczki szeptały po kątach, iż jest to widomy dowód obecności ducha prababki w pałacu. Uwięziona przez zazdrosnego męża dokonała żywota właśnie w tej sypialni. Dziwiono się też powszechnie, iż podczas ostatniej przebudowy dworu, poszerzającej okna i wzbogacającej zimne sale o nowoczesne piece, lady Margaret nie pozbyła się starego mebla. Ale ja domyśliłem się prawdziwego powodu i tym goręcej oczekiwałem na przyjazd niesfornej prawnuczki: staromodne łóżo, podczas gwałtownych poruszeń, wydawało ciche, niemal ludzkie westchnienia... Dla mej rozigranej wyobraźni ów dźwięk był doprawdy pełen odkrywczej treści.

Zajęty własnymi rojeniami i pracą od rana do wieczora niewiele uwagi poświęcałem ludziom mego stanu. Mimo to stosunki z dwoma współlokatorami na poddaszu — masztalerzem i kuchcikiem ułożyły się wcale znośnie. Istniała

między nami jakaś ledwie uchwytna rezerwa, może rodzaj zazdrosnej niechęci. Tłumaczyłem ją sobie powierzoną mi rolą, dzięki której służba już teraz obdzielała mnie odrobiną szacunku należnego lordowi.

Po drugiej stronie korytarzyka, w pokoju z makatkami mieszkał niejaki Douglas Found, bibliotekarz. Spotkawszy go po raz pierwszy sądziłem, iż wpadł do swej izdebki z wizytą. Okazało się, że to on tak pięknie haftuje. Ponadto nieźle gotował, pasjami szył ubrania, lecz przede wszystkim zajmował się lordowską biblioteką. Wbrew wielokrotnie okazywanym mu chęciom mister Simps zaniebdał obowiązku wprowadzenia mnie w tajemniczy świat książek. Uczynił to Douglas, wedle którego pałacowy księgozbiór szczylił się dziełami o jakie trudno było nawet w Londynie. Ojciec lorda z pasją kolekcjonował pierwsze wydania, choć — co wydało mi się nader dziwne — nigdy ich nie czytywał. Stały na półce nie rozcięte, we wspaniałych oprawach i naprawdę żałowałem, iż czas nie pozwala mi zajrzeć do każdego ze strojnych tomów. Wuj lorda, miłośnik geografii, pozostawił po sobie moc pięknie sztychowanych atlasów i map, zaścielających drewniane stoły. Sam lord Fontenbarry trzymał nowoczesne książki o jednolitych safianowych okładkach w kilku oszklonych szafach; były równie dziewicze jak pierwodruki jego ojca.

Rychło doszliśmy z Foundem do przyjacielskiej komitywy. Ten trzydziestoletni, łysawy już śledziennik, pokazał mi sekretną komodę, gdzie gromadzono ryzykowne dzieła. Zwłaszcza jedno z nich (a przeglądaliśmy wiele), pełne sprośnych ilustracji, wywoływało niezdrowy podziw bibliotekarza. Spostrzegłem, iż nakłania mnie do studiowania podkolorowanych rysunków, na których mężczyźni zalecają się do mężczyzn. Na innych, w sposób przypominający wyczyny Filipa i Andrew, poczynali sobie z młodziutkimi chłopcami. Douglas Found odwracał kartę po karcie i patrzył na mnie badawczo, ja zaś przysięgłbym, że pocał mu się dłonie...

Nie dawałem poznać, jak bardzo urazał tym moją wstydlivość. Słyszałem już o takich praktykach — w samym Kew wytykano palcami młynarza i jego chłopięcego pomocnika zarzucając im, że są kochankami... Ale jaki, przeciwny naturze, popęd zmuszał ich do szukania zaspokożenia między sobą? Nawet zwierzęta, ponoć nie posiadające duszy, przenigdy nie odważały się tak bardzo kpić z postanowień boskich.

O ile Douglas niepokoił mnie odrobinę (choć byłem mu zarazem wielce zobowiązany za dostęp do bibliotecznych skarbów), o tyle moje stosunki z dziewczętami układały się jak najpomyślniej. Było ich w pałacu całe mrowie i, prawdę rzekłszy, nie spamiętałbym wszystkich. Kilka zamieszkiwało poddasze po drugiej stronie suszarni. Wśród nich zwłaszcza Emma, choć powściągliwie, okazywała mi swą rosnącą z czasem przychylność. Nieraz, mijając się na schodach lub w korytarzu, słyszałem od niej przekornym szeptem wypowiedziane słówko: „czaruś!". Nie potrafiłem jednak wzbudzić w sobie gniewu, a gdy któregoś dnia przytrzymałem jej rękę pojąłem, iż z przyjemnością dałaby się

zatrzymywać choćby trzy razy dziennie... Jej koleżanki — Jane i Winnie także nie pozostały obojętne na uśmiechy, jakie przysyłałem im niby to przypadkiem i bez ukrytych intencji. Wreszcie, gdy byłem już zdecydowany zagadać wprost, Emma uprzedziła mnie proponując, abyśmy spotkali się wieczorem w parku. Przyjąłem zaproszenie nie wiedząc, czy umawiam się tylko z jedną, czy też z całą, rozchichotaną trójką.

Na podwieczerek wybiegłem z pałacowej oficyny. Ciepły wiatr owiał me spocone ciało. Mister Simps przez całe popołudnie ćwiczył mnie w konserwacji srebrnej zastawy. Poleciwszy, bym stanął pomiędzy dwoma roslymi chłopakami, którzy zanurzali srebra w korytach z piaskiem, osobiście pilnował sumiennego obtaczania pater i pucharów, nie dając mi chwili wytchnienia. Ta ciężka praca, zdaniem mister Simpsa, miała rozwinąć we mnie niezbędną odporność. Na co? Czyżby trudy przebywania sam na sam z lordem były rzeczywiście tak ogromne?

Biegłem tedy z niemiłym uczuciem spóźniania się, a park Fontenbarry ciągnął się rozległe, wypełniony szumami drzew i pluskiem spadających kaskad. Wśród dębów, zwieszających rozczochrane łby tuż nad ziemią nie dostrzegłem żadnej z dziewcząt. Gałęzie sięgały tak nisko, iż opadłem na kolana i w tej pozycji patrzyłem, co dzieje się pod dyszącymi zielenią koronami. Raptem czyjaś dłoń klepnęła w mój wypięty tyłek, a dobrze znany i nieco drwiący głos zanucił:

— Czarus, czarus!

Odróciłem się na czworakach, lecz dziewczyna szybko zniknęła pod baldachimem z liści. Wpełzłem więc za nią do ciemnego namiotu, podpartego w centrum olbrzymim pniem, który starannie okrążyłem, nawołując ją niczym gołąbkę. Już chciałem dać za wygraną, gdy znad głowy dobiegło mnie raz jeszcze:

— Czarus!

Emma siedziała na schodzącym ku murawie konarze jak na szczycie sękatych schodów. Niewiele myśląc wdrapałem się do niej. U podstawy konaru pień wypróchniał tworząc wejście do mrocznej dziupli.

Ocho, moja pani sówko — zażartowałem — czy już czas na twe łowy?

Z głębin pnia dobiegł mnie urywany śmiech. Za to Emma zachowała największą z możliwych godność; obciągnęła sukienkę uniesioną przez wiatr i podała mi dłoń. Przyciągnąłem dziewczynę do siebie i muszę przyznać, że nie opierała się zbytnio.

— Czy kochałeś się, kawalerze? Ale tak naprawdę, jak mężczyzna kocha kobietę? — spytała filutka.

Udałem zakłopotanie, chcąc ukryć prawdziwą niepewność; co powinienem odpowiedzieć? Oczywiście, że tak, zdobywałem dziewczyny na pęczki! Ale w tej właśnie chwili zrezygnowałem z przechwałek, jakby ciemność zmusiła nas do odrobiny szczerości.

Milczałem więc, a Emma i tym razem nie roześmiała się. Z dziupli wszakże doleciało stłumione parsknięcie i zaraz gorliwe psykanie.

— To miała być niespodzianka — rzekła po prostu Emma — już wiesz, że one tam są...

— Kto? — spytałem niezbyt przytomnie.

— Jane i Winnie. One też chciały wiedzieć, czy miałeś już dziewczynę...

Oświadczenie Emmy zbiło mnie z tropu. Teraz należało błysnąć światowym cynizmem, nie dać odetchnąć oszołomionym słuchaczkom i natychmiast złożyć na ustach jednej z nich wyuzdany pocałunek! Ale, jak na złość, w obecności tych (jak sądziłem) znacznie bardziej doświadczonych dziewcząt zapomniałem języka w gębie.

Nie chłodno ci? — zatroszczyła się Emma. — Dziewczęta, dajcie coś na rozgrzewkę!

Z pnia wynurzyła się Jane z butelką przedniej sherry. Gdy łyknąłem zdrowo i błogie ciepło zaczęło krążyć w żyłach, za mym przykładem poszła cała trójka. Nie przeszkadzały nam skrupuły, iż butelkę słońcu z pańskiego stołu (panienki zarzekały się, iż „pożyczyły” ją pod nieuwagę chytrego lokaja). Po wysuszeniu jednej — z rąk do rąk powędrowała druga.

— Upijecie mnie! — zaprotestowałem wesoło i chętnie dałem się zaciągnąć do dziupli.

Było tam ciemno choć oko wykol, lecz zmysł wzroku doskonale został zastąpiony przez wyostrzony słuch, powonienie i dotyk. Słyszałem potrójny, przyspieszony oddech, czułem wieloraki zapach ciał. Błyskawicznie rozebrano mnie z przepoconej koszuli. Gdy jedna z dziewczyn pieściła me plecy, druga przytulała się do wyłaniającego się z odpinanych spodni brzucha, trzecia zaś językiem wodziła po mych wargach, usiłując je otworzyć. Wdzięczne trojaczki wciskały się ze swą zalotną chciwością w każdy zakamarek ciała, pod pachy, brodę, w zgięcie rąk, aż wyczerpawszy wszystkie możliwe (jak mi się zdało) pieczyoty — od ssania sutek po ostre rysy paznokciami — zeszyły niżej, ku biodrom. Raptem wyzwolony z ograniczających ruchy pantalonów stanąłem nagi, z płonącym wnętrzem i bużującą od rwących uderzeń krwi męskością. Nadziewały się na ów, wyjęty z największego żaru, pręt i odskakiwały z udanym przestraczem. Ocierały się o niego, trącały, bardzo bliskie i zarazem dalekie, nieosiągalne i ciągle obecne... Jedna z dziewcząt, jakby w obawie przed ostatecznym spotkaniem zajęła się skrupulatnym pieśczeniem mych pośladków. Zwierała je i rozwierała, wodząc palcami w otwartej szczelinie. Za każdym razem coraz śmielej odnajdywała drogę w głąb, ku szorstkim włosom wyścielającym delikatną słuzówkę. Inna para dłoni i inne usta zajęte były zabawą polegającą na podbijaniu woreczka, w którym przesuwają się dwa obłe twory, zupełnie bezbronne wobec natarczywości ust, pragnących je połknąć. Trzecia para rąk błędziła po mych lędźwiach. Szorstki, ciepły język dokładnie wylizywał skórę w stawach i pachwinach, coraz śmielsze zęby, ominąwszy kłujący ciemność członek, chwytają ruń obrastającą go u podstawy i rwały ją z iskrą bólu, od której drżałem na całym ciele.

Gwałtowny atak z wolna przemieniał się w zaplanowane oblężenie. Łagodna i ciepła dłoń objęła członek poczynając pracowite, a tak dobrze znane mi ruchy, podczas gdy nieskromne palce innej dłoni wciskały się energicznie pomiędzy pośladki. Rozkosz, nadchodząca z obydwu stron przewyższała wszystko, czego doznałem. Mała piąstka zwierala się coraz mocniej na pulsującym penisie naciągając go i wyprężając aż do granic wytrzymałości wiązadełka. W mim wnętrzu palce obracały się coraz szybciej — w lewo i prawo rozciągając delikatny mięsień broniący dostępu dalej. Jednocześnie, w otwarte do krzyku usta wtargnął długi, ciekawy język, za którym spadły słono—słodkie, miękkie, dziewczęce wargi. Zderzając się zębami całowaliśmy się do krwi. Któraś ugryzła mnie w pępek — zachwiałem się, pociągnięty bez pardonu za sztywny hak, kotwiczący mnie w coraz to innych dłoniach.

— Ukłęknij — rozkazano.

Wykonałem polecenie i prawie natychmiast mą twarz połaskotał jedwabisty gąszcz. Duszny, nieco ostry zapach dodał mi ostróg, zanim jeszcze uświadomiłem sobie, jak bardzo sekretną część ciała kobiety przyjdzie mi dotykać.

Powtórzyłem teraz wszystkie sposoby stosowane wobec mnie wcześniej. A więc brałem pomiędzy wargi i zęby pojedyncze i całe kępki włosów i targałem mocno, niekiedy wrywając; wysuwałem język i dotykałem wypukłości ukrytych w tych zagajnikach, a natrafiwszy na twarde ziarnko, obrzmiewające pod dotykiem, lizałem je zawzięcie, aż rosło do rozmiarów sporej sutki; wówczas wysuwałem wargi i ssałem, twarzą wciśnięty w miękkie kobierzec...

Pragnąłem unieść dłonie, by objąć nasuwające się na mnie ciała, ale dziewczyny odtrącały mnie, jakbym istniał wyłącznie poprzez usta... Mój język rozmawiał z szerokimi wargami, na które wpływał lepki śluz o smaku słodkim i mdłym, niczym mleko z matczynej piersi...

Nareszcie zwinne uda oplotły mój kark, pogrążając mnie po uszy w kobiecej intymności. Napastniczka biła piętami w wygięte pod jej ciężarem plecy i coraz silniej zwierala nogi na mej szyi. Aby się uwolnić ugryzłem mocno, zdecydowanie, w sam miąższ kobiecości, słysząc nad sobą wysoki okrzyk bólu. Czarus!

— tym gniewnym słowem skwitowano mój wyczyn i zaraz potem dostałem siarczysty policzek. Z ciemności sypały się na mnie razy wymierzone nogami i dłońmi. Nie bronilem się, przyjmując je jako słuszną karę. Za co? Może za własną, ciąglejszcze nie skażoną niewinność...? Miałem bowiem wrażenie, iż ta długa scena z Emmą, Jane i Winnie rozgrywała się jakby bez mojego udziału. Istniałem wśród trzech dziewcząt zaledwie ciałem, które dostroiło się do ich potrzeb. Moje prawdziwe pragnienie miłości nie zostało spełnione. Cień okrutnej lady Margaret dosięgnął mnie i uwięził... może na zawsze?

Rozdział szósty

Nazajutrz o świcie Douglas wślizgnął się do mego pokoju, aby zabrać mnie do biblioteki. Uznał bowiem, iż tak ranny czas będzie szczególnie odpowiedni dla przejrzenia najbardziej frywolnych ksiąg. Pałac spał w najlepsze i ja razem z nim. I nic dziwnego: do łóżka kładłem się zaledwie trzy godziny temu. Nieustępliwy Found targał mnie za ramię tak długo, aż wreszcie ocknąłem się sądząc, że znowu trafiłem do dziupli... Uważając, by nie zakłócić prostackiego snu współmieszkańców zesłiśmy na dół i przez nikogo nie niepokojeni dotarliśmy do księgozbioru. O tej porze wyglądał zaiste tajemniczo. Wielkie, zamczone szafy, półki uginające się pod ciężarem zwalistych inkunabułów i ów kręcący w nosie zapach... Powodowany nieświadomym impulsem krzyknąłem na całe gardło, wiedząc, że zwały książek skutecznie wytlumią dźwięk. Brzmiał mój okrzyk niczym „eheu” i owo „eheu” powtarzały niezliczone echa myszkujące w bibliotecznej komnacie. Douglas z przekorą w oku stwierdził, że cytuję Horacego.

Horacego? — spytałem — a kimże on jest? Jeśli to Grek, wyjaśnij mi, proszę, czy znał Dionizosa? Ten Bóg podoba mi się najbardziej. Czytałem o jego koźlich nogach! Niestety, w naszej Anglii chyba nie mieszka!

Natychmiast wdaliśmy się w dyskurs na tematy starożytne. Horacy, co prawda. Grekiem nie był, ale Dionizos, zwany także Bakchiem okazał się nader interesującą postacią. Księgozbiór lorda pozwalał na zaspokojenie najbardziej wyrafinowanej ciekawości, a ta szczególnie odpowiadała memu przewodnikowi. Rozłożył przede mną wielką księgę oprawną w skórę i polecił studiować ilustracje przedstawiające nieczne sceny. W rzadkim lesie, wśród starych drzew goniły się nagie pary mężczyzn i kobiet. Chłopcy, z narzuconymi na ramiona skórąmi zwierząt usiłovali doścignąć swe wybranki, a kiedy im się tu udawało stawali przed nimi w całym rozkwicie męskości. Na pierwszym planie urodziwa dziewczyna oddawała się adoracji nagiego kochanka. Ze słów Douglasa wynikało, iż tego rodzaju zabawy nosiły nazwę misteriów, a zarzucono je całkiem niedawno. Jeszcze niespełna dwa wieki temu, choć potajemne i poświęcone innemu Bogowi kwitły na kontynencie, wyznawców znajdując także w Anglii.

A dzisiaj? — nastawałem, lecz Found nie raczył odpowiedzieć. Dowiedziałem się tylko, iż podczas tych osobliwych zabaw kobiety wpadały w szal i, niekiedy, rozszarpywały mężczyzn na drobniotkie kawałki. Kolejna ilustracja ukazywała obraz podobnej kaźni. Mężczyzna leżał na ziemi, a nad jego okaleczonym ciałem pochylały się zakrwawione bachantki z grymasem obłąkania na twarzach

Rysownik nader wiernie oddał grozę wypadków...

Wzdrygnąłem się, a Douglas rzekł:

— Kobiety bywają dla nas niebezpieczne! Warto o tym pamiętać, nawet tutaj, w pałacu...

I spojrział na mnie tak znacząco, iż przysiągłbym, że wie o nocnych igraszkach z trzema pokojówkami.

Ale nie... Było to równie mało prawdopodobne jak śmieszne. Czyż potrafiłbym wyobrazić sobie Douglasa Founda, łysonia i śledziennika uprawiającego miłość? Może tonsurka na ciemieniu, może uroczysty sposób wysławiania się albo po prostu znacząca różnica wieku (był niemal dwukrotnie starszy ode mnie!) sprawiły, iż traktowałem go jak muzealny okaz. Myliłem się i myliłem się sromotnie, albowiem Douglas Found, cichy bibliotekarz, skrywał w zanadrzu niejedną niespodziankę! Wszelako bliskość książek zacierała dla mnie granicę między snem i jawą. Z Douglasem śniłem zaś bardzo dziwny sen...

Mój preceptor udawał mi, że każdy sekret dotyczący się spraw miłosnych znajduje w bibliotece lorda Fontenbarry dobrze zaopatrzoną półkę. Przyznaję, iż okoliczność ta rzucała pewne światło na arystokratycznego właściciela książek, który znał zapewne charakter części zbiorów i sam (a zadnych dowodów nie było), choć trochę zajmował się ich kolekcjonowaniem... I w tej materii Douglas nie raczył odpowiadać jasno. Dlatego podejrzewałem lorda (zanim zwątpiłem w nieskazitelność Douglasa) o ekscentryzm i szukałem potwierdzenia mych domysłów.

Z zebranych wiadomości zdołałem zestawić obraz następujący: jasnie pan nigdy się nie ożenił. Pięćdziesięcioletni kawaler w środowisku, które małżeństwo traktowało jako spełnienie rodzinnej misji, stanowił wyjątek. Co prawda, młodszy brat zapewniał kontynuację nazwiska; czyżby dlatego lord tkwił uparcie w starokawalerstwie? Z plotek, jakie kursowały po kuchni wnosilem, iż w młodości interesował się kobietami. Wymieniano imiona wieśniaczek z sąsiedztwa, które zwykł hojnie wianować przed ich zamążpójściem. Potem zdziwaczał, porzucił towarzystwo, zamknął się w pałacu i od kilkunastu lat przestawał na co dzień z bardzo młodymi chłopcami, często ich wymieniając. Nieustannie więc nowi kandydaci przechodzili nieodzowne szkolenie. Pragnąłem z całych sił, aby moje dobiegło końca.

Nareszcie Samuel Gedeon Simps oświadczył pewnego dnia, że zasługuję na objęcie zaszczytnych obowiązków. Wiadomość pocztą pantoflową przedostała się na poddasze. Wieczorem, gdy służba udawała się na spoczynek, moi współlokatorzy, nie bez przekąsu, gratulowali mi pięknego osiągnięcia. Douglas popatrzył na mnie milcząco i zamknął się w pokoju, chociaż pragnąłem z nim porozmawiać, poradzić się, a nawet zwierzyć z dręczących wątpliwości...

Tylko Emma, tym razem czegoś smutna, zaprosiła mnie na mały poczęstunek przed snem. Odwiedziny w kobiecej części poddasza były surowo wzbronione, jednak życie łamało ów zakaz, a Gedeon Simps, który go wydał, spał twardo. Nic

też nam nie groziło, dopóki nocne schadzki nie zakłócały normalnego funkcjonowania pałacu. Śmiało więc i bez zbytej dyskrekcji udałem się do izdebki dziewcząt (Emma mieszkała wraz z Jane i Winnie), zdecydowany uderzyć do ich serc i zdobyć je, nawet za cenę małej śmieszności. Zaopatrzyłem się w bukiet ułożony z mchów i liści, bardzo niezwykły i, moim zdaniem, przydający tajemniczości całemu spotkaniu.

Zapukałem cicho i słysząc przyzwolenie wszedłem do środka. Pokoik tonął w mroku, a choć znałem już wcześniej jego rozkład (trzy łóżka prostopadle stojące do ściany i mały stolik u okna) zacząłem posuwać się ostrożnie, wyciągając przed siebie rozłożone dłonie. W dzień to ciasne wnętrze wyglądało bardzo wesoło, lecz teraz, w ciemnościach, miałem wrażenie, że ktoś lub coś czyha na mnie i zaraz skoczy mi na kark.

— Zamknij drzwi — ponagliło szeptem. Nie potrafiłem rozpoznać głosu, lecz posłusznie zawróciłem i zlikwidowałem cienką smużkę światła bijącą ze szczeliny. Prawie nic nie widziałem, więc bezosobowy głos kierował moimi krokami. Prawdę rzekłszy nastawiałem się na niespodziankę podobną tej w ogrodzie. Dziewczyny nie wspominały o naszych figlach, choć od tamtego wieczoru upłynęło już kilka tygodni; miałem więc uzasadnioną chrapkę na kilka ponownych pocałunków. Tym razem jednak postanowiłem wykazać inicjatywę. Niestety, zaraz na początku drogi zapodział mi się oryginalny bukiet. Toteż ukląknę, aby przeszukać podłogę, a głosik ponaglał mnie, wabiąc i powstrzymując zarazem. Namacawszy nieszczęsny wiecheć sunąłem do przodu, nie decydując się jednak powstać z klęczek.

— Jane, Mary, Emma? — — zgadywałem, uzyskując wykrętne odpowiedzi. Filutka doskonale zmieniała barwę, a nawet sposób wymawiania głosek. Mimo wysiłków nie udawało mi się rozpoznać żadnej z dziewcząt.

Kim jesteś? — zirytowałem się i odpowiedź musiała nadejść szybko, w przeciwnym razie...

— No co? — prowokował głosik. — Co zrobisz, czarusiu? Nie wysilaj się zanadto, jestem tu sama, samiutka jak paluszek... Najpierw mnie znajdź, a potem pytaj. Póki mnie nie dostałeś, mogę nic ci nie mówić!

Natknąwszy się na krawędź łóżka uznałem, że warto byłoby je przeszukać. Niestety, mimo starannej penetracji nie dotknąłem niczego, co choć trochę zasługiwałoby na miano dziewczyny.

— Czekam, chodź do mnie!

A to dobre! Ileż wysiłku kosztowało to przekomarzanie! Nie tak wyobrazałem sobie ten wieczór! I do tego jeszcze bukiet rozpadał się, szeleścił i zupełnie tracił fason.

— Zapal światło, mam dosyć tej ciuciubabki!

Mimo, że mój głos brzmiał wystarczająco nadąsanie przyznawałem się przed sobą do porażki. I tym razem przewagę zdobyła dziewczyna! Cóż, taki widać mój przeklęty los...



Jakby na zawołanie pojawiła się iskra i maleńki płomyk ogarka oświetlił moje stopy. Przekornie uśmiechnięta twarz Emmy wyglądała ku mnie spod kapy, przykrywającej łóżko.

— No wiesz — obruszyłem się — to tak przyjmujesz gości?

Nie zamierzała się tłumaczyć, a była naprawdę prześliczna z frędzlami kapy we włosach i różową, gołą ręką, wspierającą podbródek.

— Na co czekasz? — mruknęła zalotnie. Chodźże do mnie, fajtapo!

Mam tam wejść? — zawahałem się, ale pomysł zaczynał mi się troszeczkę podobać.

— A dlaczegoż by nie?

No właśnie, nikt nie powiedział, że nie wolno spotykać się pod łóżkiem, zwłaszcza dziewczynie i chłopakowi, którzy witali się już w nierównie osobliwych okolicznościach! Niewiele myśląc zanurkowałem na podłogę i wyciągnąłem się jak długi u boku Emmy, ciągle ściskając w dłoni niewygodny bukiet.

— Jaki ładny — przyznała i zanurzyła w nim buzię. — Czy chciałbyś mnie pocałować?

Oczywiście, że tylko tego pragnąłem. Ale proponując mi pocałunek nie wychyliła noska z szeleszczącego listowia. Przymierzałem się więc to tak, to owak, kluty zeszcłym mchem, lecz, jak na złość, od góry nie sposób było skraść całusa.

— Nie tu — szepnęła, gdym ponawiał próby.

— Więc gdzie? — spytałem obcesowo, usiłując dopasować się do jej ciała w ciasnocie pomiędzy deskami łóżka a podłogą. Światło ogarka ledwie smużyło przez szczelinę pod zawieszoną narzutą i nie dojrzałem wyrazu twarzy mej kochanki, gdy ujęła mnie za rękę i naprowadziła na żądane miejsce.

— Och — westchnąłem uszczęśliwiony — naprawdę chcesz właśnie tutaj?

Zniecierpliwiło ją takie niedowiarstwo.

— Całuj albo się wynoś!

Obróciłem się na bok i przesunąłem w dół jej ciała, owiniętego w jakąś chłodną w dotyku materię. Sama uchyliła jej rąbek i poddała ku mnie obnażone biodra. Nie wolno mi było zmarnować okazji! Schwyciłem ogarek i przybliżyłem do frapującego zakątka.

Szczupły owal brzucha, zwieńczony rdzawym puszkciem włosów wychylających się ze zwartych ud, stanowił widok tyleż podniecający co... groźny. Z bliska wydawało się, iż ta cieśń czeka tylko na zmiżdżenie ufnej męskości, która nieodwołalnie musiała trafić w nią i — polec. Szukałem porównań dla owego ryzykownego miejsca i w ostateczności wybrałem dobrze mi znane. „Jak dziupla”; jednak nie z parku, pełna rozgrzanych ciał i śmiechów! Mój policzek z niejaką obawą ślizgał się po gładkiej skórze i lgnął do pierwszych zarośli. Teraz wargami jałem badać teren ani na chwilę nie zaprzestając oświetlania go pełgającym płomykiem. Nawet śwąd z opalanych od spodu desek nie skłonił mnie do zdmuchnięcia światelka. Moje wargi obniżały się w gęstwę włosów,

nieuchronnie natrafiając na pierwszą, wydatniejszą fałdę, rozdzielającą ciało, która niżej stawała się coraz mięsistsza, ukrywając w sobie wiele słodkich zaskoczeń.

Złożyłem przeto najdłuższy z długich pocałunek, starając się przy tym podważyć brzegi zaciśniętej szczeliny. Daremny trud! Po drganiu brzuszka Emmy poznawałem wszakże, iż moja przedsiębiorczość przynosi pewien skutek. Ale dziewczyna nie traciła niczego z woli opierania się, i to stanowczo!, mym ciągle nieporadnym zabiegom.

Nie znajdując innego sposobu, przedłużałem pocałunek w nieskończoność, z przyjemnością odczuwając walkę Emmy. Kilkakrotnie starała się zdmuchnąć płomyk, ale zbyt wielka odległość czyniła jej wysiłki daremnymi.

Spalisz nas! — ostrzegła z niekłamanym niepokojem, gdy śwąd z desek przeradzał się w siwy opar, wyciskający łzy z oczu.

Cóż stąd, że spalę? Potrzebowałem tego ognika, który pozwalał nie tylko dotykać, lecz i widzieć dotyk, a wraz z nim i rozterkę Emmy. Wstyd przyznać, lecz pragnąłem wręcz jej cierpienia i przestachu, tym bardziej, im dokładniej widziałem jak bardzo jest krucha!

Zgwałcę cię! — wycedziłem nieoczekiwanie dla samego siebie, przesuając otwartą dłońią po jej spoconej pachwinie.

Taka groźba nie była jej straszna... Umiała bronić się jak dzika koza i, zapewne, wyszłaby z tego starcia zwycięsko. Ale ja, stosując inną broń, broń czułości i wyuzdania, zepsucia i czaru, prędkiej, czy później, okiełznam jej dzikość...

Czy jednak od razu nie powinienem okazać tej gąsce, że jestem prawdziwym mężczyzną? Myśl ta, skoro już zaświtała w mej rozkołysanej wyobraźni, domagała się czynu. Najwidoczniej Emma poczuła się naprawdę zagrożona, bowiem zaparła się kolanami i rękoma o spód łóżka. Stary, ciężki mebel nie dawał się przesunąć, choćby na ćwierć cala. Gdybym mógł wygodnie wpasować się pod solidną ramę, pewnie ruszyłbym z miejsca to przeklęte wyro, a wraz z nim i jego sprytną panią!

Wierście, nie chciałem być okrutny! I nie sądziłem, że taki pomysł kiedykolwiek mi zaświta... A jednak, w odwecie, sięgnąłem po dopalający się ogarek i z całą premedytacją przechyliłem go nad nieustraszoną szczelinką. Gorący łój stopił się skwierczącymi soplami na dziewczęce łono...

Krzyknęła i usiłowała odepchnąć płomyk, który zgasł nagle, pogrążając izbę w rozdygotanych ciemnościach. Odrzuciłem precz tłący się jeszcze knot, jakbym winił go za całe nieszczęście i już gotowy byłem do przeprosin, gdy Emma... Och, odpłacała mi pięknym za nadobne, wyorując paznokciami głębokie szramy na mym spotniałym z wrazenia karku! Dotkliwy ból, zagłuszający namiętność, otrzeźwił mnie na tyle, że wyczołgałem się spod łóżka, nie skąpiąc przekleństw. Wyzywałem Emmę od dziwek i sam święcie wierzyłem, że to prawda!

Potem usiadłem na łóżku i zatonąłem w ponurych, choć nieokreślonych myślach.

Emma wypełzła ostrożnie i dopiero ugięcie pościeli ostrzegło mnie, że usiadła tuż obok. Milczeliśmy — ja ciągle wściekły i trochę obrażony, a ona? Co właściwie roilo się w jej małym, dziewczynskim łepku?

Jesteś jeszcze bardzo młody — zaczęła — i wcale nie musisz kochać się z kobietą...

Furie! Musiałem wszakże pozostać zimny i obojętny, aby już więcej nie dawać satysfakcji tej obłudnicy.

— Nie muszę — rzekłem wyniośle. — A ty wcale nie jesteś moją pierwszą...

Kłamiesz — powiedziała zwyczajnie i prawie się z nią zgodziłem. — Ja wyczuwam takich jak ty, prawiczków. Czarus, ot co, zwykły, bezczelny czarus!

Drzwi skrzypnęły i do izdebki weszły Jane i Winnie. Przysięgłbym, że czas ten spędziły w łóżkach lokajów. Zachowywałem się teraz stanowczo i surowo, gotowy sądzić wszystkich. Winnie odnalazła ogarek i zapaliła go, ukazując nasze naburmuszone twarze.

— Coś nie tak? — — domyśliła się i wielkodusznie poczęstowała nas leguminą, ściągniętą z kolacji. Trzymaliśmy w dłoniach drewniane talerzyki nie tykając jedzenia.

— No, mój panie — rzekła Jane — wskazując na łóżko — twój czas minął. — Zapraszamy na jutro o tej samej porze...

Dziewczyny parsknęły zgodnym śmiechem; Emma wtórowała im jakby nigdy nic...

Opuściłem rozchichotaną izdebkę jak niepyszny. Odtąd postanowiłem sobie unikać kobiet poza jedną: lady Margaret! Siostra lorda powracała bowiem do starożytnej siedziby Fontenbarrach po długim pobycie w Londynie. Wkrótce zajęła całą mą wyobraźnię, nic zgoła nie pozostawiając dla małej Emmy z głupiutkim uśmiechem na wargach...



Rozdział siódmy

Zanim jednak lady Margaret zjechała z Londynu — lord posłał po mnie. Stałem się pełen wielkich przeczuc, gotów memu panu przychylić nieba. Siedział w swym gabinecie zadumany, samotny i, zdawało się, bardzo stęskniony towarzystwa.

— Doskonale, Colin odezwał się łagodnie, chrzcząc mnie nieznanym imieniem, które wkrótce przyłgnęło do mnie i pozostało — bardziej znane od nadanego mi przez rodziców. Lord zwykł wynajdywać dla swych podopiecznych nowe imiona; wkrótce poznałem, iż wszystkich mych poprzedników spotkał ten sam, zaskakujący zaszczyt.

— Czy zechcesz być towarzyszem mojego smutku? — ciągnął, patrząc mi głęboko w oczy. Powinienem, zgodnie z zaleceniami Gedeona Simpsa, spuścić skromnie wzrok, ale wyrecytowałem jedynie wyuczoną formułkę: „do usług, jaśnie panie!” widząc, jak lord krzywi się i protestuje:

— Ależ nie, piękny chłopcze, po cóż tak oficjalnie! Czy ten okrutny Simps nie uprzedzał, że nie lubię, by zwracano się do mnie jak do osoby wszechwładnej?

Jak jaśnie pan rozkaże... — bąknąłem, mocno zaniepokojony. Służba, już na początku, ujawniała swe zagadki: jakże miałem przestawać z nim jak równy z równym, skoro stanem, ale i umysłem tak dalece mnie przewyższał? Co począć w takiej sytuacji?

Nie tak sztywno, Colinie — dopomógł mi lord. Usiądź proszę, nie stój jak wyrzut sumienia naszego pałacowego despoty...

Uśmiechnęliśmy się obaj z tego żartu, a gdy wykonałem polecenie lord, stanąwszy za mną, położył mi dłonie na ramionach i cicho zaczął tłumaczyć:

Wiesz, Colinie, życie ludzkie jest naprawdę pozbawione bardzo wielu radości. Może dlatego, że nie umiemy poprzestać na małym. Żyć w smutku jest ciężko i przykro. Tacy jak ty, młodzi, bardzo młodzi (poprawił się), potrafią rozśłonecznić najbardziej chmurne godziny... Po cóż więc dążyć do osiągnięcia rzeczy niemożliwych, skoro wokół nas znajduje się tyle piękna?

Jego chłodne dłonie głaszały mą szyję, przesuwaly się po włosach, wciskały pomiędzy ich pasma, chwytaly za uszy, pieściły... Zaczerwieniłem się i lord to spostrzegł. Roześmiawszy się, zdjął dłonie z mojej głowy.

— Nie wolno się wstydić przyjemności! Przecież ja naprawdę bardzo mało chcę od ciebie, Colin...

Mówił z wyrzutem, który mnie jeszcze bardziej peszył.

Zerwałem się niezręcznie i ponownie zająłem przepisową pozycję sługi. Lord pobłażliwie kiwał głową.

— Jesteś sztywny, nieprzystępny i dziki — rzekł, nie starając się już niczego nakazywać. — Dlaczego, Colinie, nie zachowujesz się całkiem swobodnie?

Proszę mi wytłumaczyć, jaśnie panie, co też to znaczy! — zdobyłem się na wielką, w moim mniemaniu, zuchwałość.

— Przemówiłeś ludzkimi słowy! — uradował się lord.

Usiadł na biurku i splatając dłonie na kolanach, powiedział:

Być swobodnym... To chyba zachowywać się w sposób niezależny od wszelkich, cudzych rad...

Obiecałem, że przemyślę tę kwestię, a on zgodził się ze mną wielkodusznie. Myślałem więc usilnie idąc za mym panem do stajni (albowiem zadysponował małą przejażdżką). Wszystko przygotowano już wcześniej, kulbaki były pełne, i nikt nie wyrażał zdziwienia, że jadę za lordem Fontenbarry na zgrabnej, jabłkowej klaczy. Tylko mnie wydawało się, że śnię...

Galopowaliśmy równym tempem kilka mil, aż oddaliwszy się od pałacu i od zabudowań folwarcznych wjechaliśmy pomiędzy smukłe drzewa zagajnika. Kopyta szurały w stosach liści, podrywając je z ziemi. Lord odwrócił się do mnie i szepnął:

— Jakże piękna jest jesień, Colinie...

O tak, milordzie — odrzekłem jesień to najsmutniejsza pora roku... Zawsze chce mi się płakać, gdy nadchodzi!

Doprawdy, nie umiałbym wyjaśnić skąd ów niespotykany u mnie elegijny ton. Może istotnie pochmurna pogoda i syjące listowiem drzewa natchnęły mnie nagłą melancholią. A może to oczy lorda Fontenbarry zawierały wszystko, co niezbędne dla wywołania takiego nastroju?

Przeszliśmy w klusa, drzewa zagęszczały się tworząc pierzeję lasu. Znałem go dobrze z wypraw po grzyby i zioła, z których matka sporządzała lecznicze mieszanki. Tym razem, oglądany z końskiego grzbietu, wydał mi się odmienny. Patrzyłem na pustoszejące korony drzew, przepływające pomiędzy nimi chmury i ogarniał mnie jakiś cień, nasuwający się na serce. Lord wyjaśnił mi później znaczenie owego uczucia; sądzę, że po raz pierwszy doświadczyłem go właśnie w tym lesie...

Przebywając zaledwie godzinę w najbliższym otoczeniu lorda przejmowałem jego nawyki, sposób myślenia i upodobania, a nawet charakterystyczne ruchy, jakbym nasiąkał jego osobowością. Do tego stopnia, iż w czasie krótkiego postoju wygłosiłem zwięzłą, lecz afektowaną mowę na temat jesieni i przykrego usposobienia, jakie wywołuje u wrażliwych natur! Lord słuchał z przyjemnością i nawet pochwalił mnie, własnoręcznie wkładając mi do ust kawałek pieczeni z prowiantowego koszyka.

— Colinie, mój śliczny chłopczyku, jesteś bardzo, ale to bardzo subtelny...

O tak, czułem jak subtelność rwie we mnie gorącym strumieniem, niszcząc po

drodze całą obskurność dotychczasowego żywota. Jakże inna mogłaby być miłość, gdyby uprawiać ją subtelnie! Ale z kim? Dziewczeta... No cóż, przypomniał mi się ich oddech i dałbym głowę, że był nieświeży. Lady Margaret... Na myśl o niej zamąciło mi się w głowie. Jej miłosne wyczyny z byle sztachetką także nie zaliczały się do najsztelniejszych, a jednak szósty zmysł naszeptywał, iż siostra lorda mogła jedynie udawać, a naprawdę...

Nie dane mi było tych studiów dokończyć, gdyż lord, po pokrępieniu się, naglił do dalszej podróży. Zorientowałem się, iż jedziemy w jasno oznaczonym kierunku, a nasza przejażdżka nie skończy się tak rychło, jak mi zapowiedziano. Zjechaliśmy bowiem na wiejski trakt i podążyliśmy w kierunku Jarwey, majątku baroneta Widmarka. Słyszałem wiele o barwnej postaci baroneta, choć nigdy dotąd nie dane mi było go ujrzeć. Zazwyczaj przebywał w Londynie, gdzie — jak opowiadano — czas spędzał na występnych hulankach i popijawie z takimi jak on, beztruskimi arystokratami, trwoniącymi na potęgę odziedziczone dobra. Jarwey robiło bokami, dzierżawcy z najwyższym trudem spłacali zobowiązania baroneta, a plony, jak zwykle nie dopisały... O tym wszystkim głośno rozprowadano w Kew, a i u Fontenbarrach nie brakowało ludzi, chętnie gadających niestworzone historie o baronce Widmarku i jego finansowych kłopotach.

Pałac w Jarwey stał mocny, ozdobny i bardzo pański. Zajechaliśmy na dziedziniec, z którego paradne schody prowadziły do szerokich odrzwi. Wyszedł z nich wytworny pan w peruce i jakże się zdziwiłem, gdy lord, nie podawszy mu ręki, rzekł:

— John, zamelduj baronetowi o naszym przybyciu...

— Tak jest, milordzie — odpowiedział strojniś, ujawniając swą lokajską naturę. Wstyd powiedzieć, ale lord w szarym, sukienym odzieniu, wyglądał nędzniej od tego dumnego obwiesia!

Kroczyłem za swoim panem, przechodząc przez sień i amfiladę komnat na piętrze do dużego pokoju, obitego czerwonym jedwabiem. Na wschodnim kobiercu, wsparty o skórę egzotycznego lwa, spoczywał baronet Widmark.

Witaj, Jerzy, stary rozpustniku! — zawołał wesoło na nasz widok i zrobił do mnie ogromnie brzydkie oko. — A to zapewne nowy sekretarz? Skądże, u licha, wynajdujesz tych rozkosznych chłopaczków?

Mlasnął językiem, kiwnął na mnie palcem, a gdy zbliżyłem się na wyciągnięcie ręki, objął mą łydkę jak pęcinę konia. — Nie za chudy, nie za obfity... — zamruczał z rozkoszą.

— Jerzy, zawsze bezbłędnie dobierasz proporcje!

I nakazującym gestem zmusił mnie, abym zajął miejsce u jego boku. Przycupnąłem, udając, że pilnie oglądam kobierzec (a wart był podziwu!), gdy mój pan, rozsiadłszy się wygodnie na obitym czerwonym safianem fotelu, niczym gospodarz zadysponował:

Porto dla mnie i baroneta, a dla chłopca — podwójną whisky!

Ten sam dostojny sługus wypełnił życzenie lorda. Piłem pałacy plyn; bliskość

otyłego ciała i zaczepne spojrzenia, jakich nie szczędził mi jego właściciel, pozbawiała mnie odwagi do tego stopnia, że bez protestów wysączyłem podaną mi szklanicę. Gdy błogie ciepło zaczęło rozchodzić się po mych członkach, nie odczuwałem już tak wielkiego skrępowania. Widmark wysłał ku mnie jakiś zew, niczym kudłata głowa lwa, o którą się wspierał. Zupełnie, jakby mnie wpychał w paszczę barbarzyńskiego monstrum...

Panowie rozmawiali o zbiorach, leniwych parobkach, wymieniali plotki / sąsiedztwa i w ogóle robili wszystko, abym się odprężył. Miły ogień trzaskający na kominku i działanie whisky pomogły mi uzyskać stan zubożenia i senności, w której ginęły wszystkie lęki. Nie zaprotestowałem więc, gdy baronet miękkim ruchem przewrócił mnie na kobierzec.

Leżałem obok niego zawstydzony, że uroniłem kilka kropeł z dna szklanicy. Drobna plama na drogiej materii wystawiała mi jak najgorsze świadectwo. Ale gospodarz chyba jej nie zauważył. Wyjął mi z rąk opróżnione szkło i klepnął uspokajająco po biodrze.

— Nie przejmuj się, Colin (znał moje imię!) — gładził napięte na mych łądźwiach sukno. — Nikt nie zrobi ci krzywdy, niczego się nie obawiaj, wszystko jest swobodne (nastawiłem uszu!), swobodne — powtarzał rozkoszne słówko, a lord potakiwał i uśmiechał się szeroko.

Zapadałem w sen — dziwny, bo niechciany i jakby płynący z zewnątrz. Moje ciało obumierało szybciej, niż się na to godziłem. Zarazem utrzymywałem przytomność umysłu, choć głosy dobiegały teraz dudniące i matowe.

— Uważaj — rzekł mój pan — chłopak jest całkiem niewinny!

O, jak wszyscy twoi faworyci — odciął się zniecierpliwiony Widmark i obrócił ku mnie. Szerokie, fałszywie rozpogodzone oblicze zawisło nade mną jak księżyc w pełni. Podobieństwo zdawało się tym celniejsze, iż sufit pokoju roił się od gwiazd w kolistych, jakby tęczujących obwódkach. Nie znałem takiego sposobu ozdabiania salonów toteż, zamiast skupić uwagę na pchającym się do mnie Widmarku, spojrzałem na pokój. Widoczna jego część niewiele różniła się od konwencjonalnego pokoju przyjęć. Ale rozwieszona na ścianach broń skrywała intrygujące przedmioty. Nad ciemnym obrazem, przedstawiającym małą dziewczynkę pochylającą się nad śpiącym lub martwym psem wisiał krzyż. Mimo całej ułudy był on czym innym od symbolu wiary, gdyż rozpięto na nim małego stworka o wielkich oczach, dziecko gada z rogiem na czole i jaszczurzym pyszczkiem, skąd wśród małych ząbków zwieszał się różowy język...

Strach usiadł mi na piersiach i zdławił. Powróciłem wzrokiem na twarz baroneta, który przyglądał mi się badawczo, już bez uśmiechu. Jego wąskie brwi zbiegały się na środku czoła, nos cofał się, nozdrza rozszerzały. Niby lew, sprężony do skoku rozpoczynał polowanie. Cofnąłem się, a on przytrzymał mnie twardą dłonią.

Potem nastąpiło najgorsze; trwałem w lepkiem omroczeniu, przerywanym sekundami lęku i obrzydzenia, gdy Widmark zręcznie rozpinał guziki mej

kamizelki; wyciągnąwszy mi koszulę spod paska, zarzucił ją na mą twarz. Czuję, jak kilkakroć dotyka spierzchniętych sutek, a potem przejeżdża zgiętym palcem w dół, przez splot słoneczny do pępka. Wygiąłem się pod tym dotykiem jak spalana w ogniu witka. Silna dłoń nacisnęła mą pierś, by nagle i bez ostrzeżenia spaść na podbrzusze. Baronet uniósł się, okraczył me biodra i jednym ruchem zdarł ze mnie spodnie.

Oddychałem jak ryba dusząca się od nadmiaru suchego powietrza. Srebrnob—łękite gwiazdy spadały z sufitu i wbijały się w mą skórę paralizując czucie. Widmark grzebał we mnie, a ja nie stwierdzałem żadnego dotyku. Kołysałem się, niczym nie podparty, w obie strony, obserwując, jak łapy baroneta rozkraczają mnie i przyciągają bezwładne kolana ku nieobecnej posadzce.

— Jest nietknięty! — krzyknął Widmark wysokim głosem, a mnie przeszył pierwszy ból, związany z tą nowiną. Miałem się za butelkę, której stłuczono szyjkę, aby wydobyć cenną zawartość.

Mój pan, schylony za baronetem odsłaniał spuchnięte, zaczerwienione z wysiłku oblicze.

— *Pas* — rzekł Widmark odsuwając się nieco. Moje nogi, jak kończyny drewnianego pajacyka powróciły do zwykłej pozycji. Nie potrafiłbym ruszyć bodaj małym palcem. Leżałem w odrętwieniu i patrzyłem na swe długie, ginące w miękkiej mgłę ciało pustym jak srebrne gwiazdy spojrzeniem.

Pokrzep się, Colin — zaproponował baronet. Posłusznie dźwignąłem oddzieloną od tułowia głowę i wlałem w siebie kilka łyków z podsuniętej butelki. Przysięgłbym, że alkohol wycieka ze mnie wielką dziurą u podstawy czaszki.

— Jerzy, teraz twoja kolej! — przynaglił gospodarz usuwając się w dookólną mgłę. W polu widzenia ujrzałem twarz lorda Fontenbarry, zniekształconą i zupełnie nieznaną. Była niczym bryła węgla unosząca się w niezgodzie z prawem natury tuż nad mym obnażonym brzuchem. Naraz spadła w dół, a ja miotałem się i krzychałem na łożu hańby...

Wkrótce obaj panowie podjęli ze mną nową igraszkę. Zrazu na mym uspokojonym nieco członku baronet usiłował postawić krzyż, będący kopią tamtego ze ściany. Bełkocząc jakieś zaklęcia, wśród których rozpoznałem dziwnie przekręcone sprośności, wepchnął go we mnie. Ostre zakończenia figurki raniły wewnątrz. Poczułem, że krwawię, ciepłe strugi spłynęły na razjeszcze rozchylone uda. Dłoń baroneta nie przestawała poruszać narzędziem tortury. Wyprzyżyłem się, za wszelką cenę usiłując nie krzyczeć.

Defioracja, Colinie — wycharczał Widmark, oddając się nieprzystojnej rozkoszy. Jego biały, obwisły brzuch osunął się wreszcie na mnie z mlaszczącym odgłosem...

— Defioracja, piękniśiu! — znowu położył dłoń na krzyżu, wystającym z mego ciała i podrywał go; ból kroił me wnętrzności i pozwalał myśleć tylko o ucieczce...

— Jaśnie panie, boli!

— Musi boleć, bardzo boleć, ból jest esencją prawdy!

Baronet oddawał się swemu zajęciu z wielką pasją; zrozumiałem, że jeśli szybko nie zostanie powstrzymany, to skaleczenia przywiodą mnie do zguby.

Na pomoc! — zawołałem słabo — proszę... proszę przestać!

Wołałem długo i żałośnie, licząc na mego pana; życzyłem sobie, aby, jeśli nawet nie bronił mnie, to przynajmniej kochał — a czynił to znacznie ostrożniej od nieobliczalnego baroneta.

Jakoż po kilku minutach lord wszedł w swoje prawa. Odciągnął Widmarka i zaczął wargami pieścić me ciało, tym razem omijając skrwawione uda i wymęczony członek.

Byłem całkowicie zdruzgotany brutalnym gwałtem. Nie przeczę, z początku zabiegi Widmarka sprawiały mi pewną przyjemność, o ile można nazwać tak uczucie, któremu towarzyszy świadomość bezsiły. Moje ciało, zupełnie samoistnie, odpowiadało chorą fascynacją, by później przeżywać tylko ból, strach i upokorzenie...

Lord zdawał się rozumieć ten stan ducha. Podał mi ubranie, a widząc, jak bardzo krwawię, przyniósł skądś kawał szorstkiego płótna. Wcisnąłem go pod siebie i zatamowałem krwotok. Ubierałem się, ciągle w obawie przed atakiem baroneta, który rzucał się w kącie, nieskromnie rozwalony, nagi i obrzydliwy. Mój pan wyglądał jak zwykle — opanowany i uprzejmy. Jego twarz z powrotem, wyszlachetniała i nikt nie dopatrzyłby się w niej grymasu, którym żąda i występek szpecą najpiękniejsze nawet oblicza.

Jak wiele dałbym, abyśmy natychmiast opuścili ten okropny dom! Niestety, przebywaliśmy tam jeszcze blisko godzinę. Widmark, odziany we wschodni szlafrok, czynił honory gospodarza. Uśmiechał się do mnie, puszczał oko, był rubaszny, a nawet miły. Potem jego dostojny lokaj wrzucił mnie na jabłkowitzą klacz. Znosiłem niewymowne katusze jadąc klusem u boku lorda, który chwilami podtrzymywał mnie, abym nie spadł.

W pałacu zajęto się mną troskliwie. Zwłaszcza Douglas, którego przypadkiem spotkaliśmy już w bramy. Zupełnie, jakby między nim a lordem istniało jakieś bezsłowne porozumienie.

Gorączkowałem; zapakowano mnie do łóżka, pojąc ziołowymi naparami. Douglas kilkakrotnie przemywał mnie, z dużym poświęceniem zmieniając zakrwawioną bieliznę. Skręcałem się wówczas z bólu, gryząc poduszkę. Found sprawował obowiązki lekarza (którego nie wezwano) blisko trzy dni. Potem moja dolegliwość uciszyła się. Zasnąłem snem głębokim i pełnym koszmarów.

Po przebudzeniu byłem sam. Rozejrzawszy się, stwierdziłem, że przeniesiono mnie do izdebki bibliotekarza. Wszedł Found, a widząc, że spozieram świadomie, schylił się nade mną i... pocałował w usta tak, jak mężczyzna całuje kobietę.

A we mnie ten postępek życzliwego, jak mniemałem, człowieka, nie wzbudził ani odrobiny zażenowania, czy wstydu...

Rozdział ósmy

Po wizycie u baroneta nastąpiły dni pełne niepewności. Bałem się lorda, bałem się zejść na dół, bałem się wszystkiego i wszystkich. Leżałem w pokoiku Douglasa, patrzyłem w sufit i... nie pojawiałem się w pracy. Nikt nie powiedział mi złego słowa. Najwyraźniej uznano (lub zarządzono, co na jedno wychodzi), że zachorowałem i powinienem odpoczywać.

Skwapliwie korzystałem z przyznanego mi przywileju, ale im czułem się zdrowszy, tym okropniej przedstawiały się niedawne przeżycia. Found zachowywał dyskrecję i nie molestował mnie pytaniami. Dałbym głowę, iż wie bardzo dużo i nie po raz pierwszy pielęgnuje takich połamańców. O tak, z Douglasa Founda wyłaził podstępny typ. Zagadywał wesoło, przynosił posiłki, okrywał ciepłym pledem, był wręcz ojcowsko troskliwy. A jednocześnie wyczuwałem w nim bolesne napięcie, jakby czyhał na chwilę, gdy rozkleję się i wyznam mu, ze szczegółami, moje przeżycia. Niedoczekanie! Ta cicha opiekuńczość zdawała mi się bardziej zdradliwa od łagodnej zyczliwości lorda, zyczliwości, na której tak okrutnie się zawiodłem.

W malignie tych kilku strasznych dni obraz lady Margaret zblakł i ukrył się pośród sennych przywidzeń; teraz powracał ze zdwojoną mocą. Kiedy Found, niby od niechcenia, wspomniął, iż lady zjechała z Londynu w towarzystwie „kolejnego epuzera”, krew zagrała we mnie, gotów byłem nawet wyskoczyć z łóżka, by ją zobaczyć! Zapewne skutkiem tak silnego przeżycia wkrótce poczułem się gorzej. Osłabłem i raz jeszcze moje nieszczęścia powróciły ku mnie stokroć brutalniejszym wspomnieniem...

Wszelako młody organizm odnajdywał sposoby dźwignięcia się z upadku, a Found zdawał starania wokół mej osoby. Naznosił z biblioteki całe sterty ksiązek, które piętrzyły się przy łóżku, wabiąc tytułami. Były wśród nich dzieła łacińskie i greckie, których nie rozumiałem (moja łacina nie wykraczała poza nieudolne recytowanie fragmentów Biblii). Douglas opowiadał przeto ich treść, pokazując rozliczne rysunki. Nie przeczę, zajmowały wyobraźnię. Usłyszałem o Antinousie, faworycie Trajana. Czy cesarz postępował z nim tak jak lord Fontenbarry ze mną? Platoniczny zachwyt nadto różnił się od zwierzęcej żądzdy! Piękne strofy sławiące młodego Greka także mogły ukrywać obrzydliwe uczynki. Wyobraziłem sobie Antinouse na wschodnim kobiercu, czekającego na dowody miłości starego i brzydkiego imperatora. Tu nawet poezja nie skrywała hańbiącej prawdy.

A co porabiał Teognis ze swym ulubieńcem Kyrnosem? Czy jedynie kształtował jego młodzieńczy umysł? A może dobierał się do jego ciała, zdyszany z chciwości i nic, nawet najwspanialsze słowa nie chroniły obu od tej brutalnej, cielesnej walki?

Dumałem nad tym głęboko, a Found czytał mi fragmenty Dekameronu. Poznałem szereg zabawnych, miłosnych scenek, z których ta — o mężu w studni, zastanawiała najbardziej. Współczułem rogowcowi! Był naiwny i otrzymał za to karę, ale czyż własna żona i jej kochanek nie zrobili wszystkiego, by się takim okazał? Co mógł uczynić? On, opukujący ściany studni, gdy młody panek jeździł na jego kobiecie...

A jaki mnie dano wybór? Mógłbym uciec z pałacu, ale — dokąd? Zostać rybakim w Kew, parobkiem na folwarku, żebrakiem, pomocnikiem pastora (rzecz niedosiężna, bo kosztowna!)? Mizeria tych zajęć przyprawiała o mdłości.

Douglas tymczasem mówił o Izoldzie o srebrnych włosach, Izoldzie z Białego Jeziora, Izoldzie o cudnej twarzy, Izoldzie w lustrze odbitej, o tym jedynym, najcudniejszym ideale kobiety, który nie istniał dla mnie, ponieważ nań nie zasłużyłem. Właśnie tak — uważałem się za grzesznika i razy wymierzone przez lady Margaret brałem za tym sprawiedliwsze. Pałac Fontenbarrich był mi więzieniem, ale ja nie chciałem żyć gdzie indziej...

W takim stanie ducha otrzymałem wiadomość, iż lord pragnie mnie widzieć. Nie rozkazywał, bardziej wyrażał nadzieję! Ujęty i pochlebiony tak niesłychaną formą (zdawało się, iż chłopak, który przyniósł posłanie podziela mój zachwyt), dźwignąłem się bez protestów, odnajdując w sobie dosyć odwagi, aby ubrać się i objawić światu niezmacone, pewne oblicze. Jakoż natknąłem się na Gedeona Simpsa, który z uszanowaniem pytał o zdrowie i usłyszawszy, że okrzeplem, szczerze się ucieszył. Nie pomyślałem, iż musiał, równie dobrze jak Found, znać przyczynę mej bolesti; spiesząc wówczas do lorda nie byłem zdolny do jakichkolwiek, choćby najbardziej uzasadnionych przypuszczeń — a szkoda! Niczym ćma dążyłem w płomień, znając już ich niszczący żywioł...

Jaśnie pana zastałem w sypialni. Przymierzał właśnie strój do konnej jazdy i prosił, abym pomógł mu zdjąć buty. Wyglansowane, niczym zwierciadła, okazały się nader trudne do zżucia. Męczyliśmy się obaj dobrą chwilę, zanim śliska cholewa przesunęła się w dół. Czynność ta połączyła nas nieoczekiwanie goleń lorda zamknięty pomiędzy mymi udami poruszał się rytmicznie, a obcas buta wspartego o pośladki nie tyle napierał, co masował je w sposób nie pozbawiony czułości... Odebrałem ów dotyk jako przeprosiny, manifestację zgody i zaproszenie do dalszej przyjaźni.

— Drogi Colinie — rzekł lord, gdy przeklęty but znalazł się wreszcie na podłodze — oto jak prosta czynność sprzeciwia się naszej ambicji. Nie do postug zostałeś stworzony, lecz do admiracji. Ściągając moje obuwie uczyniłeś gest pożyteczny, lecz w najmniejszym stopniu nieodpowiedni dla swego przeznaczenia...

— Czyż jaśnie pan nie kazał...? — odważyłem się spytać.

Ależ tak, Colinie, mówiłem o tym! Mówiłem, w nadziei, że odmówisz, oburzysz się nawet, albowiem twoje piękno daje ci prawo do odmowy...

Zmilczałem i spuściłem oczy. Lord ujął moją dłoń i uściśnął porozumiewawczo.

Piękny chłopcze! Możesz nienawidzić i pogardzać światem, ale kochaj choć samego siebie! Dlaczego nie doceniasz tego piękna, którym jesteś? Należy je wielbić, Colin!

Spostrzegłem, że jest wzruszony. Ja także nie ukrywałem wzburzenia. Lord mówił prawdę. Nienawidziłem! Przede wszystkim takich jak on, obłudników, mogących czynić wszystko, wbrew mojej woli. Brał mnie i odrzucał, igrał ze mną, pozwalał mi być swobodnym i jednocześnie pogrążał mnie w nicości! Byłem od niego zależny, dopóki on chciał zależeć ode mnie. Nienawidziłem go i ... kochałem, ponieważ był przedmiotem tej nienawiści.

Rozbierał się wolno, nie przyjmując niewielkiej pomocy. Co najwyżej pozwalał układać ubranie i zczekał, aż domyśle się, iż powinienem podać szlafrok.

— Oceniany jako służący nie zasługujesz na wiele pochwał! — rzekł, siadając w fotelu przed kominkiem. — Byle chłopak okaże się sprawniejszy od ciebie, moje serce. Ale ja nie chcę innych chłopców. Zupełnie mi wystarczysz, nawet wówczas, gdy nie wiesz, co należy czynić... Och nie — roześmiał się widząc mój pełen gotowości niepokój — nie chodzi tu o filiżankę herbaty! Miałem na myśli twą przyszłość, Colinie! Wszyscy moi bardzo młodzi przyjaciele wychodzili na ludzi. Wierz mi, że zajmę się także tobą, nie omieszkając dać wszystkiego, co najlepsze! Musisz jedynie zrozumieć... Uznać, że w zamian udzielasz mi (dlaczego nie powiedział: nam?) odrobiny szczęścia, która naprawdę jest cenna!

Rozumiem jaśnie panie! — pospieszyłem z zapewnieniem. Oto zawieraliśmy kontrakt: ja dostarczałem mu chwil przyjemności, a on raczył zatroszczyć się o mnie, kiedy mu się znudzę. Czemu jednak nie wspominał, że dzieli się mną

— wcale po przyjacielsku — z baronetem Widmarkiem? W końcu miałem prawo do własnego zdania, sam mnie do tego zachęcał!

— Jaśnie panie... — zacząłem prawie pewny, iż spotka mnie gorzka odprawa — jestem gotów służyć, jak umiem najlepiej, ale...

— Co Colinie?

— Proszę mi wybaczyć, lecz baronet... — przerwałem i chyba spłoszyłem się wystarczająco, gdyż lord uznał, że trzeba mnie natychmiast podnieść na duchu.

— Ach, Widmark, Colinie! Cóż, przyznaję, iż wolno ci być nieco zaskoczonym. Znamy się z baronetem od tak dawna, służyliśmy ongiś w jednym pułku... To wystarczający powód, aby i dzisiaj dzielić się jak brat z bratem!

A ja miałem być tym, którego obaj panowie wrywają między sobą! Nie okazałem niezadowolenia. Lord i tak nie zwróciłby na nie uwagi, zaprzątnięty już bez reszty lekturą. Życzyłem jaśnie panu dobrej nocy, słysząc na pożegnanie,

abym stawił się z rana do normalnej służby.

Jakoż asystowałem w porannych czynnościach, przynosząc śniadanie, nalewając wodę i wysuszając zmoczone myciem włosy. Lord starannie dobierał perukę; zdecydowawszy się na małą, z szeroką kokardą związującą harcap, pozostał w łóżku. Wyczuwałem, iż pragnie znów mnie doświadczyć. Tym razem jednak użył nowego wybiegu.

Poproś lady Margaret — rzekł uroczyście. Zarumieniłem się, lecz bez zwłoki wykonałem życzenie. Pokojówka lady powiedziała, iż jaśnie pani nie przebudziła się jeszcze.

Lord kontynuował posiłek, chrupiąc białe pieczywo. Oczekiwaliśmy na pojawienie się lady dobrą godzinę, aż wreszcie przyszła, w różowym peniuarze, jeszcze piękniejsza i bardziej zjawiskowa. W świetle dnia jej białe piersi nabierały odcieni alabastru, różowe paznokcie wypielęgnowanych dłoni i drobna kiść ani przez chwilę nie nasuwały podejrzeń o drapieżność, z jaką ongiś mnie wybatożyła. Upiększające ją słońce kładło także na jej twarz cienie, które uwypukliły drobniutkie zmarszczki. Z przerażeniem stwierdziłem, iż lady Margaret nie jest już najmłodsza... Dojrzałość, w jakiej podziwiałem ją w stajni, łączyła się z rozkładem, który nieubłaganie niszczył piękno dumnej kobiety...

Ta niespodziewana myśl tak była piorunująca, że nie zwróciłem uwagi na pierwszą wymianę zdań dostojnego rodzeństwa. Patrzyłem natomiast w obraz, wiszący nad łóżkiem lorda, przedstawiający świętego Hieronima, przeszywanego strzałami i, z jakiś osobliwych powodów, czułem, że jego krew spływa także po moim ciele...

— Nowy chłopiec? — stwierdziła lady, przesuwając po mnie chłodnym spojrzeniem; ocuciło mnie, obojętne i taksujące, zupełnie wyzbyte jakiegokolwiek wspomnienia!

Lord milczał i lady uznała za stosowne nudzić się. W końcu ponownie przesunęła wzrokiem po moich łędźwiach.

— Milutki — przyznała. — Jakże ci na imię, chłopczyku?

W jej oczach byłem niczym, mniej niż strojem w barwach Fontenbarrých, mniej niż rzeczą, którą przestawia się z miejsca na miejsce. Nie dość, że nie pamiętała małego podglądacza, ona go nigdy, przenigdy nie spotkała!

Ach, to moje roztargnienie, przecież on musi nosić jakieś typowe imię, nieprawdaż? Ty zawsze nazywasz ich po swojemu!

Lord odchrząknął, wygładził niewidoczną zmarszczkę na kołdrze i surowo odparł:

Zechciej, moja droga, powstrzymać się od złośliwości. Wystarczająco haniebnym jest twe własne prowadzenie się... Ten osiłek, którego przywozłaś z Londynu... Mówiono mi, że pokazuje się w cyrku? Żongler na jarmarkach! Skądże ty bierzesz takich podłych ludzi!

Wyjdź, Peter, Josef, Colin, czy jak cię tam zwą! — zażądała lady. Skłoniłem się i już chciałem opuścić sypialnię, gdy zatrzymał mnie krótki, lecz treściwy

okrzyk lorda: „zostań!”

— Chcesz mnie upokorzyć przy tym chłopaku? — syknęła jaśnie pani; w zagłębieniu dekoltu poruszyły się piersi, takie, jakie widziałem pośród słomy... Przełknąłem ślinę przekonany, iż wszyscy słyszą huk, który przetaczał się w mej głowie. Ale lord najwyraźniej potrzebował świadka i płynącej stąd podpory. Wszczynał więc kłótnię niespiesznie, zimno i złośliwie, obwiniając siostrę 0 najgorsze występki, a ona nie pozostawała mu dłużna. Wzajemne zohydzenie się sprawiało im przyjemność. Odgrywali przed sobą urażoną cnotę...

Na koniec lord zażądał, by zongler opuścił pałac raz na zawsze! Lady Margaret odwróciła się bez słowa. Szła ku drzwiom, gdy na jej twarzy pojawił się przeblysł wspomnienia. Zmyliła krok i na moment znowu była dziwką, szepeczącą do ucha mężczyzny słowa nieokiełznanej zachęty. Zatrzymawszy się, z ręką na klamce, oświadczyła:

— Doprawdy, ładnych chłopców wybierasz sobie, bracie...

W pierwszym impulsie omal nie wybiegłem za nią — przeproszać, czy oskarżać, ale natychmiast zdałem sobie sprawę, iż spotka mnie jej zimne, oficjalne spojrzenie, mówiące więcej, niż najgorsze słowa pogardy. Potrafiła zniszczyć każdego, a cóż dopiero chłopaka, który nieostrożnie podejrział jej igraszki! Zamiast więc przypominać, powinienem z całej mocy dążyć do zatuszowania tamtego wieczoru w stajni. Przecież obiecałem; teraz lady Margaret może uznać, iż łamię przysięgę!

Zawładnęło mną poczucie nicości tak przemożne, że osunąłem się na kolana i ukryłem twarz w dłoniach. Niepomny na obecność lorda przeżywałem najgłębsze upokorzenie.

— A cóż to, Colinie, histeryzujesz?

Trzeźwy ton jego wysokości smagał do krwi. Tak, alterowałem, zwyczajnie i po babsku, a tobie, panku, nic do tego (krzyczałem w myślach), idź precz z całą swą subtelną i podszytą fałszem doskonałością!

Po tym spotkaniu rozpoczął się dla mnie długi czas odrętwienia. Z pozoru wypełniałem wszystkie obowiązki sumiennego i uważnego towarzysza lordowskiej mości. Asystowałem przy porannym wstawaniu, czekałem obok, gdy rozmawiał z zarządcami folwarków, jadłem dla jego rozrywki przy tym samym stole, osobiście ścieliłem łóżko i układałem w nim mego pana... Szczęściem, jakby odgadując mój smutek, lord nie żądał ode mnie nadmiernych ofiar. O wizytach w Jarwey także nie było mowy. Lady Margaret unikała brata. Jej kochanek opuścił pałac i zamieszkał w Kew, w małym domku wdowy Runcey. Lady bawiła tam często, wzbudzając zgorzsenie miasteczka.

Odtąd jaśnie panią spotykałem wyłącznie w jadalni, gdy posyłano po nią dla uhonorowania przybyłego do pałacu gościa. Na mój widok niezmiennie przybierała odpychającą pozę — zadarta głowa, wyniosły gest jako odwzajemnienie powitania. Nigdy też niczego ode mnie nie żądała, ku wyraźnej irytacji lorda.

W tym czasie mój chlebodawca zlecił Douglasowi udzielanie mi regularnych lekcji. Zaczęliśmy od łaciny i historii starożytnej i przez kilka miesięcy przykładowej nauki uczyniłem tak duże postępy, iż pan nie omieszkał nagrodzić mnie obietnicą wspólnego wyjazdu do Londynu.

Wiesz, Colinie — usłyszałem — czas już przeprosić się z baronetem... Nie, nie zaprzeczył widząc mój niepokój — Widmark bawi teraz przy królu... Zapewne ujrzymy go, ma w Londynie posiadłość. Jest tam bardzo znany i obraca się w niezwykle interesującym towarzystwie!

Lękałem się wypytywać, o jakich ludziach mowa, ale wiedziałem, iż niewiele dobrego wyniknie ze spotkania z baronetem. Lord wszakże zdecydował o podróży i czyniwszy przygotowania znalazł czas na osobiste dopilnowanie, aby uszyto mi kilka ładnych strojów. Wśród nich, ku mojemu zdziwieniu, był także grecki chiton... Wyglądałem w nim jak święty Hieronim z malowidła w sypialni. Zaintrygowany, poprosiłem Douglasa o wyjaśnienie. Odrzekł, iż w Fontenbar—rys House, londyńskiej posiadłości lorda, odbywają się doroczne, karnawałowe zabawy, pełne przebierańców.

Tymczasem mój pan na kilka dni przed wyjazdem zażądał, abym w greckim stroju zjawił się u niego. Z ukontentowaniem obejrzał mą smukłą, białą sylwetkę i tajemniczym głosem rzekł:

Wyobraź sobie, że jesteś jednym z tych młodzieńców, którzy ćwiczyli umysł i ciało w gimnazjonach... och, Colinie, cóż za wspaniały, złoty wiek prawdziwej swobody!

Nie podzieliłem jego zachwytu, stojąc w jedwabnym chitonie, który wydawał mi się zwyczajnie śmieszny. Moje łydki opinały wysoko związane rzemienie, tamujące przepływ krwi; czułem ból i potrafiłem myśleć jedynie o chwili, gdy będę mógł się przebrać.

Jaka szkoda, że nie mamy kwiatów — smucił się niczego nieświadomy lord wieniec z bladożółtych gladioli na twych kasztanowatych włosach wyglądałby prześlicznie!

Mimo, iż duże, weneckie lustro ukazywało me odbicie, tym razem nie znajdowałem w nim wdzięku, który ująłby kogokolwiek. Widziałem tylko smukłego wyrostka, w udrapowanej materii, ze zdąsanym wyrazem ust. Ale lord dostrzegał obraz całkowicie odmienny! Stał przed nim młody, helleński bożek o lekko skośnych oczach, prostym nosie, wąską talią i długimi nogami... Czytałem w lordowskich źrenicach zachwyt i zapamiętywałem go dobrze! Oto broń, z jaką wkroczę pomiędzy przyjaciół Widmarka! Co chciałem wygrać stanowiło dla mnie tajemnicę, ale czym miałem wojować — w tej wiedzy nikt się ze mną nie równał...

I tylko spotkanie z baronetem mąciło to poczucie młodzieńczej odwagi...

Rozdział dziewiąty

Pierwszą w życiu podróż poza granice rodzinnego hrabstwa odbyłem w końcu lutego. Mżył nieznośny, lodowaty deszczyk, wiatr przewiewał na wskroś ciężkie pudło karety. Marzliśmy z lordem wytrząsani na gliniastym trakcie. Bezlistne drzewa, dziwnie powykręcane zarośla, puste zagajniki i wszechobecna mgła z każdą chwilą pogarszały mój nastrój. Lord, z wrodzoną sobie delikatnością, usiłował żartować; nie byłem dlań wdzięcznym słuchaczem. Ogarnięty smutkiem przeżywałem ów wyjazd niczym ostateczne zerwanie z dzieciństwem. Zdawało mi się nawet, iż na zawsze żegnam się z Kew! Zaiste, rozkołysana fantazja zażartowała sobie ze mnie. Gdy jednak piątego dnia podróży ujrzelśmy w zapadającym zmierzchu niezbyt czyste rogatki Inslington, mój humor uległ gwałtownej odmianie. Byłem przecież w Londynie, mieście wielkich szans, o których śniłem od tak dawna! Pał lichu sentymentalną duszę prowincjusza oplakującego rozstanie z matecznikiem; wiwat odwaga młodego człowieka, wchodzącego w świat znakomitości! U boku lorda Fontenbarry wszelkie drzwi stały dla mnie otworem. Naraz doznałem zwrotu głowy i uspokoiłem się dopiero wówczas, gdy lord zarządził postój w najbliższej gospodzie. Przejazd nocą przez miasto nie należał do najbezpieczniejszych, toteż na rogatkach prosperowały zajazdy, oferujące przyzwoity nocleg i posiłek.

Przy ciepłym kominku lord po raz kolejny udzielił mi kilku cennych i dających sporo do myślenia wskazówek. Przede wszystkim, abym nie dał się ponieść zuchwalstwu. Najpewniej trafnie odczytywał błysk w źrenicach, którym manifestowałem swą gotowość rzucenia się w największy wir przygód. Uświadamiał mi zobowiązania służącego wobec panów szlachetnej krwi, zainteresowanych mą przyszłością. Londyński pobyt miał przyczynić się do zaakceptowania mnie — Colina — a co za tym idzie, znalezienia wybornego miejsca przyszłej nauki i pracy. Lord z ogromną wielkodusznością podkreślał, iż poza drobnymi usługami (wiedziałem już, co one oznaczają!) nie żąda niczego w zamian. Przypieczętowawszy ten układ szklanką grzanego wina udaliśmy się na spoczynek.

W nocy śniłem o pierwszym przyjęciu niby panienka wprowadzana w arystokratyczny świat. Nazajutrz, mlecznym świtem, przejechaliśmy London Bridge i dotarliśmy do siedziby rodu Fontenbarrych. Dom ten różnił się zasadniczo od wiejskiego pałacu. Utrzymany w nowoczesnym stylu nie zalecał się wielkością komnat, lecz ich nader gustowną oprawą. Pokoje wyłożono ciemnym drewnem

i jasnym kamieniem. Ich przytulność znakomicie nadawała się do przyjęć dalekich od oficjalnej sztywności.

Nazajutrz, za przyzwoleniem lorda, wyszedłem na miasto, dochodząc aż do kolegium Gresnam. W City przeciskałem się przez skłębiony i podniecony tłum kupczyków, załatwiających swe podejrzane interesy. Rynsztokami płynęła parująca woda; tu i ówdzie zlodowaciałe kaskady zastęgały w biegu do przyjmującej wszelkie odpadki Tamizy. Na nadbrzeżach i w ledwie widocznym porcie stały żaglowce, pełne sparciałych lin i zmurszałych desek. Patrząc na ludzką mierzwę poczułem silny zawód. Gdyby nie mury nowo wznoszonej katedry św. Pawła uznałbym Londyn za brzydkie i pozbawione wielkości miasto.

Tymczasem w Fontenbarrys House trwały wytężone przygotowania do mającego się odbyć następnego wieczoru przyjęcia. Mimo uprzedzających listów ze wsi nie wszystko załatwiono zgodnie z życzeniem chlebobawcy. Ekipy robotników ustawiały w pokojach malowane parawany, ukazujące pejzaże nieznaney mi Grecji. W kilku komnatach na piętrze odtworzono z wielkim smakiem wnętrza starożytnych grot. Rychło cały dom zamienił się w skrzyżowanie świątyni z teatralną sceną. W hallu wejściowym stały fałszywe kolumny podtrzymujące architrav, na którym umieszczono rzeźbę przedstawiającą lorda jako boga wojny.

Nazajutrz sam lord przybrał ów marsowy wygląd i przyjmował zjeżdżających gości w posrebrzanej zbroi i z pięknym berłem, którym wskazywał drogę. W przebieralniach piętrzyły się stosy kostiumów, aby nikt nie wszedł na pokoje w takiej postaci, w jakiej przybył.

Patrzyłem na beztroskie przeistaczanie się londyńskiej arystokracji; przyjezdni zjawiali się zakapturzeni, zazwyczaj w obszernych, ciemnych płaszczach, jakby nieskorzy do odsłaniania twarzy. Jednakże, rychło po przekroczeniu progu, odyskiwali tupet i z wielką ochotą przymierzali proponowane im kostiumy. Zaledwie kilku przybyło we własnych strojach, co nasuwało wniosek, iż przyjęcie u lorda nosi charakter bardzo, ale to bardzo, tajemniczy...

Wyobraźcie sobie: oto tłusty i przysadzisty jegomość piskliwym głosem zachwala młodego służącego. Ignorując wybiegające na powitanie bachantki, ciągnie chłopaka do przebieralni. Widzę, jak żółte, wytarte peruką kłaki szlachcica wiją się wokół mechatych uszu, a obwisłe podbródki trzęsą od gadulstwa. Pan i sługa obnażają się; pan bez krępacji adoruje młodzieńca i wybiera dla niego strój fauna. Nim sam przyozdobi swe pokraczne ciało w długą chlamidę, dla żartu gmerze między nogami chłopca, strofując go za brak właściwej faunom zadzierzystości.

Inna figura — tyczkowaty arystokrata z capią bródką, który wybrał pastusze przebranie i teraz, z fujarką w dłoni, wabi ku sobie rozpląsaną nimfę. Dziewczyna zarzuca mu ręce na szyję i całuje rozgłośnie. Śmieją się i idą razem po schodach. Nie muszę się ukrywać; capi Filon nie tai swych pragnień wobec towarzyszki. Znikają za przybranymi jemiołą drzwiami najbliższej „groty”.

Postawny mężczyzna o obnażonym torsie zapaśnika ciągnie ze sobą dwie dziewczyny, nieco zastraszone rozmiarami kochanka. Choć na przyjęcie ściągnięto najbardziej doświadczone dziwki z Londynu, kilka z nich, zmożone goroneą, musiano zastąpić nowicjuszkami, pochodzącymi aż z Irlandii... Młódki, piszcząc, ulegają w końcu żądzy partnera; wciskają się do jednej z przebieralni, gdzie na stercie nie wykorzystanych strojów dostojny szlachcic użyje sobie w najlepsze!

Czas płynął i w Fontenbarrys House zjawiało się coraz więcej gości hałaśliwych, o nieskromnych ruchach i ubiorach. Zaczepiono mnie już kilkakrotnie — to bezczelnie, to znowu czule. Siwy arystokrata zacmokał na mnie jak na konia. W odpowiedzi uczyniłem obraźliwy gest; spurpurowiał i sklął mnie od ostatnich.

Z dołu dobiegał nasilający się gwar coraz liczniejszego towarzystwa. W dużej sali — megaronie, wokół zapełnionego jadłem stołu rozstawiono wygodne kanapy, na których w pozach starożytnych biesiadników spoczywali najznaczniejsi z zaproszonych. Z małego podwyższenia lord pełnił honory pana domu.

A oto i Colin obwieścił, pokazując mnie zebrany. Wkraczałem wystudiowanym krokiem, podnosząc niewinne oczy ku sufitowi, gdzie królowała bogini miłości — Wenera.

Najbliżsi lordowi — postawny, szpakowaty mężczyzna w todze Rzymianina i młody arystokrata o pociągłej, zużytej nad wiek twarzy, głośno wyrażali swój zachwyty. Ich miłe słowa wdzięcznie zapadały w mą pamięć, a chociaż oceniano mnie w sposób odrobinę uwłaczający, niczym zwierzę na arenie lub piękny bibelot, kunsztowność pochwał osłodziła tę małą gorycz. Wiedziałem, iż lord także słuchał z wielką przyjemnością. Nie omieszkał zauważyć, iż wieś angielska rodzi nieprzebrane bogactwo piękna, wbrew opiniom tych wszystkich, którzy cenią sobie zdemoralizowaną Francję...

— Ha, żabojadom zawdzięczamy wcale niemało...Ich miłość chociażby, bardzo, bardzo interesująca! — ripostował młodzieniec.

Nihil novi sub sole! — zabrał głos Rzymianin i w logicznej mowie wywiódł od starożytnych ludów szereg form uprawiania miłości, dotychczas przypisywanych Francuzom. — Sztuka polega na zapominaniu i ponownym odkrywaniu; skoro jedni są tak niedbali, aby zapomnieć, innym przypada chwała ponownego odkrycia... Cóż zresztą dziwnego, iż Francuzi tak szybko prześcignęli nas, Anglików, we wszelkich perwersjach? Klimat, mgła, chłód — oto nasze grzechy. Słoneczna Prowansja zachęca wręcz do występku, jeśli miłość jest występkiem, drogi lordzie Fontenbarry...

Występkiem? — zdumiał się lord. — Cóż ty o tym wiesz, Goudhamie?

Purpurowa toga Rzymianina zatrzęsła się od dystyngowanego śmiechu.

— Nie obawiaj się, Jerzy, nie zechcę odebrać ci siłą twego pięknego chłopca! Przyznaję, iż to wiejskie cudo rozgrzało i moje serce. Mam przeto nadzieję, iż nie pozostaniesz zupełnie nieczuły na radość, jaką sprawia mi widok naszego efebda...

Lord Fontenbarry odparł bez wahania:

— Nigdy nie rezerwuję piękna wyłącznie dla siebie!

Młodzieniec aż zaklaskał z radości.

— Oto postawa godna gentlemana! — wykrzyknął. Lordzie Goudham, cóż na to powiedziałyby nasz orański król, który nie widzi dalej swego nosa?

— Polityka, Bürsten — zachnął się Goudham. — Tutaj powinienś angażować wyłącznie limfę i nasienie, nie zaś jadowne flukta, jakie chodzą po twej głowie zakutego wiga!

— Hola! — bladego młodzieńca załała krew, barwiąc jego oblicze niezdrowym rumieńcem — hola, i basta, ani słowa więcej! Chcę się bawić, bawić i kochać, i nic mi do polityki, póki ty nie zaczniesz jej uprawiać!

Lord Fontenbarry z pobłażliwym uśmiechem rozsądził spór:

— *Silence*, szlachetni panowie, niechże ziemskie niesnaski nie wkradają się w bachiczny wieczór! Oto Colin, nasze wspólne dziecko... Czyż można chcieć więcej?

Cała trójka zadumała się, szacując mą postać od stóp do głów. Najwyraźniej i ta, pogłębiona ocena, wypadła pomyślnie, gdyż panowie roz pogodzili się, a lord Bürsten, nadal spłoszony, choć zapewne od innej już emocji, rzekł:

— Ależ lordzie Fontenbarry, dlaczego: Colin? Czyż nie znalazłeś waćpan czegoś bardziej uczuciowego?

Lord uniósłszy wskazujący palec w górę, odparł z udanym namaszczeniem:

— Colin jest najlepszym imieniem dla młodzieńców ambitnych. To imię zbójców i świętych...

Chciał jeszcze coś dodać, lecz u wejścia stanął spóźniony gość, witany jak najżyczliwiej przez podnieconych jego widokiem biesiadników. W krótkiej zbroi, podobnej nieco do tej, jaką przywdział mój chlebobawca, rozbawiony i pijany baronet Widmark ryczał na całe gardło:

— Pasibrzuchy, dorobkiewiczze, pedały i wy, szanowne kurwy z doków Savoy, wita was dziecię rodu Widmarków, spragnione sherry i okrągłych dupek!

Niektórzy z biesiadników oburzali się nieszczerze, inni śmiali na całe gardło, a krzykliwy gość żeglował ku lordowi Fontenbarry, rozpowiadając na prawo i lewo:

— Wracam z Tower, gdzie spoczywa szacowny zewłok drogiego przyjaciela dzieciństwa i nieustannej młodości — hrabiego Asco. Mówią, że to awanturnik i tak zaiste jest, przysięgam na jądra, albowiem tego ranka zgwałcił dwóch strażników i balwierza, który przyszedł przyciąć mu brodę... Ledwie i ja wywinąłem się z chuci hrabiego! Niebożatko, siedzi tam zupełnie sam, a jego niezrównany penis zwisa mu jak krowie wymię. Czyż można nie zapłakać na taki widok? Gdy rzekłem mu, iż poczciwy Fontenbarry urządza orgię, załamał się i, zanim zapiął spodnie, kazał przekazać ukłony dla gospodarza i obietnicę, że ucieknie z więzienia, aby podupczyć największy z kurewskich tyłków, jakie uda mu się znaleźć w Fontenbarrys House!

Brawo, Widmark — krzyknął podniecony Bürsten, a za nim podchwycili okrzyk niemal wszyscy goście.

Baronet zatoczył się, sapnął i padł na piersi lorda Fontenbarry.

— Witacie mnie, panowie szlachta, niczym króla, za co stokrotnie, ba! tysiąckrotnie dziękuję, wszelako... — zawiesił głos i małymi oczkami począł świdrować życzliwe oblicze lorda — ten tutaj wyśmienity kawaler orderu podwiązki i miłośnik alkozy obiecał mi swego czasu...

— Słuchajcie, słuchajcie! — wołano po sali.

— ... że pokaże nam nową laleczkę, ekstraordynaryjne rusticum, jak mawiała moja nieodżałowanej pamięci babka, lady Widmark, pokładająca się na byle stogu z najbardziej zapłutym parobkiem... Lordzie Fontenbarry, wzywam do spełnienia obietnicy, albowiem moje pludry pełne są soczystej oskomy, i jeżeli nie ujrzę zaraz małego Colina, którego spróbowałem onegdaj...

Hrabia Bürsten i lord Goudham w tejże chwili spojrzeli sobie znacząco w oczy.

— ... to, dalibóg, nie ręczę za swoje czyny i tylko arcybiskup Cantenbarry, spity na umór, będzie w stanie wysłuchać mojej grzesznej spowiedzi!

Lord wytrzymał wbity weń wzrok i — jakby dla wzmocnienia efektu — udał, że zastanawia się nad wygłoszoną pogroźką. Jego twarz udatnie odzwierciedlała zdziwienie i namysł, by następnie rozjaśnić się szerokim uśmiechem.

Pytasz o tego małego chłopczynę, któregoś dopadł w granicznym lasku? — zagadnął niewinnie. — Czy też wspominasz biednego Żydka o jedwabistych pejsach, płatających ci się między nogami? A może tęsknisz za tłustym piekarczykiem, którego zażyłeś na rozgrzanej blasze? Dzieciak już z tego nie wyjdzie. Musiałem wypłacić jego biednej matce sute odszkodowanie!

Morderco! — ryk dobiegający z gardzieli Widmarka nie brzmiał żartobliwie, toteż kilku gentlemanów odsunęło się przezornie od eksplodującego cielska — ty układny morderco wiejskich niewiniątek! Ty, ty! — Widmark wskazywał na lorda i jednocześnie brał na świadków wszystkich biesiadników — największy krokodyl i knur pośród naszego zoologu, masz czelność wytykać mi drobne przyjemności? Toż twoich faworytów w Londynie tak pełno, że co druga chłopięca dupa nosi twoją pieczęć, milordzie...

Śmiech sali, pogwizdywania i zwykły łomot towarzyszyły tym oskarżeniom.

Pokaż, pokaż! — wołano, mając mnie na myśli. Widmark także już mnie zobaczył, ale do końca grał rolę skrzywdzonego i zawiedzionego interesanta.

Miłośniwi panowie — rzekł lord, ani na chwilę nie rezygnujący z ujmującej powagi — przychylając się do waszych żądań i mając na względzie całość ineksprymabli baroneta mam przyjemność zaprezentować wam raz jeszcze ... Colina, wzór chłopięcego piękna!

— W tej szmacie? — sprzeciwił się Widmark, szarpiąc na mnie stylowy chiton — cóż można rzec o członkach chłopaka, gdy zakrywasz go wszystkim mylącym jedwabiem!



— Zgoda! — wykrzyknął lord — niechże stanie przed nami jak go Bóg stworzył, a wtedy sądźcie sprawiedliwie: czy był wśród nas okaz doskonalszy, bardziej harmonijny i czystszy od mego Colina?

Nim się spostrzegłem rozebrano mnie i, bezwolnego, wypchnięto na środek stołu. Zamarłem pomiędzy półmiskami z mięsem i wazami z ponczem, przystrojony jedynie w sztuczne kwiaty we włosach.

Obróć się, obróć! — krzyczano, więc uczyniłem skłon, jakbym chciał zwrócić się ku innej stronie sali, lecz moje stopy nadal tkwiły w miejscu.

— Muzyka! — zarządził baronet. — Endymion budzi się!

Zabrzmiała melodia rozków i fletów. Powolna i uroczysta wznosiła się wysoko. Zarazem spadała na mnie dziwna maligna — sala i wypełniają ją ludzie zamieniali się w nierzeczywiste twory. Nie wiem, co się ze mną działo — chyba tańczyłem pośród zastawy, a lord klaskał i śmiał się radośnie.

Nie tak ospale, Colinie — wrzeszczał baronet — więcej ognia, szybciej! Szybciej!

Moim ciałem wstrząsały dreszcze... Podrygiwałem zgodnie z coraz hałaśliwszą muzyką. Panowie Widmark, Goudham i Bursten, wzięwszy się za ręce wykonywali coś w rodzaju pantomimy: każdy z nich wyrażał zachwyt dla mego tańca i jednocześnie powstrzymywał konkurentów...

Do stołu przepchała się tymczasem tłusta kobieta w szafranowej szacie. Rozpoznano w niej jedną z najlepszych londyńskich dziwek, zwaną „Krótka Nóżka”. Wśród przekpinek, za to bardzo energicznie, poczęła włązić na blat, roztrącając półmiski. Nareszcie, ciężko przeskakując przez zawadzające potrawy, dotarła do mnie i natychmiast jej małe, szponiaste dłonie zaczęły trzeć moją skórę. Dobrała się do pośladków i splótnszy na nich palce przyciągnęła mnie ku rozlanym piersiom. Jej wyfiokowana peruka, obficie posypana mąką, łaskotała mnie w nos.

— Ależ Febe, namolna Febe, nie dla ciebie młode mięsko! — kwiczał, niby to rozpaczliwie Widmark, walcząc z atakami śmiechu. Mały niczego od ciebie nie chce, a cóż możesz mu dać, czego by nie dostał gdzie indziej?

— Nie taki on mały — odrzekła „Krótka Nóżka” odsuwając się nieco i ukazując wszem i wobec, że jej wierzący się brzuch odniósł niejaki sukces w zetknięciu z moją męskością.

— A co mu dam to jego! — dodała, matczyino gładząc moje policzki.

— Zakochana dziwka, panowie! — zapiął baronet. — Oto kuriozum, jakiego świat nie widział! Może byś, szanowny lordzie Fontenbarry, zezwolił tej panience na przećwiczenie naszego efebę tu, wprost przed wysoką komisją?

„Krótka Nóżka” nie pozostała dłużna Widmarkowi. Wzięwszy się pod boki i zasłaniając mnie przed ohydny spojrzeniem baroneta odkrzyknęła głosem przekupki.

Jaśnie państwo! A to już nie mają wstydu, tylko podglądać chcą! Patrząc ino, a rozdzieją się i wskoczą między kielbasy!

— Pięć pensów, Febe! — rzekł Widmark.

Dwa szylingi! — odparowała dziwka z wielką przytomnością umysłu.

Albo, jak nic, zejść do pana i popamięta pan, co to znaczy obrażać damę...

Widmark zrobił płacziwą minę i skarżył się na rabunek w czarną noc. Po czym uroczyście przysiągł, że jeśli „Krótka Nóżka” sprawi się dobrze otrzyma szylinga...

Dziewka nie dała sobie dwa razy powtarzać i ochoczo zabrała się za mnie. Odepchnąwszy na dogodną odległość umiejętnie zagrała palcami na obrzmiewającym członku. Szybkie dotknięcie opuszków, równie delikatne, co celne, odniosły pożądaną skutek. Toteż nagrodzono nas uprzejmymi brawami.

Przygotowawszy grunt „Krótka Nóżka” zmusiła mnie, abym uklęknął. Teraz, bez większych trudności, opuściła się na mą dzidę i wiercąc, wcisnęła ją w siebie aż do nasady. Jej szeroka, sflaczała szpara kryła energiczną, chwytaną dłoń, która bez przerwy pobudzała moją ochotę do działania. Rozpalony członek jakby oddzielał się od mego ciała; podczas, gdy mnie samego paraliżował wstyd, on — rozzuchwalał się, ani na chwilę nie dając się poskromić. Kobieta wyczuła tę siłę i gwizdnęła z uznaniem. Znając moją gotowość odchyliła się do tyłu, podparła na rękach, a nogi zawiesiła na mych barkach. W takiej pozycji rozpoczęła taranować moje biodra, jednocześnie przyciągając mój tors ku rozłożystym piersiom. W jej wnętrzu zachodziła przemiana: łagodny uchwyt zamieniał się w regularne wyciskanie. Nie poddawałem się łatwo, bodąc coraz ostrzejszym narzędziem.

— Och — wyjąkała — ten mały potrafi więcej, niż niejeden z was, panowie... Rzuciła kilkakroć brzuchem i znieruchomiła, czekając, aż ją wypełni.

— Fiu, ależ ma spust! — poinformowała uważnie obserwujących mężczyzn.

Widziałem jak baronet Widmark traci pewność siebie. Im bezwstydniej sobie poczynałem, im więcej pochwał spływało z ust „Krótkiej Nóżki”, tym większe niezadowolenie ogarniało mego wczorajszego kochanka. Zrzucił napierśnik i próbował wspiąć się na stół, szczęściem utknął pośród bladoróżowych wędlin. Nie chcąc, by dopełzył do nas, dałem dziwce sygnał, iż nie zostałem jeszcze zaspokojony.

Panowie szlachta! — zachichotała — chłopiec ani na chwilę nie przestaje chcieć!

Młodość rzekł melancholijnie siwy Goudham; przechyliwszy czarę z ponczem, pił bez opamiętania.

Na dowód prawdy „Krótka Nóżka” odsłoniła mnie i, trąciwszy napiętą męskość, która zadrgała niczym cięciwa wspólnego nam łuku, znów oddała się rytmicznej pracy.

Gdy po raz trzeci powtórzyliśmy nasz nieskomplikowany numer, Widmark dostał prawdziwego szału.

— Dosyć — wołał — ten szczeniak kpi z nas wszystkich!

Nawet uspokajające słowa przyjaciół nie były w stanie wyprowadzić go ze

stanu wściekłości. Wytrzeźwiawszy w okamgnieniu, doskonale pojął moje intencje; w jakiż inny sposób mogłem nim pogardzać, niż w ten, ohydny i narzucony właśnie przez niego? Będąc poniżany — mieszałem baroneta z błotem. Niespodziewanie dla nas obu dostarczył mi broni i użyłem jej, trafiając go w czułe miejsce. To, co brał za wymuszone na mnie zaspokojenie, było ledwie wstępem do miłosnej ekstazy. Nie był do niej zdolny, mógł umrzeć w moich ramionach, krótkoszyi i brzuchaty. Bał się... I dlatego miotał za mną wyzwiska, jeszcze wówczas, gdy z polecenia lorda Fontenbarry okryto mnie i wyprowadzono z sali...



Rozdział dziesiąty

Ukryty przed Widmarkiem na zapleczu kuchni, przyodziały w szczątki jedwabnego chitonu, wyglądałem i czułem się żałośnie. Satisfakcja z doprowadzenia baroneta do wściekłości uszła razem z pierwszymi łzami. Rozpłakałem się jak dziewczyna, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Siedziałem na chwiejnym zydłu do obierania kartofli i z mozołem wspominałem, kiedy ostatnio miałem powód do wielkiego płaczu. Czy wówczas, gdy matka przyłapała mnie na zabawie z samym sobą i surowo przykazała, abym spał z rękami na kołdrze? Moje ciało, jak wszystko na świecie, stało się przyczyną cierpienia. Jednak to dzięki niemu zamierzałem zawojować świat i dlatego nawet najcięższa próba nie osłabiała mej wiary w urok własnej powierzchowności. Niebezpieczeństwa z tym związane jawiły się coraz liczniejsze i bardziej okrutne, lecz nie zdołałyby mnie odwieść od planu uwiedzenia stołecznego miasta...

Mimo to — płakałem... Nikt, przy zdrowych zmysłach nie znosi upokorzeń, zwłaszcza, gdy natura przydała mu nieco dumy i godności. Na wytyczonej przeze mnie drodze czyhały pułapki, których ani podejrzewałem... Świadomość, że narażam się na nieustanne niebezpieczeństwo przytłaczała; doskonale widziałem chciwe twarze lordów, hrabiów i baronetów, sięgających po mnie — złotem, obietnicą lub przymusem. Kogóż los zesłał mi za przeciwników? Goudhamów, Burstenów, Widmarków — utytułowaną zgraję nierobów. Ich świat pozwalał na odrobinę swobody tylko wówczas, gdy stosowałeś się do jego prawideł. Poznać je, najlepiej jak można, przetworzyć na własną receptę działania, aby wreszcie dobić się sukcesu... Za jaką cenę? Dziecinnego płaczu wśród niedomytych statków?

O tak, cierpiałem, bardziej może z powodu własnej słabości, niż krzywdy wyrządzonej podczas przyjęcia. W końcu (przekonywałem się) nie warto przejmować się tak podłymi widzami. Tytuły, obnoszone na zewnątrz nie miały związku z prawdziwą wartością tych ludzi. Byli niczym mierzwa z londyńskiego targu — tylko bardziej próżni. Nie pozostawało mi nic innego jak żyć wśród nich i pod czujnym okiem Douglasa Founda nabywać niezbędnej wiedzy dla wykorzystywania ich zachcianek.

Opanowałem się nieco i zaprzestałem płaczu. Zabawa nieco przycichła, część gości spała, zmorzona alkoholem, inna grupa oddawała się rozpuście na piętrze pałacu. Zdjąłem jedwabną szmatę z bioder i zanurzyłem wycieńczoną męskość w misce z wodą.

Pokonany zwycięzca! Mą skórę oblepiał niewidoczny brud, nieczyste dłonie dziwki i spojrzenia obleśnych widzów. Myłem się energicznie, nie bacząc na chłód wody, szorowałem skórę aż do zaczerwienienia, ciągle pod wrażeniem, że pozostaję skalany. Nareszcie, pełen rezygnacji, osunąłem się z powrotem na zydel i, wsparłszy policzek o dłoń, zapadłem w czujną drzemkę. Słyszałem śmiechy i wrzaski dziewczynek sprowadzonych dla dogadzenia gościom; wydawały gardłowe dźwięki, niczym rozki mgielne na Tamizie. Pijana mowa mężczyzn, ostre piski usługujących dziwek, zapewne starających się sprzątnąć biesiadne pobojowisko, brzmiały jak spór mew.

Płonący na kominku ogień mile lizał skórę i przenikał mięśnie. Głowa mi opadła, ramiona zwiotczały, nogi wysunęły się na izdebkę. Wygiętym grzbietem dotknąłem lodowatych kamieni ściany, aż oparłem się o nie, rozluźniając ciało.

Spałem.

Wróciłem do rodzinnego domu i znalazłem się w pokoju zamieszkałym wspólnie z braćmi. Był wieczór. Filip, brat średni, przy pomocy zrolowanej kołdry pokazywał mi w jaki sposób należy obchodzić się z kobietą. Jego spocone ciało w blasku dogasającego ognia walczyło same ze sobą. Łóżko pojękiwało od tych zapasów.

Odwracałem oczy nie wiedząc, gdzie podziąć się z niemal bolesnym zawstydzeniem. Żądanie Filipa, abym powtarzał jego nauki wydało mi się czymś występny. Nie chcąc jednak zostać wyśmianym ująłem własną, mięciutką męskość i bez przekonania przesunąłem zaciśniętą dłońią wzdłuż krzepnącego prącia. Filip śmiał się chrapliwie i z całych sił ściągnął swoją i tak naprężoną skórę; z delikatnej otuliny wyłonił się przecięty na czubku bulwiasty kaptur i pobódszy powietrze zapienił się obficie.

Na ów widok i w moim ciele zjawilo się uczucie narastającej prężności, coraz bardziej słodkie i omdlewające. Moje członki zesztyniały, a gdy usłyszałem sapanie, towarzyszące spazmowi, jaki targnął ciałem Filipa, zagryzłem wargi, zdecydowany osiągnąć podobny finał. Lecz w moim niedoświadczonym narzędziu brakowało jeszcze niezbędnej mocy. Kleiste kropelki śluzu, wydostające się przez otwór, świadczyły, iż przegram tę konkurencję. Byłem zawiedziony, choć nie zrezygnowany. Mój członek, w przeciwieństwie do skarłałego prącia brata, dalej unosił purpurową bulwę; zatrzymujące oddech mrowienie przenikało mnie od podbrzusza ku piersiom. Nie mogłem zachować bezruchu, wierciłem się niespokojnie, świadom, iż czynię to we śnie. Zarazem docierała do mnie prawda, że sen przekształca się w rzeczywistość. Mój członek istotnie osiągnął stan nakazujący mu rozładować się w paroksyzmie rozkoszy.

Niemrawo otwierałem sklezione powieki. Ostatnie żarzące się polano wyrzuciło snop iskier. Ujrzałem, iż siedzę na podłodze, obok przewróconego zydła. Na mych wyciągniętych udach, ciasno zespolona ze mną podbrzuszem przycupnęła delikatna postać. Szorstkie sutki łagodnie ocierały się o mój tors, szczupłe kolana wciskały się pod moje pachy. Nie widziałem twarzy; długie, rozwinięte włosy

szczelną zasłoną broniły dostępu do szepczących ust...

Nie dałem poznać, że przerwała mój sen i pozwalałem unosić się nam obojemu w rytm przyspieszonych oddechów. Miękkie włosy dotknęły mych policzków, dostały się między wargi. Zebrałem ich suchy, wietrzny, jakby słonawy smak.

Kim jesteś? — zaszepiała tak cicho, iż mógłbym mniemać, że słyszę własne myśli. — Ty, śpiący, nagi, gotowy do miłości... Jesteś księciem i czekasz na mój pocałunek? Całuję cię...

Jej ciało, tak chłodne w żarze, jaki buchał ze mnie, pochłaniało nas, niczym fala. Przeżywałem rozkosz zanurzania się w morzu — ślepy żywioł unosił mnie na tajemnicze głębie bez dna. Mogłem tak trwać całymi godzinami pozbawiony ciężaru i uczucia... W działaniach dziewczyny było coś z dotknięć parzydełek meduzy, ostrej łuski ryby ocierającej się o skórę, smagnięcia wiatru, wywołującego igiełki dreszczy, sztywności rozpiętego na maszcie płótna, po którym przesuwałem dłońmi, zaskakującej krągłości wymytych przez wodę desek, coś z mrozu metalu, gdym chwycił za rudel... W nozdrza bił dawno zapomniany zapach wodorostów, wynurzonych na końcu bosaka. Oplatały głowę, spływały po czole, tonąłem w nich; to były włosy dziewczyny. Ich gorzko—słonawy smak nasilił się; to były jej odnalezione wargi.

Chwyciłem nieznajomą za ramiona, jakbym pragnął przekonać się, że jest prawdziwa i potrząsnąłem, niebacznym na do granic wyprężony seks. Kimkolwiek była — świętą lub dziwką miałem teraz jedyny cel — strzelić w nią całą nagromadzoną rozkoszą.

Izba zadrgała pod wpływem pierwszego wybuchu. Ciało dziewczyny pozostawało nadal nieuchwytnie, choć przestrzeń zamknęła się wokół niego ciasno i nieodwołalnie. Widziałem rozbłyśki kolorowych rac; z zachwytem pojmowałem, iż nie tylko czuję, ale także oglądam moją miłość, cały skryty w ciele nieznajomej.

Drugi i trzeci wstrząs nie dały opamiętania. Zapadałem się z pogodnym wrażeniem, iż cały strach pozostawiłem już za sobą. Jako mały brzdąc doświadczyłem podobnego uczucia, kiedym tonął na bagnach. Oddawałem się tej miłej czynności bez lęku, całe przerażenie pozostawiając nadbiegającej z pomocą matce. Dzisiaj nikt nie spieszył na ratunek; ta sama dziewczyna była mą zgubą i opatrnością.

I jeszcze jeden, porażający wytrysk! Wypływałem na powierzchnię ciągnąc za sobą oślizgłe algi. Potwory morskie, o których opowiadał mi ojciec, gonily za nami, a ich ostre zęby zatrzaśkiwały się niebezpiecznie blisko naszych krwawiących ciał. Płynąłem ciągle za dziewczyną, nie potrafiąc jej dogonić. Wyprzedzała mnie, śmigając między drobne zmarszczki wody, otoczona pęcherzykami powietrza, radosna i swobodna!

Czemu nie umiałem jej dorównać? Dlaczego myśl o fałszu prześladowała mnie, studząc zmysły i osłabiając rozkosz? Jak cudownie było kochać kobietę! Przed kilku godzinami z równą sprawnością spółkowałem z inną, doświadczoną

w miłosnym starciu, wzbudzając jej podziw... Czerpała z kontaktu ze mną zawodową przyjemność i jej tłuste uda, których ucisk pozostawał w pamięci tańczyły moją melodię... Czy więc tamta miłość była rzeczywiście gorsza od tej, bezsłownej i pozbawionej świadków? Co teraz uwznioślało nasz tajemniczy akt? Czy zgoda na milczenie, niewiedza, kim jesteśmy? Może to fantazja obdarowywała nas chwilą całkowitego szczęścia?

Rychło poznałem historię mojej księżniczki. Była koleżanką „Krótkiej Nóżki” i uprawiała z tą samą maestrią wyćwiczony zawód londyńskiej kurwy. Skończyła już osiemnaście lat (nie przyznawałem się, iż przewyższała mnie wiekiem) i od trzech lat pracowała w dobrze płatnym burdelu. Jako faworytka hrabiego Asco i znajoma Widmarka powtórnie uczestniczyła w karnawałowych przyjęciach lorda Fontenbarry.

Zamknąłem jej usta pocałunkiem, gotowy kochać się z tą istotą z krwi i kości jeszcze bardziej namiętnie, aby zagłuszyć wszystkie rozterki i obrzydlistwa, których pełen był nasz wspólny świat. Czymże bowiem byłem — utrzymankiem wielkiego pana, przekazywanym z rąk do rąk na lada gwizdnięcie? Lord rościł sobie prawo kupczenia mną i podsuwania byle komu, a ja musiałem demonstrować swą uległość i radosne zadowolenie! Zarabiałem w ten sposób na życie i zarabiałem łatwiej od byle prostytutki!

Dziewczyna nazywała się Fanny; spotkało ją nieszczęście. Hrabia Asco trafił do Tower, wdawszy się w bójkę z jakimś bogatym mieszczuchem, któremu madame sprzedała ją tego feralnego wieczoru. Hrabia zwykł rezerwować panienki, lecz płacił nieregularnie. Decyzja madame, nadrabiająca braki w kasie, spowodowała wielką dziurę w zawodowej karierze Fanny...

Oddając mi się raz jeszcze (tej nocy nie zmrzyłem już oka) rozżalona opowiedziała mi o swych klientach — utytułowanych, majątnych i chutliwych.

Pierwszy (ach, jak bardzo brzydki!) kazał wysławiać się pod niebiosa. Przynosił zawczasu przygotowane mowy, pełne wdzięcznych i górnołotnych słów opisujących jego niepowtarzalną postawę, koloryt cery, bicepsy i niezmożną męskość. Słuchając tych bzdur puszył się jak paw i, zaiste, niemałej dyscypliny wymagało od dziewcząt utrzymanie się w ryzach (zawsze duszę się od śmiechu!

wołała Fanny). Z niezmaconym spokojem kończyły pochwały, widząc przed sobą pokracznego kurdupla, jak pręży nędzne ciało w przekonaniu, iż dorównuje greckiemu Apollinowi. Prezentacja własnej, niedościgłej urody wyczerpywała tego panka tak bardzo, iż nie był już w stanie zająć się na serio obowiązkami samca. Toteż dziewczęta, mimo wszystko, darzyły go pewną sympatią, gdyż dostarczał zarobku nie wymagając w zamian zbyt wiele...

Inny dziwak zwykł pokładać się na podłodze, ubrany we Włosienicę, by z przyjemnością znosić deptanie go przez specjalnie wynajęte dziwki. Domagał się też starannego człapania po całym ciele i drżał z zachwytu na widok ponad stukilowej „Świnki” — najtęższej z burdelowej owczarni, która dosłownie rozplaszczała go stęporowymi nożyskami... Gdy wydawało się już, że przy—

brał ostateczną postać bibułki, ten frant ożywał i, dla zabawy, z niemalym znuwaniem, zakuwał się w łańcuchy. Czynił to podobno tak szybko i sprawnie, nie uciekając się do niczyjej pomocy, iż madame zamieniała jego występy w atrakcję zakładu, pokazując sprytnego szlachcica innym sprytnym szlachci-com, ukrytym w drugim pokoju i patrzącym przez wywiercone otwory w ścianie... Skuty i niemal unieruchomiony dopelżał do rozkraczonej dziwki i dzwoniąc żelastwem kochał się, niczym sum wyrzucony na brzeg.

Największy z oryginałów — wielebny pastor o przezwisku „Szczylek” wykazywał wstydlive zainteresowanie wszelkimi sekrecjami kobiecego ciała. Najchętniej tedy spotykałby się z dziewczynami w prewecie, lecz dostojna madame wybiła mu z głowy tę brewerię zapewniając godziwą rozrywkę w specjalnie przygotowanej do tego celu komnatce. Ustawiono tam naczynia, mogące pomieścić znaczne ilości uryny, zlewanej przed seansem z całego domu. Pastor płacił wygórowaną cenę za ów, nisko ceniony w okolicach pozbawionych garbarni specyfik, toteż mógł go zażywać w nadmiarze. Szczególnie radował się, gdy wytypowana panienka oddawała przed nim mocz. A gdy ogarnęło go prawdziwe podniecenie zwykł zastępować swej bogdance nocnik...

Wreszcie ostatni z oryginałów, z którymi moja Fanny sypiała dwa lub trzy razy w miesiącu kupiec bławatny, sybaryta, pozbawiony zahamowań i umiaru. Zwykł dopraszać do obszernej łożnicy kilku wątłych kawalerów i demonstrować im, co należy czynić, aby zasłużyli na miano chłopca. Lękliwi jak perliczki młodzieńcy (opłacani przez madame i nauczeni stosownego zachowania), wyrażali głośny zachwyt; kupiec obnażał rzeczywiście gargantuiczną łagę, potrzasał nią, póki nie przybrała należytych rozmiarów i wrażał ją w pierwszy kobiecy tyłek, jaki udało mu się napotkać. Dziewczyny opowiadały, że dla tego jebaka istnieją tylko poprzez swoje zady, brzuchy i uda. Nie rozpoznawał bowiem twarzy, nie interesował się zapachem, okrzykami, miłosną grą. Brał je niczym knur, od tyłu, ćwiczył długo i bez wytchnienia, zjadał dobrą kolację i powracał do przerwane go wątku. Podziw obserwatorów schlebiał mu; nigdy wszakże się z tym nie zdradzał, uprawiając działalność w celach — jak mawiał — poglądowych i dydaktycznych...

Fanny opowiadała o tym z bezpretensjonalnym humorem tak, jak zwykło się mówić o osobliwościach otaczającego nas świata, na które nie mamy najmniejszego wpływu. Z przerażającą wyrazistością pojąłem, iż nie wyobraza sobie innego życia. Przeto aresztowanie hrabiego niepokoiło ją, gdyż służył jako oficjalny opiekun; teraz, możliwie szybko, musiała znaleźć następcę.

Niestety, nie nadawałem się do tej roli i za żadne skarby świata nie wystąpiłbym jako pan i władca samotnej dziewczyny. Utrzymywała się przecież z pracy — jeśli nie rąk, to własnego ciała i, w jakimś sensie, była do mnie podobna...

Rozdział jedenasty

Nad ranem wymknąłem się z pogrążonego we śnie domu. Mgła otulała Tamizę, z odległych doków słychać było odgłosy ciesiołki — znajomy świst hebli i stukot młotów. Zszedłem wolno ku rzece i zatrzymałem się na starym wysypisku śmieci. Deptałem skorupy garnków, kawałki zardzewiałego żelastwa, starą słomę, strzępy szmat i wyschłe odchody. Nędzne krzewiny rozczapierzały gołe badyle na tym parującym cuchnącymi wyziewami pobojuwisku. Stary, wielki Londyn, pełen pysznych gmachów odsłaniał tu swą niezafałszowaną twarz.

Ciągnęło mnie do tych dziwacznych miejsc, gdzie życie ludzkie uzyskiwało najpodlejszą formę odpadku. Śmieci, pozbawione przyszłości, bezużyteczne i nikomu już niepotrzebne, dawały przytulisko robactwu, żarłocznym mewom i takim jak ja — przypadkowym filozofom... Już odchodziłem, gdy spoza sterty spróchniałych desek wynurzyła się niska postać okutana w łachmany i, podskakując, sunęła ku mnie, wydając bełkotliwe dźwięki. Wokoło niej strzępiła się bura mgła, czepiająca się workowatego nakrycia głowy i grubej płachty na ramionach. Dzięki temu zjawisku odrażająca figura zyskiwała nadnaturalne wymiary.

Bezludność okolicy i martwa cisza, przerywana jedynie upiornym skrzekiem ptaków sprawiły, iż mocno się przestraszyłem. Zamiast jednak uciekać, z niewytłumaczalnego dla mnie powodu, czekałem, aż pokraka zbliży się na dostateczną odległość, abym choć próbował zrozumieć nieustanny, śpiewny bełkot, wydobywający się z jej ust. Jakoż dobiegło mnie pierwsze, całkiem sensowne zdanie: — A kogóż to piękny młodzian szuka?

Milczałem, a potwór plół cichym, przejmującym głosem:

Kogóż szuka, kogo? Siebie szuka, piękniś atlasowy, spoziera w niebo, a tam pustka, patrzy w ziemię, a tu jeno pył... I już z młodzieńca staruch obrzydły, każde oko inne, brzuch wzdęty, w piersiach pełno ślin zatrutych i cuchnących... Ehe, piękniś ma główkę nie od parady, myśli jakby krzepakim na zawsze ostać, od próchna się wybawić... A tu włos, a tu gładkość murszeje, glina się rozstępuje i śmierć z piekła nadchodzi... Tak będzie, będzie, a dzisiaj co? Liczko jak malowanie, kutasik jak węgorz, każdą dziewczkę zbałamuci, w każdą szparkę dotrze, w lustreczku żrenic się przejrzy, oj radość, oj zabawa! Toż panny ku niemu ciągną, każda skrobie się pod spódnicą, tak Ignie do węgorzyka, hop, hop!

Szmaciana kukła skoczyła z nadzwyczajną chyżością, szmaty uniosły się,

upodabniając ją do starego kruka i tylko rechot, wyciekający z bezzębnych ust dawał poznać, iż mam do czynienia z istotą ludzką. I chociaż ogarniało mnie obrzydzenie na myśl, iż mógłbym dotknąć zawoszonych łachów, wyciągnąłem dłoń i, ujawszy postrzępiony brzeg torby, powiedziałem:

Nie śmierci tu szukam, więc ani mnie potępiać, ani zbawiać nie trzeba! Żadnym paniczykiem niejestem i wielkich pieniędzy nie mam. Przyjmijcie jednak małą pamiątkę i zróbcie z niej godziwy użytek...

Wsunąłem do torby kilka pensów, zaplątanych w kieszeni. Stwór, pokłoniwszy się przede mną błazeńsko, nie odchodził; widać ująłem go tym podarkiem i zastanowiłem melancholią.

— A czyżes ty, mileńki? — usłyszałem.

— Chciałbym być własny, ale nawet po śmierci będę należał do kogoś — Boga, diabła, któż to wie?

— Tak... — spośród szmat dobyło się głębokie westchnienie.

A nie myślałeś ty o zemście? Małej, słodkiej zemście na twoich panach...?

Jak cały świat przewrócić? — odparłem, mocno poruszony domyślnością żebraka.

Świat? — zachichotał piskliwie — czemu zaraz świat? Twoi wrogowie żyją tu, obok ciebie, im się kłaniaj, im kadź, a kiedy nadejdzie zmierzch poderżnij gardło jednemu, wyłup oczy drugiemu, zabierz, co im los podarował i używaj, jak swoje! I bacz tylko, by po latach inny młodzieniec nie uczynił ci tego, coś ty uczynił swym panom!

Wygłosiwszy prorocstwo tajemnicza kukła wtopiła się bezszelestnie w falującą mgłę...

Nigdy nie wierzyłem w czary, lecz tym razem opanowała mnie troska, czy nie rzucono na mnie uroku. Zachęta do odegrania się na mych przeciwnikach uzyskała bowiem tak silny odzew w mym sercu, iż przysiągłbym, że spotkanie to wszechmocną wolą Najwyższego musiało odbyć się właśnie teraz w miejscu, odbierającym ostatnią nadzieję. Tylko tutaj mogłem podjąć stanowczą decyzję, odrzucając wahania i skrupuły.

Na wszelki wypadek splunąłem jednak trzy razy tak, jak uczył mnie ojciec; mówiono, że Londyn pełen jest żebraków i pomyleńców. Palono ich przed jakimś czasem na stosach, później zaniechano tych praktyk. Może szkoda? Kupa łachmanów płonąca jasnym ogniem sprawiłaby mi przyjemność... Ale czy wspólnie spłonęłyby pragnienia, których już nie umiałem poskromić?

Patrzyłem na rzekę, różowiejącą od blasku. Wstawało chłodne, zimowe słońce. Na drugim brzegu zarysowały się potężne mury więzienia Tempie, obok okrągłe wieże pałacu Savoy. Obie budowle wzniesiono dla arystokracji i obie mówiły o upadku i wywyższeniu, jakie Bóg dawał potomkom starych rodów. Nad dachami powiewały dumne flagi, u bram warowały strażę. Z przeciwległego brzegu żywot dobrze utytułowanych jawił się niczym barwnie opowiedziana baśń.

Z głową pełną oderwanych skojarzeń szedłem w górę rzeki, wypełniającej się stadem barek. Płynęły z głębi ładu, załadowane towarami. Szyprowie, przykładając dłonie do warg, wykrzykiwali pozdrowienia, niosące się ostrzegawczo nad tonią.

Na wysokości Westminsteru siadłem na prom i, pytając o drogę, trafiłem do Opactwa. Przedostawszy się boczną furtą w ciemną nawę chłonałem przepych kamienia i metalu, w których władcy zakłęli swą ziemską potęgę. Nawet po śmierci zmuszali maluczkich do podziwu i uwielbienia. Łacińskie sentencje na nagrobkach królów i parów odbierały spoczywającym w nich zwłokom cechy ludzkie. Byli, niczym herosi starożytnych legend, mityczni zwycięzcy potyczek z potworami, udający się do nieba na skrzydlatych koniach. A jednak, w chłodnym mroku krypt spoczywali ludzie, pełni namiętności i grzechów... Ich występki nie wzbudzały nienawiści, albowiem przykrywało je dostojęństwo marmuru i złota. Te same emocje, które targały mą duszą, zasługujące na najwyższe potępienie, tu — pośród dostojnych stalli — przemieniały się w wiekopomną cnotę i nie przemijającą zasługę.

Domyślałem się przyczyny takiego obrotu rzeczy. Oto nad wszystkim i wszystkimi królował Bóg — największy rozkazodawca. To on bawił się człowiekiem jak zabawką, wyznaczając jej rolę do odegrania. Przekazywał nas z rąk do rąk; wielkie zabawki rozkazywały małym, aby po śmierci szukać usprawiedliwienia pod boskim okiem — na przeciw ołtarza...

Piramida świata była skończona i niewiele mogłem jej zarzucić poza tym, że drwiący przypadek umieścił mnie na samym dole. Musiałem tedy zawsze i wszędzie piąć się do góry.

Czas płynął, robiło się późno; pijany Fontenbarrys House z pewnością budził się do życia. Przyjęcie trwało nadal; zapowiadano kolejną, upojną noc uciech i niespodzianek. Przyspieszając kroku powróciłem nad rzekę i w tłumie przekupek dążących na targ przeprowiłem się na stronę Southwark. Tam wskoczyłem na wózek jakiegoś poczciwiny, który za dobre słowo podwiózł mnie aż do bramy.

Jakże zdziwiłem się, widząc na ganku rozkrzyczane kobiety, w których rozpoznawałem niechlujnie przyodziane pensjonariuszki zmobilizowanego na karnawał zamtuza. Ludzie w wysokich kapeluszach zaganiali je, niczym gęsi, do czekających opodal drabiniastych wozów. Zaprzężone muły odpowiadały głupawym rykiem na przenikliwe piski popychanych dziwek.

Wśród spierających się z konstablami ujrzałem także kilku pijanych szlachciców. Jeden z nich groził nawet kapitanowi pistoletem. Straż miejska szybko poradziła sobie z tą groźbą, pistolet odebrano, okazując pniaczowi dużo szacunku. Wszakże, gdy wziął się do pięści, jeden z umundurowanych osiłków rozłożył go bez pardonu prostym ciosem w szczękę.

Na ganku zjawił się tymczasem lord Fontenbarry i wielkim głosem protestował przeciwko naruszeniu prywatności. Wówczas kapitan zdjął kapelusz i odczy—

łał doniesienie, jakie sąsiad lorda złożył na posterunku straży. Wynikało z niego, iż Fontenbarrys House opanowali złodzieje i prostytutki; kapitan poczytywał za swój obowiązek odstawić intruzów do więzienia.

Lord przyjął tę informację nad wyraz spokojnie. Podpisawszy przedstawiony mu dokument polecił, aby nikt nie przeszkadzał w aresztowaniu winnych. Na wozy trafiało coraz więcej przeklinających kobiet, a także kilku lokai i komuchów. Jakiś gorliwy konstabl, wskazawszy na mnie, tkwiącego ciągle u bramy, krzyknął: — O, ten nadawał robotę!

Zanim się spostrzegłem, siedziałem na wozie wśród zawodzących kurew i milczącej służby. Mój pan, widząc me aresztowanie, obiecał, że nie da mi zginać.

Dobre sobie! Wieziony jak złoczyńca i wytykany palcami przez mieszczan wjechałem do lodowatej bramy więzienia Fleet. Po rozdzieleniu mężczyzn od kobiet strażnicy wepchnęli nas do celi, gdzie na kamiennej podłodze leżało pokotem kilkudziesięciu straszliwie brudnych opryszków. Byli to przeważnie mali złodziejaskowie, alfonsi i włóczędzy. Wśród godniejszych znajdowali się fałszerze i przemytnicy. Pod ścianą grało w kości kilku dłużników zamkniętych tu przez własne, zrujnowane rodziny...

Wszedłem do celi w towarzystwie służącego hrabiego Thackeray'a i mężczyzny posługującego w gospodarstwie Fontenbarrys House. Przyjęto nas gniewnie, albowiem zajmowaliśmy i tak szczupłą przestrzeń. Odór niemytych ciał wstrzymywał oddech. Widząc nasze skrzywione twarze któryś z rzezimieszków zawołał:

— Nie podoba się jaśnie państwu? Niech se odetchnie świeżym wiatrem! Rusz się który, pokaż milordom drogę...

Dwóch łotrów chwyciło mnie pod ramiona i pociągnęło do kubła na nieczystości. Z uniesionej kłapy powiało smrodem. Nachylono mój kark nad breją i ten sam złośliwy głos perorował:

— Trza płucka przeczyścić, nosek wysmarkać, posmakować jak pachnie!

Ogarnęły mnie mdłości, alejuż ustępowałem miejsca pobladłemu chłopakowi Thackeray'a. Zwymiotował natychmiast, ku ucieście oprawców.

Tylko milkliwy posługacz nie uląkł się przemocy. Zgiął ramię, wykonując obraźliwy gest i zaklął szpetnie. Wezbrany mięsień wzbudził respekt. Właścicielowi dostało się raptem kilka niegroźnych kuksańców.

Szukając miejsca w nieludzkiej ciasnocie, popychani i lżeni przytuliliśmy się wreszcie przy ścianie, w pobliżu okropnego kubła. W tej najpodlejszej strefie zyskaliśmy chwilę spokoju. Zaraz jednak, rozrzucając kopniakami leżących, zbliżył się ku nam potężny chłop z brudną szmatą na oku. Z rozchełstanego kubraka wystawała mu nadzwyczaj bujna, siwiejąca szczeć. Przypominał legendarnych korsarzy Francisca Drake'a, łupiących hiszpańskie galeony. Sięgnął paluchami pod moją brodę, zmuszając, abym patrzył prosto w jego przekrwione ślepie.

— Dziecino, kiedyż to ostatni raz zadzierałeś swe zgrabne nóżki? — zapytał ochryple. — Spójrz na nas, biedaków. Już trzeci miesiąc trzymają nas za kratami,

a kutasy puchną nam z tęsknoty! Taki gładysz poradzi sobie ze wszystkimi, którzy pragną maleńkiej ulgi. Hej tam, na pokładzie! Lubownicy młodego ciała, gotujcie bosaki! Zdobycz na horyzoncie i biada temu, kto ją odda żywą!

To mówiąc opuszczał wielką łapę na me biodro, drugą ściskając mój tors. Na wpół uduszony i porażony najgorszym przecuciem bronilem się słabo. Pirat bez wysiłku pociągnął mnie na przeciwległy kraniec celi, gdzie na rozkopanych barłogach leżało kilku jego kompanów. Usłyszeli zew przywódcy; nie zdążyłem przyjrzeć się im dokładniej, gdy zerwali ze mnie koszulę i zaczęli przerzucać nią, jak piłką. Po czym chudy chłopina o rzadkim, niechlujnym zarostie sprężystym skokiem powalił mnie w śmierzący barłóg. Staralem się wywinąć, ale chudzielec obłapiał mnie ze wszystkich stron, cuchnąc tak przeraźliwie, iż rychło straciłem siły i, niemal biernie, czekałem swego losu.

Drugi z kompanów wykorzystał tę rezygnację i, schwyciwszy moją głowę, wduślił ją w odrażające szmaty; czułem, jak leżący na mnie chłopina obdarza me ciało upokarzającą pieśczołą. Chropawe dłonie wciskały się między uda, dobywając skurczony z obrzydzenia członek. Łotrzyk zajęty głową wgniół tymczasem kciuki między moje zęby i fachowo oceniał ułożenie zebranych tym chwytem warg. Mając uniesiony podbródek i wyprężoną grdykę nie widziałem dalszych zabiegów wokół podbrzusza. Mój bezbronny penis budził się w ciepłym i śluzowatym wnętrzu. Zarazem w polu widzenia pojawił się cudzy członek i niemal natychmiast potem zakrzusilem się od ohydy, wciśniętej w moje gardło. Jędrny, gorący intruz uderzał rytmicznie o wrażliwą ściankę podniebienia, wywołując u mnie odruch wymiotny. Łapczywie łykając drogocenne powietrze nie kontrolowałem sygnałów płynących z dołu. Mój członek, wypluty przez opryszka, osiągnął stan największego podniecenia. Chlusnąwszy obficie nasieniem sterczał jak wyzwanie, a chropawe łapy przesuwaly się po nim. W tejsze chwili spazmatyczne ruchy w moich ustach niemal ustały; w zamian zmuszony byłem szybko przełknąć strugę gęstej ciecicy, wytryskowi której towarzyszył tryumfalny rechot opryszka...

Wówczas pirat, który zawłókl mnie w ten kąt, odtrącił kompanów. Nie zważając na ich głośnie protesty, uporządkował sytuację kilkoma mocnymi kopniakami. Ustawiwszy mnie twarzą do muru, przytłoczył mój grzbiet i jednym rzutem wbił się we mnie z taką mocą, iż krzyknąłem od bólu rozdzieranych trzewi. Wypełniał mnie sobą i gniótł, a ja jęczałem, wzywając pomocy.

Kanalie, Boga się nie boją! — zawołał któryś z więźniów. Pojąłem, iż mą sromotę obserwuje kilkadziesiąt oczu. Świadomość ta uczyniła me przeżycia stokroć straszniejszymi...

Za moimi plecami wszczął się tumult. Ktoś mocno potrząsnął gwałcicielem i ściągnął go ze mnie. Wzmózone cierpienie zważyło mnie z nóg. W górze rozgrywała się niema walka. Słyszałem przyspieszone oddechy i uderzenia.

Raptem sapanie stało się chrapliwsze; rozległ się trzask łamanej kości. Po mojej prawej stronie uderzyła w ścianę całkowicie bezwładna głowa z rzadką,

zakrwawioną bródką. Z czyjejs krtani rozległ się nieludzki ryk i zapanowało milczenie.

Bałem się podnieść i odwrócić; patrzyłem na dużego pająka, leniwie kroczącego w szeregu między murem a podłogą.

Czyjaś dłoń podparła mnie. Bez sprzeciwu dałem się jej prowadzić. Skądś podano ubranie, włożyłem je byle jak i szedłem dalej, potykając się o wijące na ziemi postacie. Szczęknął zamek i do celi wkroczyło dwóch strażników.

— Co to za hałasy? — warknął jeden, obrzucając groźnym wzrokiem zastygłych więźniów. Dostrzegłszy ciała, leżące w nienaturalnych pozach zbliżył się i, unosząc kolejno głowy pobitych, rzekł:

— Mają za swoje. Trafili widać na silniejszego...

— Bydło — poparł go drugi, spluwając pogardliwie. — Ja bym takich na szubienicę i rozpalone węgle na jaja, żeby choć swąd poczuli...

Dobrze, kumie, księdza im nie przyślemy... A który to od jego lordowskiej mości? — spytał pierwszy, sprawiając cudowną odmianę.

Strażnicy obejrzel nas nieufnie; najwidoczniej schludność stroju i brak smrodu przemówiły na naszą korzyść, bowiem wyprowadzili nas na podwórze. Haust zimnego powietrza otrzeźwił mnie wystarczająco, bym zaczął myśleć o moim wybawcy.

— A czemuś ty taki blady, panicyku? — zagadnął strażnik.

— Może pomacali cię troszkę w naszym przytułku dla zwiędłych kutasów?

— Nic mu nie będzie — rzekł drugi — już tam ichnie lordowskie moście odkurują go na kurzym mięsku!

— Taa... Hrabiewskie kurwy nie są lepsze od naszych, zwykłych. Tera ich wezmą w czystą pościel i będą się gzili, a bo to tajemnica?

Żegnani grubiańskim śmiechem i zgrzytem bramy znaleźliśmy się poza więziennym murem.

Z twierdzy Fleet do Fontenbarrys House był kawał drogi. Rozglądaliśmy się więc, mocno zagubieni. Czarna noc i pustkowie, otwierające się przed nami, sprawiły, iż znowu poczułem duszę na ramieniu.

Szcześnie, z istic cmentarnych oparów, wyłoniła się stara karoca, ciągnięta przez parę srokaczy. Na drzwiach brakowało herbu, lecz woźnica cmoknął na nas i zrobił szelmowskie oko.

— Wsiadajta! — zaprosił i powiózł ulicami wyludnionego Londynu.

Kierowany przemożnym impulsem wdzięczności położyłem dłoń na kolanie milczącego towarzysza.

— Dziękuję za pomoc! — rzekłem cicho.

Odtrącił rękę z nie ukrywanym obrzydzeniem! Blady lokaj Thackeray'a siedzący na przeciwko wyszczerzył zęby w nerwowym uśmiechu:

— Ale z ciebie świnia! — zachichotał. — Tak się dać zerznąć, tak zerznąć!

Zachowaliśmy grobowe milczenie aż do końca jazdy i dotarliśmy do Southwark niczym trójca powracająca z zaświatów...

Rozdział dwunasty

Jakie słowa oddadzą stan mego umysłu i serca podczas powrotu z Londynu? Zawładnęła mną wściekłość tak ślepa i okrutna, że gotów byłem kasać i gryźć! Lord wyczuwał ten groźny nastrój i kilkakrotnie próbował nawet rozproszyć go niewinną pogawędką. Aleja milkłem tak złowróźnie, iż — zniechęcony — wołał w końcu z udanym zainteresowaniem patrzeć w okno karocy, niby podziwiając wiosenny krajobraz...

Douglas Fund oczekiwał naszego przybycia niczym wężący pies. Czujniej od pana przenikał powody, dla których okazywałem światu najwyższą pogardę i — w jakiejś mierze — domyślał się londyńskich wypadków. Nie napomknąłem mu jednak ni słówka o szczegółach, sądził przeto, że styl zabaw w Fontenbarrys House nie przypadł mi do gustu... Któż bowiem mógł przypuszczać jakiej próbie poddano mnie w więzieniu Fleet?

Lord zdawał się, na swój łagodny sposób, cierpieć. Fakt, że pozwolił bez większych sprzeciwów na pojmanie mnie, skłaniał go do wynagrodzenia krzywdy. Próbował odnawiać przyjacielskie stosunki, natrafiając nieodmiennie z mej strony na zacięty opór. Patrzyłem w bok, odpowiadałem jedynie półsłówkami i nawet najlepsza wola chlebobdawcy nie mogłaby mnie rozruszać. Wreszcie oskarżył mnie, że stwardniałem, co sprzeciwia się wrażliwej naturze. Tłumaczył, iż nie należy tak bardzo przejmować się wrogim losem. Życie — filozofował — przynosi nam wszystkim, Colinie, wiele niemiłych zaskoczeń. Czy oznacza to wszakże, iż pozbawione jest uroku?

Domyślny Found także dorzucał swoje trzy grosze.

— Masz skórę jak u panienki — rzekł, gdy siedział w otępieniu nad łacińskimi sentencjami Marcjalisa. — Kto wie, czym zakaziłeś swą duszę?

Odwzajemniłem się morderczym spojrzeniem.

— Fiu, fiu, koleżko, przeczekaj, czas to najlepszy lekarz!

Nielatwo było stosować się do tej rady, biorąc zwykły udział w pałacowej krzątaniu. Im dłużej przebywałem pod tym dachem, tym dotkliwiej ogarniała mnie chęć rewanzu. Ciągle bezsilny, swój pierwszy gniew wyładowywałem na służbie, uzależnionej od pogardzanych przeze mnie mocodawców. Odrzucałem zaproszenie dziewcząt, odzywałem się opryskliwie do kolegów, rychło zyskując miano waźniaka i głupca.

Tymczasem lord obserwował dyskretnie tę przemianę ostrzegając mnie, iż przysparzam sobie wrogów. Zamiast wdzięczności okazywałem mu tylko

falszywą uległość. Przejrzawszy komedię wycofał się pełen żalu.

Za to Douglas Found nie ustawał w udzielaniu mi przestróg i napomnień, jakby przejmując troskę jaśnie pana o młody charakter, ulegający właśnie spaczeniu.

— Jeśli nie chcesz stracić łaski, okaż choć trochę zainteresowania! Lord czeka na ciebie! Wejdz do komnaty, zapytaj, czy nie potrzebuje twych usług...

Mówiąc to — jakże ze mnie szydził! Świadomie lub nie, wywoływał najgorsze wspomnienia, w których usługi dla takich potworów jak lord zawsze okazywały się brudne i hańbiące. Pewnego wieczora, gdy ponownie usiłował przemówić mi do rozumu, wybuchłem:

— Szanowny panie bibliotekarzu, opłacany lepiej niż piesek, odczepże się ode mnie, daj odetchnąć! A jeśli koniecznie chcesz na kogoś skarżyć, przypatrz się sobie i oceń, czy byłeś takim, zanim zakosztowałeś lordowskiego chleba!

Found zmieszał się i pomarkotniał. Chciał jeszcze coś mówić, ale zakrzyczył — leń go. Wtedy zwyczajnie uciekł z pokoju.

Nazajutrz stawiłem się na przepisową godzinę nauki, lecz mój preceptor nie rozpoczynał lekcji. Czekałem obojętnie, wertując Tukidydesa. Niespodzianie oznajmił, że udajemy się ... na strych!

Sądziłem, iż znowu pokaże mi niebo. Kilkakrotnie już spoglądaliśmy w wieczorny nieboskłon nazywając gwiazdozbiory. Przyznam, iż ogarniały mnie niezwykle uczucia, gdym odnajdował maleńką grupkę świecących punktów. Każde nowe odkrycie graniczyło z cudem, gdyż błyskającą milionem ogników czaszę zawiesiły nad głowami ludzi jakieś niewyobrażalne moce. W tym zestawieniu byłem śmieszny i znikomy... A jednak — umiałem bezbłędnie odróżnić Raka od Bliźniąt. Zarazem, w świetle zimno spalających się gwiazd, tańczyłem jak mi zagrano! Ja, paradny Colin, towarzysz wielkiego lorda! Niekiedy horyzont przecinały seledynowe krechy i wówczas spadałem na twardą ziemię, niczym zabawka zdjęta z firmamentu dłońią olbrzyma...

Tego wieczoru nad pałacem wisiała gruba posowa chmur, której nie przenikał najmniejszy promień księżyca. Douglas niósł zapaloną pochodnię; migoczący płomyk z trudem rozpraszał zakurzone ciemności. Weszliśmy aż pod belkowanie dachu i tam, wśród kufrów i strzaskanych mebli, wyblakłych strojów i sparciałej uprząży bibliotekarz odnalazł cmentarzysko obrazów czarnych jak smoła. Zdawało się, iż w popękany werniks na zawsze wsączyła się noc. Nie zrażony tym Found odgarnął pajęczyny, przejechał dłońią po płótnie, jak gdyby podciągając kurtynę.

Przyjrzyj się, patrz! — szepnął zduszonym głosem — patrz dobrze i zapamiętaj!

Na obrazie o kunsztownych, lecz zetlałych ramach dostrzegałem dwóch mężczyzn: starszy, łagodnie uśmiechnięty, trzymał w dłoniach lilię, młodszy, dziecko jeszcze, spoglądał tęsknym okiem na świeżo zerwany kwiat.

— Poznajesz? — szepnął Found jakże mógłbyś nie poznać?

Wysilałem wzrok, lecz w tchnących spokojem wizerunkach nie znajdowałem przyczyn aż tak wielkiego wzburzenia... Domyślając się mej bezradności Found zbliżył pochodnię do oblicza starszego z mężczyzn. Wpatrzyłem się w harmonijne, wyostrzone rysy i cień podobieństwa skłonił mnie do pilniejszych studiów. Twarz, którą kojarzyłem z malarskim odwzorowaniem dawno pozbyła się widocznej tu świeżości; obecnie, nieco ociężała i zmęczona zachowała przecież ten sam wyraz łagodnej goryczy... Tak! To był lord Fontenbarry sprzed lat kilkunastu, lecz jak nazywał się jasnowłosy chłopiec, stojący obok?

Lekko zadarty nos, obrzmiałe, wilgotne usta, szare oczy obramione tak jasnymi rzęsami, iż malarz mógł je pominąć... Ciało uległo nieodwracalnej zmianie, naga czaszka i ostre bruzdy smutku przeczyły nieskazitelnej gładkości namalowanej cery, ale i ten inteligentny, zalotny pyszczek zapatrzonej w kwiat (podarunek, czy dowód przywiązania?) nie był mi całkiem obcy...

— Douglas — wykrztusiłem — czyżbyś ty i lord...?

Pytanie zawisło w powietrzu. Płomień pochodni zdawał się spalać zapadłą ciszę na osiadający w płucach popiół.

— Tak — nadeszła cicha odpowiedź. — Ja i lord, kiedyś... bardzo dawno temu...

A potem, jakby usiłując zbagatelizować swe uczucia Found zdobył się na trzeźwy, ironiczny wręcz ton:

— Inni odchodzili, ja wróciłem... i jestem.

W tej ironii słyszałem bolesny dźwięk.

Kochałeś go... — spróbowałem potwierdzić swój domysł.

W szklistych oczach bibliotekarza błysnął refleks, niczym ślad łyzy.

Przysiągłbym, iż Douglas stara się przekazać mi coś bardzo ważnego; raptem darzyliśmy się zaufaniem, którego granic nie odmierzała dworska etykieta, wzajemna niechęć i ostrożność. Tak, chciał opowiedzieć o wieloletniej udręce człowieka, który przywiązany jak pies do swego pana, odtrącony — powraca, aby warować u progu...

Odkrycie to lub raczej wyznanie, zrazu nie wywarło na mnie głębokiego wrażenia. Oczywiście, byłem poruszony, a nawet zirytowany, że dawny faworyt lorda obucza teraz mnie — kolejnego adepta wiedzy nie bardzo tajemnej. Z drugiej strony nie mogłem odegnąć smętnych myśli o przemijaniu. Czas, unaoczniony w tak okrutny sposób, jawił się jako wróg tyleż groźny, co podstępny... Dla nas, służących, oznaczał on nieuchronną zmianę statusu, zawsze z łaski i woli jaśnie państwa...

Potem jednak zmieniłem zdanie. Pojawiło się nawet coś w rodzaju wdzięczności dla Founda; nie zdradzałem się przed nim z tym uczuciem, nie sądzę także, aby go potrzebował. Ten postępek bibliotekarza był bardziej pouczający, niż wszystka dotychczas zdobyta przeze mnie wiedza. Należało teraz liczyć wyłącznie na siebie i — spieszyć się! Ów wniosek, klarowny i ostateczny, zawdzięczałem szeroko otwartym oczom, chwili słabości jednego z tych, którzy przysposabiali mnie do fałszu oraz ambicji, wielkiej ambicji wyrwania się za wszelką cenę

z upodlającej zależności.

Toteż z wdzięcznością przyjąłem następny dar losu: odezwała się do mnie lady Margaret. Obserwując jak tracę serce jej brata, zapragnęła osobiście poznać niesfornego sługę, który lekceważył ostentacyjnie przypisane mu obowiązki. Liczyłem na jej przekorę i — nie zawiodłem się.

Skłamałbym twierdząc, iż zachowywałem się odważnie po raz pierwszy rozmawiając z nią na osobności. Byliśmy w sypialni i już obecność łoża prababki dostatecznie drażniła zmysły. Ale nastrój lady Margaret nie zachęcał do uprawiania miłości; jej kochanek, znudzony przebywaniem w Kew, zaglądał do gospody, a potem zniknął na wrzosowiskach. Mówiono, że ugania się za wiejskimi dziewczynami. W pałacowej kuchni aż roіło się od plotek o kłótniach, a nawet bijatykach między tą dziwną parą... Dumna lady nie dawała po sobie poznać jak bardzo jest upokorzona, lecz skrycie szalała z gniewu. Odgadywałem te przeżycia po grymasie ust wymawiających pogardliwie słowo: „mężczyzna”.

— Colinie — rzekła po uważnym zlustrowaniu mej sylwetki — stałeś się mężczyzną!

To prawda; wyzwoliwszy się z kokonu dzieciństwa i nie porzucając jeszcze chłopięcości — rozrastałem się, zgrabnie formując muskuły. Włos na brodzie gęstniał i nie układał się już tak miękko, sposób poruszania stał się bardziej stanowczy. Urosłem nieco i ten miły dla mnie szczegół wyraźnie znalazł uznanie u lady Margaret. Wprawnym, kobiecym okiem oceniła wszystkie zmiany i chyba znalazła mnie na tyle interesującym, by zacząć o tym myśleć. Co do mnie

— nadal pozostawałem pod jej wrażeniem, z tą jedynie różnicą, że — Bóg świadkiem — nie pozwoliłbym już nikomu dać się zbatożyć. Ponadto zaborczość lady zaczynałem traktować jako element gry — rozpoczętej pomiędzy mną a lordem.

Widywaliśmy się rzadko, przecież posyłała po mnie. Były to drobne przysługi jakiś przedmiot wniesiony do jej sypialni, szklanka mleka, suknia, którą należało natychmiast przekazać krawcowi... Z czasem poczuliśmy osobliwy rodzaj powinowactwa tych, u których samotność objawia się pragnieniem uciezki. Wydało mi się, że lady najchętniej porzuciłaby pałac i odjechała do Londynu. Powstrzymywał ją tylko stanowczy zakaz brata i niedostatek funduszy...

Wreszcie poprosiła mnie o przysługę. Po raz pierwszy odniosłem list do niewiernego kochanka w Kew. Potem zdarzyło się to jeszcze kilka razy. Zauważyłem, że lady nie pieczętuje swych pism. Ostatniego nawet nie zakleiła, jakby zachęcając mnie do przejrzania korespondencji. Przyznam, iż z ciekawością przeczytałem tych kilka słów wyrażających wyłączenie żal i skargę. Nie sądziłem, iż lady Margaret jest zdolna do takiej uległości! Cyrkowiec niewiele robił sobie z arystokratki płacącej mu źle lub wcale. Nagabywany przez niego o pieniądze musiałem stanowczo protestować. Oszczędziłem też lady Margaret powtarzania niewybrednych pretensji pod jej adresem...

Toteż nie zdziwiłem się zbyt, gdy pewnego dnia jaśnie pani poleciła mi zaprząć kocz i towarzyszyć sobie w krótkiej przejażdżce. Uwaga, abym nie nadawał sprawie rozgłosu, znalazła u mnie pełne zrozumienie. Wyjechaliśmy z zabudowań pałacowych boczną furtą i skierowaliśmy się do Kew. Nie pytałem swej pani o drogę, ona także nie określała kierunku; wsparta o poduszki, w pięknej zielonej sukni, uwydatniającej jej oliwkową cerę, smuciła się — a ja przeżywałem radość! Nareszcie dzieliłem z nią najbardziej intymne sekrety w sposób, który czynił mnie nieodzownym!

Zajechaliśmy przed domek wdowy Runcey. Z komina unosił się dym, uchylone okiennice świadczyły, iż zastaliśmy kogoś z domowników. Lady wbiegła do środka; rychło usłyszałem odgłosy kłótni. Męski, przepity głos łąał moją panią najgorszymi wyrazy. Odpowiadała dzielnie, nie skąpiąc brutalowi wyzwisk. Raptownie rozległ się odgłos wymierzanego policzka. Lady krzyknęła i — rozplakała się!

Z domku wyjrzała wdowa Runcey. Zbadała mnie od stóp do głów świdrującymi oczkami, a uznawszy, że nie należę do długiej listy kochanków lady, załamała dłonie i piskliwym krzykiem poczęła miotać obelgi na niewidocznego wroga:

— Suki! — wołała — wszędzie suki, parzą się po kątach, krwi szlachetnej nie uszanują, obraza boska i pomór, oj, ludzie na co nam przyszło!

Pozwoliłem na wrzaski tylko przez krótką chwilę. Wzbudzały zainteresowanie sąsiadów, a ponadto były zbyt obraźliwe dla lady Margaret!

— Uciszcie się, matko — rzekłem — bo złego wykrzyczycie, a zdrowie już nie te... Lepiej byś zamknęła stancję, żyła z ogródka i nie wytrząsała się nad ludźmi, gdy sama nie jesteś świętą.

Starą zamurowało i jak niepyszna schroniła się w swym domku. Przechodzący obok rybak z uznaniem klasnął językiem i, popatrując na mnie, zapytał, czy nie mieszkałem w Kew?

Poczeiwino odparłem — a dlaczegoż miałbym tu mieszkać?

— Bo przypominasz mi kogoś — odparł niewinnie. Wy, z pałacu, zawszeście takie wygadane i pyszne — dorzucił kwaśno.

— A cóżeście chcieli, ojczcie! — zaśmiałem się — toż nasze przeznaczenie jest inne, więc i obejście się różni...

— Eee, tam, wszystkcieście jednakie, bałamuty, tylko zreć i pod pierzynę. Lokajów dużo, państwa mało, jak ich obsiada, pałacu nie starczy... A ty pewnie u Fontenbarych służysz, nie? Ta ładacznicą, Maggie, znowu za chłopem przybiegła?

W tym momencie na progu stanęła moja pani. Rybak tkwił rozparty przy furtce, ani myśląc ustąpić. Świsnąłem batem i elegancko zrzuciłem wełnianą czapkę chłopka. Chwyił się za potylicę i uczynił krok w tył. Lady prześlizgnęła się obok i, wskoczywszy na stopień, zaszeptwała gorąco:

— Dziękuję, Colinie...

Zaczerwieniłem się po nasadę włosów. Ruszyliśmy rażno, żegnani utyskiwaniem rybaka zbierającego czapkę z ziemi. Lady nagliła, żądając jak najszybszej jazdy. Nie chciałem ryzykować, bojąc się o całość resorów. Kocz był już stary i, prawdę mówiąc, nie nadawał się do jakichkolwiek wyczynów. Tymczasem drogę zalegały polne kamienie. Zwolniłem. Przekroczyliśmy w bród rzeczkę. Za nią rozciągały się wrzosowiska.

— Colin — westchnęła lady — żebyś wiedział, jak mi okropnie... Nie wracajmy do pałacu... Wieź mnie — gdziekolwiek!

Słucham, jaśnie pani! — rzuciłem przez ramię, nie zmieniając kierunku jazdy.

— Głupcze — zachnęła się, a jej wibrujący głos niósł się po wrzosowiskach. — Ty głupcze!

Ściągnąłem lejce; konie stanęły, skubiąc mech. Nie odwracałem się, czekając na kolejny ruch lady...

Dlaczego mnie broniłeś? — spytała. Dlaczego nie powiedziałaś, że jestem dziwka, że wieziesz dziwkę... Ta stara zatańczyłaby z radości...

Nie odmówiłem sobie małej satysfakcji bycia służącym. Skłoniłem się na koźle i odparłem:

— Do usług, jaśnie pani, na przyszłość zastosuję się do życzenia...

Zdawało się, że rzuci się na mnie. Opanowała się jednak, a nawet uśmiechnęła — bardzo, ale to bardzo pięknie.

— Kto cię nauczył, Golinie, takiego sarkazmu i bezczelności? A może to właśnie lokajska natura? Po prostu służysz, jak umiesz najlepiej...

Zadrasnęła mnie i wiedziała o tym. Na mgnienie oka zapomniałem jak niebezpieczną jest przeciwniczką. Trzymanym w dłoni batem pogroziłem więc w niebo...

— Ach, tak — prychnęła — oczywiście, poznaję! Bat... Ciągle zapominam... To ty jesteś smarkaczem, który podglądał mnie w stajni?

Miałem niewątpliwą przyjemność! — wypaliłem.

— Dałbyś spokój — ofuknęła mnie. — Zejdziesz z tego koźła! Chodź do mnie, mały podglądaczu...

I, zanim znalazłem się w jej pachnących ramionach, obrzuciła mnie stekiem wulgarnych wyzwisk, abym ani na chwilę nie wyobrażał sobie, że zrezygnowała z pogardy dla takich jak ja — parweniuszy i zarazem męczczyzn!



Rozdział trzynasty

Wyobraźnia mojej utytułowanej kochanki ze szczególną pomysłowością objawiała się w dziedzinie, którą lady Margaret uprawiała od lat dziewczęcych z wielkim znanstwem. Było to nieprzerwane dowodzenie, iż mężczyźni służą do zaspokajania przyrodzonych potrzeb nienasyconych przedstawicielek płci nadobnej. Uczynić z tak bezspornego faktu sztukę podporządkowania sobie partnerów, wykazać, iż dobry Bóg tak właśnie zamierzył wyposażając Adama w ciekawski, lecz głupi członek, którego przeznaczenie odkrywa — za każdym razem — Ewa, oto zaledwie przykład sposobu myślenia i postępowania wielmożnej pani.

Lady Margaret, jak zdołałem rychło się zorientować, nigdy nie żądała miłości, ale zawłaszczala ją. W akcie stopniowego pochłaniania nie troszczyła się wiele o los mężczyzn. Nie istnieli dla niej, dostarczając wyłącznie koniecznych atrybutów — męskości, nasienia i mięśni.

Nie wymagała od nich nadmiernego rozumu. Piękno ciała wystarczało za całą rękojmię, iż młodzian zda się dla wymyślnych igraszek, w których lady manifestowała godną zazdrości wytrwałość. Wypracowała sobie szczególny styl wabienia: brała mężczyzn przez zaskoczenie, obnosząc doskonały wygląd nienagannie ułożonej arystokratki. W rzeczywistości miała diabła pod spódnicą i biada tym przedstawicielom męskiego rodu, którzy zanadto poważnie przyjmowali karesy podstępnej damy. Bywało, iż dostojni konkurenci do małżeństwa stawali się łupem i zerem Małgosinego charakterku. Zwodziła nieszczęśników miesiącami, rozpalając nadzieje i pożądanie. W przeciwieństwie do byle rosłego wieśniaka, znakomitym epuzerom pozwalała ledwie na niewinny pocałunek w rękawiczkę. Pokładając się na sianie z dorodnym żeńca oburzała się, gdy oficjalny konkurent posuwał się do nieskromnego uścisku. Sądzę, iż czyniąc zadość tej komedii sama nie popadała w fałsz; potrafiła się czerwienić, szlochać i cierpieć. Owe aktorskie sztuczki nie pomnażały jednak jej szczęścia. Tak naprawdę czuła się samotna i znudzona. Jej żywiołem był Londyn, gdzie chadzała na bale, rauty i herbatki, cała pochłonięta beztroskim życiem miejskich próżniaków...

Nie dziwota, iż szlachetnie urodzeni kawalerowie, prędzej czy później porzucali ją, nie mogąc sprostać takim kłamstwom. Natomiast prostacy, którym oddawała się bez umiaru, rychło traktowali ją tak, jak na to zasługiwała. Jej obecny kochanek — magik i woltyżer — chętnie dzielił się swym doświadczeniem

w portowej knajpie. Przy kuflu piwa zdradzał najbardziej sekretne i zawstydzające szczegóły ich burzliwego związku. Miał dosyć marnowania czasu w Kew. Spodziewał się sowitej zapłaty za swą pracę, tymczasem lady skąpiła pieniędzy. Coraz bardziej rozeźlony opowiadał, iż z Margaret wyskoczy kiedyś diabeł, trzymający w jednej ręce oblesny chwost, a w drugiej pusty worek po złocie.

Rewelacje cyrkowca znajdowały wdzięcznych słuchaczy w spragnionym sensacji miasteczku. Mimo zgorszenia plebanii i rojalistycznie nastawionych dewotek opinia publiczna skazała już lady Margaret na ciężkie, piekielne tortury. Ciekawe, iż Douglas Found zwykł ostatnio z widoczną przyjemnością głosić podobne proroctwa na jej temat.

Douglas darzył jaśnie panią uczuciem nieklamanej mściwości. Nie wyrażał się pięknie o prowadzeniu, ani też o jej umysłowych przymiotach. Zastanawiając się, czemu żywi tak zdecydowaną niechęć do siostry lorda uznałem, że winne jest fizyczne podobieństwo łączące ją z bratem. Found nie mógł znieść, iż lord posiadał swój kobiecy odpowiednik. Wszakże żywość siostry ostro różniła się od łagodnej, niejako wstydlivej rezygnacji lorda; rzekłszy prawdę, na jego tle, zdawała się nawet znacznie bardziej zajmująca. Rzecz w tym, iż bibliotekarz traktował wszystkie osoby płci pięknej jako niedowarzone i mało obliczalne.

W jakiejś mierze dzielając tę opinię Douglasa nie wyrażałem sprzeciwu, gdy przywoływał dla mnie historie z przeszłości naszej bohaterki. Znał ich bez liku, jedna gorsza od drugiej. W jego ustach nie sprawiały przecież wrażenia zmyśleń czy oszczerstw. Przysięgłbym tedy, iż Margaret istotnie zgwałciła pewnego lokaja imieniem Johny, skrępowawszy go uprzednio rzemieniem w taki sposób, iż wisiał do dołu łbem skazany wyłącznie na modlitwę i Boga. Margaret, zwłaszcza podniecając się, zwykła dobierać się do męskości swych ofiar w celach nader krwiożerczych. Wiedziałem cokolwiek o tej słabostce jaśnie pani i współczułem Johnowi, pytając zarazem, w jaki to sposób lady uczyniła z niego peklowaną szynkę na haku... Ponoć ratowano chłopaka przez kilka dni, przykładając kataplazmy na przekrwioną głowę i takież członek.

Innym razem zapragnęła zmierzyć się z piękną suką imieniem Lily. Lord szczyił się charcią sforą o rodowodach, sięgających rycerskich czasów. Charcica wabiła samców nieustanną, chorobliwą cieczką, toteż zamykano ją przed szalejącymi psami, raz do roku umożliwiając parzenie się. Pod nieobecność lorda jaśnie pani wybrała dla niej sześć najpiękniejszych samców, a obok legowiska, na którym kłębiło się od psiej miłości urządziła własne spraszając kilku ognistych parobków. Wynik rywalizacji między kobietą a suką przesądził John Ciężkie Dzwony. Gdy skończył, biedna Lily dawno już podkuliła ogon, warcząc na zaloty niepożytych chartów...

Mówiono też i mówiono złośliwie, iż jaśnie pani wybrała się do Londynu, aby spróbować swych sił w zamtuzie. Ukrywszy twarz pod maseczką obsługiwała złotą młodzież, nie żądając w zamian zapłaty. Jadowite języki szeptały, iż lady pieniądze brała, lecz skrycie przed madame, zazdrosną o uciekające wpływy.

Nieporozumienia między obu damami skończyły się ogólną bijatyką...

Innym razem arystokratka ukazała się nago na pewnym przyjęciu, doprowadzając sędziego lorda Carlidge do palpacji. Miał on wykrzyknąć historyczne słowa, z uznaniem powtarzane przez młodych hulaków:

— Ta kobieta jest drugą Messalina! Nie, pierwszą, która godzi w Anglię!

Starałem się, o ile to możliwe, zachować trzeźwy sąd i nie wierzyć we wszystkie, dosyć bałamutne opowieści, jakich nie szczędził Found. Wszelako trudno wymagać od chłopca szeroko otwierającego oczy na każdą nowinkę, by nie zapierały mu tchu w piersiach wyczyny tak niecodzienne i naganne. Wedle mego rozumienia pokazywały one (bez względu na wiarygodność) jak bardzo prawa osób uprzywilejowanych różniły się od tych, przysługujących zwykłym śmiertelnikom. I chociaż ludzie chętnie oskarżali lady — czynili to z pewnego rodzaju podziwem, niezbyt dalecy od przyznania, iż słuszną jest tak wielka swoboda dla kapryśnej arystokratki. Nikt nie pochwalał jej prowadzenia — lecz potępienie nie było wcale druzgocące.

Douglas zwykł twierdzić, iż tak naprawdę lady jest zwyczajną suką... Wszelako moje z nią stosunki przeczyły owej prostackiej ocenie.

Jaśnie pani nigdy jeszcze nie korzystała z łóżkowych usług młodzika. Niezwykła też przygotowywać do sprawdzianu, raczej od razu egzaminowała. Teraz skłoniłem ją, by znajdowała słodycz w udzielaniu nauki. Czerpiąc z uczniowskiej nieporadności dodatkową ekscytację, doświadczała zarazem smutku nieodłącznego przemijaniu. Tyle lat nas dzieliło! Choć zachowała sprężystą sylwetkę, a ja prezentowałem się nad wiek dojrzałe, dostrzegaliśmy subtelną różnicę. Przypuszczam, iż coraz częściej zraniona ambicja kobiety skłaniała ją do poniżania mnie nie tylko za skromny rodowód, ale przede wszystkim za tryumfującą młodość.

Jej nagle napady niechęci objawiały się w swoisty sposób: odmawiała mi siebie, nie zezwalając na najskromniejszą pieszczotę. Trzymawszy na dystans — zarazem kusząco żądała, abym osiągał dla niej szczyt, nader krępującej, rozkoszy. Pewnego dnia otrzymałem w prezencie zmyślnie skonstruowany pojemnik złożony z butelki, której szeroką szyjkę otaczała kryza z cielejącej skóry. Niewiele pojmującemu, w zwiezłych słowach zaleciła gromadzić tu swoje soki... Nazajutrz pod jej dyktando, wykonałem pierwszą próbę. Najpierw lady zakreśliła na szkle linię, do której powinienem zapełnić butelkę. Następnie wulgarnymi, lecz podniecającymi słowami zmusiła mnie, bym się obnażył i stanął w szerokim rozkroku. Moja męskość reagowała butnie. Wówczas lady własną dłonią nasunęła cielejącą kryzę na drgający członek i, niczym dójka, pracowała tak długo, aż osiągnęła zadowalający ją rezultat. Po kilku dniach zawyżyła oczekiwania, podciągając nieznośną kreskę. Tym razem czynność trwała dłużej i była wielokrotnie powtarzana. Przyznam, iż nie doszukałem się w niej nazbyt wielkiej przyjemności, lecz — o czym piszę z dumą — i tym razem nie zawiodłem oczekiwań.

Wkrótce też wyjaśniło się, iż nauczycielka posiada zmysł praktyczny. Oto po kolejnym, wyczerpującym zabiegu raczyła mnie zatrzymać, tym razem wyłącznie do pomocy w zabiegach upiększających. Ku zadziwieniu, którego nie próbowałem ukryć, spryskała swe ciało zgromadzonym w butelce nasieniem i poleciła mi rozcierać je niczym przedni balsam. Szklista ciecz zastygała na skórze tworząc srebrzącą błonkę.

— Nie rób takich baranich oczu, Colinie — zaśmiała się. — Czy nie wiedziałeś, że męska esencja jest gwarantem witalności? Stare księgi powiadają, że prawdziwe mleko Kleopatry tryskało z męskich jąder...

A więc uciekając się do tak osobliwego sposobu starała się zachować młodość! Przyznam, iż w przeczczystym kokonie wyglądała ogromnie podniecająco. Piersi o długich sutkach, rozrzuconych na boki, szczupły, długi brzuch, zamknięty ostrołukiem łona z delikatnym zarostem; szpara, którą lubiła ukazywać mi z pewnej odległości tak, abym szedł ku niej coraz bardziej zdecydowany — wszystko to w okamgnieniu zacierało najgorszą nawet myśl, czyniąc mnie gotowym do miłości. Wiedziała o mym zauroczeniu, choć zapewne nie przypuszczała, że przeżywam zarazem tak wiele rozterek.

Jakże miałem zachować spokój widząc to piękne osadzenie głowy?! Cała duma i pogardliwość dla ludzkich sądów, cała wyższość nieokiełznanej natury zawierała się w niezwykłym przejściu ramion w długą, białą szyję, obramioną puklami swobodnie opadających włosów...

— Krzepki jesteś, Colinie — chwaliła, gdym adorował jej piękność, wyrażając podziw w najbardziej przekonującej kobiety formie. — Twoja męskość pachnie dzisiaj bukiem. Wiesz, że nasienie posiada swój zapach? Każdy kocur wydziela woń w zależności od nastroju. Twoja woń mówi mi, że zaczynasz mnie odrobinę lubić... Lubić i nienawidzić. To bardzo podniecające, mój chłopczyku!

Stałem do niej bokiem z opuszczonymi barkami, lekko ugiętym kolanem prawej stopy, zgarbiony, ze zwolnionymi mięśniami brzucha, który uwypuklał się kobieco. Potrafiła skłonić mnie, abym zatracił chęć pysznienia się własnym ciałem. Smagając wyprężoną męskość pożądałem jej łona, otrzymując w zamian ciągle nie napełnioną butelkę...

W tym stanie ducha odparłem, iż kobiety także sublimują zapachy, które mężczyzna dorozumiewa wystarczająco bezbłędnie.

— Jakże więc dzisiaj pachnę, mistrzu?

r Jak matka — rzekłem bez zastanowienia. — W twym łonie załęgło się życie i będzie rosło, aż ujrzy światło dnia!

Żachnęła się, lecz i zaniepokoiła. Znałem jej strach przed ciążą i sposoby, mające zagwarantować bezpieczeństwo. Piła wywary z ziół, radziła się babek i akuszerek, ale pewności nie osiągnęła nigdy.

— Jestem jeszcze bardzo młody — judziłem — wszakże jurny! Nie chcę się chwalić, lecz kilka dziewcząt poznało się na mnie i zaszło na przekór żelaznym gwarancjom!



— Idź precz, bałwanie! — fuknęła ostro.

Nie wiem, co mnie podkusiło; z satysfakcją patrzyłem, jak miota się między lekceważeniem a strachem... Umiałem już — choć w skromnych wymiarach — zapanować nad jej dziką istotą i władza ta pochlebiała mi jak największy przywilej!

Po tej rozmowie zyskałem kilka dni spokoju, gdyż jaśnie pani radziła się świadomych rzeczy babek oraz dwóch okolicznych konowałów. Werdykt był niejednogłośny. Podenerwowana wezwła mnie, aby dowiedzieć się szczegółów o moich podbojach.

— Widzicie go, ogiera — rzekła na powitanie — dawno należało cię wykastrować, a jądra powiesić na przydrożnym drzewie. Byle dziewczka, szalejąca z oskomy, mogłaby się nimi zabawić bez żadnego ryzyka!

— Dziękuję, że jaśnie pani tak wiele myśli o biednych wieśniaczkach. Teraz, gdy są pozbawione moich usług schną i płaczą z tęsknoty. Gdybym tylko mógł wyrwać się choć na chwilę z pałacu uczyniłbym dla nich mały, nocny raj pod wierzbami...

— Przedkładasz te brudne dziewczki nade mnie? — spytała, nie tając oburzenia. — Taplałbyś się w nich, a potem szedł do mego łóżka?

Wszystkie kobiety są takie same — zaryzykowałem. — Jakaż w końcu różnica, czy budzimy się między nogami pomywaczki, czy hrabiny!

Lady Margaret spojrzała na mnie uważnie, bez złośliwego uśmiechu. Takiej właśnie lordówny obawiałem się najbardziej — skupionej, gotowej wyrządzać krzywdę z dokładnym okrucieństwem.

— A jednak jest różnica! — powiedziała zimno.

Spośród buteleczek stojących na gotowalni wybrała tę, z błękitnego onyksu i, wyjąwszy misternie rżnięty korek, poprosiła, abym zdjął spodnie. Historyczne poniekąd wezwanie nie miało już złowróźbnych znaczeń, toteż zrzuciłem przyodziewek i, jak zwykle, zaprezentowałem się od najlepszej strony. Lady nabrała na dłoń brunatnej maści i szybkim ruchem wtarła ją w najdelikatniejszy koniuszek członka.

Poczułem leciutkie pieczenie i wibrujące ciepło zaczęło nakłuwać zaczerwienioną skórę. Jaśnie pani patrzyła ciekawie, gotowa zdwoić dawkę. Nie wykazywałem najmniejszej chęci użycia raz jeszcze piekielnej mikstury, palącej niczym koszula Herkulesa! Członek, skręcany płomieniem nabrzmiewał od bólu; krew, ściągnięta ku szczytowi, małymi kropelkami wyciekała z cewki. Widząc to Małgorzatka przyjrzała się skórczanemu workowi. Podniósłszy z gotowalni metalową żabkę wpięła w jej zęby bezbronną fałdę, chroniącą obły skarb. Potworna maszyna zatrzasnęła się ze zgrzytem, paraliżując lewą stronę mego ciała.

Najcichszy okrzyk cierpienia wymagał teraz wielkiego samozaparcia! Bałem się, iż byle ruch spowoduje nieodwracalne spustoszenia w moim organizmie. Rozdzierany członek dopełniał tortury...

— I cóż, Golinie, czy tak właśnie nienawidzisz? Z takim natężeniem i gwałtownością? — zagadnęła uprzejmie.

Z trudem otworzyłem usta i wyjąkałem:

— Zapewne, jeśli nienawiść można wyrażać cierpieniem... Czy zawsze będę musiał tak cierpieć?

— Myślę, że jakiś czas, stosowny dla trwania twojej nienawiści — objaśniła. I zaraz potem, dała mi potężnego klapsa, aż w oczach ujrzałem świeczki.

— Będziesz, mój ogierku, cierpiał do czasu, aż... no, gdzie twoja domyślność Colinie?

— Czego się spodziewała? Miłosnego szału? Lewa noga drętwiała jak deska, bałem się oddychać, a na dodatek odrobina maści przeniknęła w głąb członka, rozpoczynając okrutne spustoszenie.

— Dalejże, kocurze! śpiewała moja dręczycielka — rusz głową i tyłkiem! Cóż to, z takim maleńkim żelastwem sławny rypała okazuje się do niczego? A jakże afrodyzjak, który bogini Kali zesłała na pyszny fallus? Czyżby ta pałka, roniąca tylko krew była oszustwem?

Gniew, niczym ukrop, chlusnął mi na piersi uwalniając na moment z obzwładniającego uścisku. Ból, choć nadal dotkliwy, wspomógł teraz pragnienie zemsty. Oplótszy przedramieniem jej długie włosy pociągnąłem ją ku sobie, aż rozchylonymi zębami uderzyła w mój tors. W rewanżu wplotła palce w moją czuprynę, unosząc biodra nad członkiem. Chwilę później pograżyliśmy się w sobie — kalecząc się i bijąc, aż do odbierającego przytomność finału...

Rozdział czternasty

Douglas Found — potulny bibliotekarz jaśnie pana intrygował nie tylko tajemniczą przeszłością w zamku Fontenbarrých, ale nade wszystko wrogim stosunkiem do mego związku z lady Margaret. Dotychczas jedynie podejrzewałem, iż życzy nam jak najgorzej. Teraz począłem zbierać dowody jego niechęci, a nawet nienawiści.

Czułem się śledzony i nie bezzasadnie; Douglas szpiegował każdy mój krok wykazując w tej mierze zadziwiającą pomysłowość. Był niestrudzony i zawsze na posterunku. Po jakimś czasie wzbudził nawet we mnie przeświadczenie, iż bez jego obecności żadne z podejmowanych działań nie ma stosownej wagi...

Starąłem się go zrozumieć. Odkrycie na strychu ukazywało trop, ginący w alkowie lorda. Found spełniał przed laty podobną mojej funkcję. Po nim jaśnie pan darzył przywiązaniem licznych młodzieńców, ale żaden z nich nie pozostał w pałacu. Tylko Douglas...

Dlaczego? Klucz do zagadki posiadał lord i, jak na razie, nie wykazywał ochoty przekazania go w moje, chciwe ręce. Może dla tej przyczyny Found nie starał się o środki ostrożności w pracy, jaką dobrowolnie wykonywał przed i po zakończeniu naszych wspólnych zajęć. Przesadziłbym utrzymując, iż towarzyszył mi do łóżka lady Margaret, niemniej zawsze wiedział, kiedy wchodziłem i wychodziłem z apartamentów wielmożnej pani...

Z lordem widywał się nader rzadko, głównie podczas obiadów do których, jako bibliotekarz, mógł zasiadać. Na ogół nie korzystał z tego przywileju, woląc jadać ze służbą. Niemal schodził z drogi swemu chlebobawcy! Gdy jednak spotykali się — słyszano tylko oficjalne pozdrowienia. Sam lord prawie nie odwiedzał biblioteki, a Found wysyłał wskazane przez niego egzemplarze wyłącznie przez pośłańców. Postępowaniem swym bibliotekarz sprawiał wrażenie, iż nawet opieka roztaczana nade mną jest jego własnym, niezależnym pomysłem.

A przecież trudno wątpić, że wszystko to czynił z polecenia i za przyzwoleniem naszego pana!

W czym więc zamykała się istota bezsłownej więzi, która czyniła z Douglasa najwierniejszego wykonawcę woli lorda?

Przez wrodzoną ciekawość, lecz i z konieczności wywołanej działaniami Founda oddałem się obserwacjom. Śledztwu niezmiernie sprzyjała okoliczność, że nadal dzieliłem z nim izbę oraz spędzałem wiele czasu. Bezczytność, którą

wywalczyłem jako służący, pozwoliła nam intensywniej oddawać się nauce. Jako preceptor Douglas Found wykazywał niemałe zdolności. Metoda, sprawdzona już na mych poprzednikach, pozwalała nam z dnia na dzień poszerzać zakres studiowanej wiedzy. Zapewne więc pozostawalibyśmy w niezłej komitywie, gdyby nie moje szaleństwa z lady Margaret...

Zrazu Douglas okazywał subtelne niezadowolenie, gdy spóźniałem się na popołudniowe zajęcia poświęcone czytaniu klasyków. Nie wypytywał, nie czynił też żadnych aluzji, po prostu patrzył z wyrzutem i odrazą w me podkrążone oczy, a zauważając siniak na policzku wyrażał zaniepokojenie stanem mego zdrowia. Uspokajałem go, ale wraz z biegiem czasu irytował się coraz bardziej; aż pewnego dnia nie powstrzymał się od gwałtownych słów nagany.

— Niejesteś tu po to, by tracić siły dla spraw, które nie przydadzą ci ani rozumu, ani szczęścia!

Uśmiechnąłem się w dobrej wierze, iż da się ułagodzić. On wszakże świdrował mnie nieprzyjaznym spojrzeniem jakby czekając, iż bez chwili namysłu wyprę się wszelkich stosunków z lady Margaret. Nie otrzymując spodziewanej deklaracji popadał w rozdrażnienie i nasze rozmowy, coraz częściej, cechowała wzajemna podejrzliwość. Pragnąc mi przetłumaczyć jak bardzo błądzę, cofał się zarazem przed nieodzownym argumentem; tym trudniej przychodziło nam zachować w swojej obecności beztroskę i spokój.

Domyślałem się, jaki stawia mi zarzut. Czyż — w jego pojęciu — nie „cudzołożyłem”? Gdyby nie śmieszność, przyznałbym się dobrowolnie do grzechu, bowiem ciążyła mi atmosfera niedopowiedzeń i podejrzliwości.

Kochając lorda miłością wyzbytą nadziei, Found już dawno pogodził się z faktem, że nieubłagany czas odsunie go od jaśnie pana. Tym gorliwiej zajmował się młodymi faworytami jego lordowskiej mości, chcąc w ten sposób potwierdzić swą użyteczność. Sądzę, że poprzez „chłopców do towarzystwa” — zapewne nigdy do końca nieświadomych swej skomplikowanej roli — zaspokajał nieprzepatą potrzebę obcowania z lordem, dzielenia z nim sercowych rozterek i uczestniczenia w ich przewyciężaniu...

Tyle, że ja — pojętny i miły Colin — nie dawałem się jakoś wytresować; gorzej — stałem się samodzielny i, zamiast skierować zainteresowania wyłącznie ku lordowskiej mości, znalazłem odmienny i niebezpieczny obiekt uczuć. Przygoda z lady Margaret całkowicie przekreślała akceptowany przez pana i służę układ, czyniąc z niego trudną do rozwikłania łamigłówkę.

A ja nie zamierzałem rezygnować... Prawdę rzekłszy, nie ukrywałem już swego zauroczenia. Przeciwnie, może na złość Douglasowi, a może przez zemstę na lordzie, z przesadą podkreślałem swój rozmarzony sposób bycia; to znikąłem, to pojawiałem się — manifestując, iż moje serce przeżywa ogromną burzę.

Służba rozumiała z tego niewiele, w przeciwieństwie do Emmy, która, najwidoczniej mnie śledząc, rychło poznała, że samowolnie odmieniłem swą rolę w pałacu Fontenbarrých. Odkrycie to nie uradowało jej; zapewne byłaby

spokojniejsza wiedząc, iż nadal odwiedzam tylko sypialnię lorda...

Douglas, nie żywiący już najmniejszych złudzeń, coraz częściej czynił niemiłe uwagi o przedsięwzięciu stanowczych posunięć dla położenia kresu hańbiącym ród Fontenbarrych praktykom!

W swoim służalczym zaślepieniu nie dostrzegał mimowolnego komizmu naszej sytuacji. Ale nie byłem skory do śmiechu słysząc, jak grozi mi wydaleniem z pałacu. Taka perspektywa, choć mało prawdopodobna (liczyłem na protekcję lady!), mogła sprowokować szereg przykrych i niebezpiecznych niespodzianek.

Skoro nie przejmowałem się nadmiernie jego humorami, Douglas przygotował nauczkę, która, w jego mniemaniu, powinna była otrzeźwić mnie i uczynić znowu karnym sługą. Oto pałac został wstrząśnięty wiadomością o gwałtownym i niczym nie uzasadnionym zwolnieniu kilkorga służących, w tym małej Emmy... Nieszczęśnikom wypłacono odprawę, a Samuel Gedeon Simps wygłosił na ich pożegnanie mowę zaczynając się od sakramentalnych słów: „Nigdy nie zapomnijcie, iż pracowaliście w domu Fontenbarrych.”

Ogarnął mnie żal po stracie dziewczyny. Dopiero teraz jej świeża twarzyczka odkryła dla mnie lekceważony dotąd czar. Z jej strony nigdy nie obawiałem się podstępów. Chyba, że w miłosnych zabawach! Była nieszkodliwa i bardzo ciepła... Aby dobrze zrozumieć tę pochwałę, powiem, że co tyczy się lady Margaret to nawet w łóżku nie zapomniała ona dawać mi do zrozumienia jak bardzo postępuje rodowy honor, pokładając się z parweniusem.

Zaniepokojony, iż Douglas skutecznie mi szkodzi, postanowiłem przypuścić kontratak. Najprostszym i, zdawało się, najbardziej perfidnym, był niezwłoczny powrót w objęcia lorda. Tym razem szło o coś więcej: jako syn marnotrawny miałem prawo wyrzucić z gry Douglasa; uczony dziwak musiałby wówczas kontentować się jedynie uznaniem jako dobry belfer...

Z ochotą więc zastąpiłem w obowiązkach młodego posługacza, który zazwyczaj pomagał jaśnie panu w kąpeli. Uczyniłem ów gest dobrowolnie, acz powściągliwie, nie zdradzając ani nadmiernego entuzjazmu, ani też szczególnych wymagań. Miałem nadzieję, iż jaśnie pan w lot pochwyti intencję: nie przepraszaaliśmy się, a jedynie potwierdzali, iż — mimo wszystko — jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni.

Lord zwykł brać kąpiel wieczorem, w niewielkim pomieszczeniu wyłożonym alabastrem, gdzie stała z tegoż kamienia wykonana wanna o rzeźbionych w lwie łapy nogach. Obsługa tych ablucji nie należała do najłżejszych, albowiem na barki służącego spadał nielichy transport ciepłej i zimnej wody z odległej kuchni. Strome schody i ciasny korytarz nie ułatwiały pracy, stągwie zaś — nieporęczne i rozgrzane — łatwo wyslizgiwały się z objęć. Toteż z duszą na ramieniu wziąłem się za spełnianie przyjętej służby.

Kiedym zjawił się z pierwszą stągwią łazienka była pusta. Na drewnianym stojaku wisiały grube ręczniki, obok złożono pęk łożinowych różeg. Wlałem wodę do wanny i szybko wróciłem do kuchni. Niosąc wrzątek usłyszałem przed

sobą kroki i znane mi skądinąd mruczenie; w ten sposób lord objawiał dobry humor.

Zastałem go pochylonego nad wanną. Wzorzysty szlafrok nie zakrywał sprężystych łydek i wyjątkowo dużych stóp. Lord zwykł kąpać się całkiem nago, rezygnując nawet z płóciennych gatek. Zaiste, tylko niewielu ludzi w jego wieku mogłoby pochwalić się tak doskonałą kondycją. Jego ciało zachowało wiele z krzepy byłego wojaka. Syte bytowanie spowodowało niejaką ociężałość, powiększając nadmiernie brzuch i pośladki, wszelako sylwetka nadal zachowywała zwartość i męską harmonię. Biała skóra i obfite, bardzo ciemne uwłosienie rozłożone na plecach, piersiach i udach uzasadniały opinię, iż ród Fontenbarry nie uległ modnemu w naszej epoce wydelikaceni.

Spostrzegłszy mnie jaśnie pan zmieszał się, jakby niemiła była mu własna nagość, uchwycona w tak prozaicznej pozie. Badał właśnie ciepłotę wody końcem pięty.

— Pragnąłeś spotkania, Colinie — rzekł przysiadając na brzegu wanny. Tylko ty i ja... bez świadków!

Skinąłem głową, uważając, bym zbyt szybko nie stracił surowego i zamyślnego wyrazu twarzy. Przyoblekłem swe rysy w szczególny rodzaj melancholijnego smutku, odzeganego się od pocieszenia i pomocy.

— Czyniłem wszystko, aby zasłużyć na pamięć — zapewniłem.

Lord zdziwił się, nawet zachnął, ale nie chcąc już na początku wszczynać kłótni, spytał, czemu spotkaliśmy się w łazience?

Zawczasu przygotowałem tę odpowiedź. Znając zamiłowanie lorda do rzeczy pięknych i wzniosłych mówiłem, iż kąpiel jest odwiecznym misterium wody, pozbawiającym ciało i duszę ziemskich, brudnych naleciałości...

A zatem pragnąłeś oczyszczenia! — wykrzyknął wzruszony lord. — Och, Colinie, jakże czekałem na tę chwilę!

Wszedł do wanny i zanurzył się w stygnącej wodzie. Przechyliłem stągwie z wrzątkiem i wlałem go w odmierzonej ilości, kierując strumień między rozchylone uda jaśnie pana. Przeciągnął się, wyraźnie pobudzony.

— *Mon cher* — szepnął obejmując mnie za szyję mokrą ręką — jeśli mógłbym uczynić ci jakiś zarzut to jedynie ten, iż stoisz przede mną ubrany... Cóż daje ci liberia, skoro twój pan chciałby widzieć cię nie sługą, lecz towarzyszem kąpeli! Razem uczynimy z niej sztukę... A jeśli nawet myślisz wyłącznie o pomocy, jakże mi jej skutecznie udzielisz w tym zawilgoconym (mówiąc to prysnął wodą na mój kaftan) odzieniu? Zdejmijże je natychmiast! Każdy strój poza tym, który otrzymaliśmy od wszechmocnego Boga jest wyzwaniem dla miłującego piękno umysłu!

W trakcie mego rozbierania się patrzył z rosnącą radością. Gdym stanął nagi szerokim gestem wskazał mi miejsce naprzeciw. Zająłem je, czując jak potężne stopy przylegają do mych łądźwi.

Lord sięgnął do paczuski leżącej na obramieniu wanny i wydobył garść drobno pokrajanych i wysuszonych płatków róży.

— Zapach — oświadczył — dopełnia rozkoszy. Kwiaty czynią ze zwykłej wody źródło Artemidy, a nam wszak zależy na zbliżeniu się do ideału...

To mówiąc syknął startym w palcach kwieciami pomiędzy nasze ciała. Rozszedł się słodko mdlący zapach, przywracający nastrój rozgrzanych, ciepłych dni.

— Czyż to nie podniecające? — mówił dalej cichym i monotonnym głosem owo połączenie najczystszej cieczy, tak miękko obmywającej nasze członki, z wonią lasów i pól przynoszoną z wiatrem i wchłanianą przez wyczulone nozdrza? Jeśli zważyć, iż porami skóry przecieka w nas niepożyta siła wiecznie płynącej wody, ów boski zapach przydaje niesionej przez nią tężyznie wspaniałej lekkości dzikiego powiewu! Tak, mój Colinie, natura pozwala nam odkrywać cuda w zetknięciu z najskromniejszym swym tworem, byle tylko wydzielal on ciepło i zapach... Jeśli to czyni, musi posiadać jakiś kształt* a wówczas, mój chłopcze winniśmy wprowadzić zmysł dotyku — mistrza w odkrywaniu rzeczy! Albowiem trzy wymiary — długość, szerokość i wysokość są najbardziej namacalnymi dowodami naszego ziemskiego istnienia... Zamknij oczy, Colinie i przekonaj się o sile tego zmysłu!

Nie czekając, aż wykonam polecenie przystąpił do rozpoznawania kształtu mego ciała. Szorstkimi stopami przesunął po moim brzuchu i piersiach, a dłonie, niczym ślepiec, kładł na moich kolanach.

— Jakże, Colinie, czyż nie odczuwasz radości z bycia tak młodym i doskonałym? Twoja skóra jest gładka i prężna. Mięśnie... co uczyniłeś ze swym torsem, by przypominał mi pierś łabędzia? Twe sutki, chłopcze, mogłyby należeć do dziewczyny! Tak, jesteś doskonałym wcieleniem miłości, mającej dwie twarze! Ale już łono nikogo nie oszuka, tak jest męskie i twarde. Pamiętam, że i ja niegdyś, miałem doskonale osadzone biodra. Czujesz to uwypuklenie wiążące tułów z pośladkami? A oto pępek, krecia dziurka na wrzosowiskach...

Jego szczęście nie miało granic. Był niczym dziecko odkrywające urok nowej zabawki; pozwalałem mu czynić ze sobą to wszystko, co zapewne czynił z moimi poprzednikami, zachwalając ich walory z nie mniejszym zapałem...

Dosięgał mnie łatwo i zmuszał do odwzajemniania pieśczoł. Jego okazały srom, bodący mą łydkę, zachowywał młodzieńczą pobudliwość. Bez przymusu sięgnąłem po ów karminowo—siny drąg, aby pobawić się nim w pluskającej wodzie...

— Teraz, Colinie, uczyni wszystko, aby nasza kąpiel dopełniła się!

Wykazałem śmiałość i pomysłowość, a on docenił każde, najdrobniejsze nawet poruszenie mające za cel osiągnięcie wspólnej rozkoszy. Nadchodziła niespiesznie, jakby przytłumiona i wahająca się, niemożliwa do nasycenia. Czyż wolno zresztą mówić o prawdziwej miłości, osiąganey w sposób tak pokraczny i brzydki? Bolesnie odczuwałem tę sprzeczność i nawet podczas silnego wytrysku.

jakim obdarzyłem nasze zbliżenie nie umiałem przewyciężyć odrazy. Choć tłumili ją silniejsze emocje tkwiła, niczym zadra, w moich myślach. Lord, ochłonawszy, spostrzegł, że Stronię od dalszych igraszek, toteż łajał mnie i oskarżał o nieszczerłość. Postanowiłem wykorzystać sposobny moment dla uzyskania pierwszej przewagi nad Douglasem Foundem.

Gdy pomyślę — rzekłem zboliałym głosem — o tych wszystkich przestrofach, jakich nie szczędzono mi, pozornie dla mojego własnego dobra, o ostrzeżeniach, płynących z ust najbliższych sług jego lordowskiej mości, aby nie narażać go na nadmierne wzruszenie... Gdybym znał prawdziwą ochotę jaśnie pana, czyniłbym więcej dla jej zaspokojenia! Lecz Douglas, zapewne w najlepszej wierze, wzbraniał mi tego.

Lord, nie tając zdziwienia, upewnił się, czy mówię o Foundzie, bibliotekarzu.

— O tak — przyświadczyłem niewinnie — pewnego dnia odegnał mnie wręcz od drzwi waszej lordowskiej mości! Powiedział, iż nie życzy sobie, byjakiś smarkacz (tu okryłem się słusznym rumieńcem) niepokoił lorda w jego samotnej i ciężkiej pracy!

Douglas Found? — mój chlebodawca nie potrafił zbyt łatwo uwierzyć w taką bzdurę.

— I nic dziwnego — judziłem — skoro ten człowiek jest o waszą lordowską mość bardzo zazdrosny!

Lord spłoszył się, zupełnie jak niedoświadczone pacholę. Dla uzyskania pełnego efektu złożyłem gorący pocałunek na jego wargach i przyłgnałem doń całym ciałem...

— Proszę, cóż za rozkoszna scena!

Nad nami niósł się głos wysoki i drwiący. Uniosłem głowę, złożoną dotychczas na ramieniu lorda i natychmiast uderzył mnie bezpardonowy wzrok lady Margaret. Pochylała się nad nami bez cienia wstydu, z mściwym ognikiem w oczach.

Braciszku, dlaczego tak bardzo skąpisz kobietom swej męskości? — rzuciła szyderczo. Może odplacałyby ci lepiej, niż niedowarzeni młodzikowie, szukający w twych objęciach tylko własnej korzyści!



Rozdział piętnasty

W paradnym łożu lady Margaret, pod brokatowym, jeszcze kołyszącym się baldachimem, musiałem wysłuchać gorzkiej wymówki:

— Zerznął cię jak dziwkę!

Jaśnie pani powtarzała się; znosiłem jej zły humor cierpliwie, wierząc, iż miłosne zabiegi, wznawiane tego wieczora już trzykrotnie, złagodzą gniew. Wówczas porozmawiamy rozsądnie, bez zbytecznych oskarżeń i brzydkich słów.

Ale i tym razem rozdrażnienie lordówny wzięło górę i nawet najczulsze zabiegi okazały się bezużyteczne.

— Chcę wiedzieć — rzekła — jak często dajesz się wytrząsać memu bratu!

Uczyliłem gest zażenowania; uniósłszy dłonie ku oczom, przesłoniłem najpiękniejszy dla mnie widok nagiej kochanki, tym samym czyniąc bezwstydnym wyznawanie sekretów łączących mnie z lordem.

— Dobrze! — prychnęła nadąsana lady — rozumiem, iż nie chcesz, abym patrzyła ci prosto w serce. Jesteś zwykłym, zepsutym potworem!

Niemal roześmiałem się z powagi, jaką włożyła w to oświadczenie. Jakże jednak mogłem zaprzeczać? Była co najmniej tak samolubna jak ja, lecz dobre urodzenie dawało jej możliwość postępowania bez osłonek...

— Nie wolno sądzić po pozorach — podjąłem, przekonany, że i tak wszystko zakończy się namiętym pocałunkiem — wszak, zrządzeniem boskim, wolna wola sługi nie równa się wolnej woli pana...

Nie mieszaj Boga w swe brudne interesy! Gdy jest ci to wygodne podkreślasz swój niski stan, ale tak naprawdę poderżnąłbyś nam gardła!

— Ależ, moje kochane dziecko! — spróbowałem ulubionego sposobu rozbrajania złych humorów kochanki — jakież dałem powód oskarżania mnie o krwiożer— czość! Zgoda, twój brat, czego chyba nigdy przed tobą nie ukrywałem, wziął mnie do siebie w niedwuznacznym celu. Nie zwykłaś potępiać zachcianek tylko dlatego, że zaspokajają potrzebę rozkoszy. Do licha — rozkosz twego brata, a mego pana, niekoniecznie jest i moją — chłopaka, wynajętego za łyżkę strawy... Udało mi się wywołać nikły uśmiech na twarzy Margaret.

— Kokiet — stwierdziła — na szczęście umiejętny. Zgoda, nie przeszkadza mi, że oddajesz się mężczyznom. Przeciwnie, to nawet podniecające wiedzieć, że potrafisz dać im to, co daje kobieta. Ciekawam, ile wkładasz czułości w rozbudzenie lorda... I to właśnie irytuje mnie najbardziej. Jestem zazdrosna, rozumiesz? Nie życzę sobie, byś sypiał z moim bratem, był jego dziwką!

— A jakież mam wybór? jęknąłem, niemal tragicznie. — Co pocznę po przeciwstawieniu się chuci jaśnie pana? Nie boję się różeg, ale dokąd pójdę, gdy wykopie mnie z pałacu?

Lady zachowała ironiczny dystans. Tego rodzaju oświadczeniom, choćby najbardziej przekonującym, sprzeciwiała się jej bezbłędna intuicja. I tym razem celnie obnażyła istotę blagi.

— Fantazjujesz, potworku! Kto, jeśli nie ty, posiada największy wpływ na lorda? Zazwyczaj mój brat durzy się krótko, lecz jeśli mądrze pokierujesz sprawą... I nie łudź się! Dobrze wiem, że sypiasz ze mną, aby pokazać światu, że parwienusz przejeżdża się na arystokratce ile tylko zapragnie!

Moje drogie dziecko... — zacząłem, wytrącony z równowagi jej odkrywczością.

Rzuciła głową, fuknęła jak dzika kotka i ostrym głosem zaprotestowała:

— Żeby taki brudny smarkacz nazywał mnie dzieckiem! Dosyć! *Mon Dieu*, cóż ja robię z tym parobkiem! Musiałam chyba rozum postradać godząc się, żeby mi wszedł pod spódnicę!

Użyłem tedy najsilniejszego z wypróbowanych sposobów i, położywszy dłoń na jej łonie, spytałem z głupia frant:

— Czy jaśnie pani życzy sobie deseru?

To mówiąc nacisnąłem wypukłość sekretnych warg, zaplątu jąc palce w jedwabiste włoski. Lekko, acz stanowczo począłem ruszać dłonią, aż, po krótkiej chwili, osiągnąłem spodziewany rezultat: tętno lady przyspieszyło, twarz zaróżowiła się, kolana rozsunęły. Sięgnęła po penisa i, chwytając go w swego rodzaju kleszcze, przegięła na swoje udo. Czując, iż sprzyjam tym zamiarom pocałowała mnie z filuterną tkliwością, wpychając język w moje skaleczone już usta. Zaczęliśmy wzajemnie wysysać śliny i mieszać je, zderzając się zębami. Jednocześnie zaatakowała brzuchem, starając się odgiąć ułożony wzdłuż mej pachwiny członek. Odpowiedziałem kontratakami, trafiając bezpośrednio w wilgotny trójkąt między jej udami.

— O tak — szepnęła wyzwalając język spomiędzy moich zębów — jesteś pojętnym uczniem, Colinie!

Wskoczyłem przeto w mą panią jak straceniec do studni wierząc, że i tym razem zbawi mnie własna głupota. Czubkiem wyprężonego organu starałem się sondować dno, lecz, choć parłem w śliską zapadlinę ile sił, ona nieustannie osuwała się, zmuszając mnie do pograżenia się jeszcze głębiej. Im dalej byłem, tym lepiej rozumiałem niemożność nasycenia tego dziwnego, kobiecego tworu. Był jak wirujący lej, otwarty na nieskończoność. Już, już, uderzałem w barierę, która raptem niknęła i znowu byłem tylko przechodniem dążącym do wymagowanego celu. Przedłużając wędrówkę dostarczałem obojgu nam słodką rozkosz, która stawała się udręką. Szybkie i ostateczne spełnienie pozwoliłoby na chwilę oczywistego zwycięstwa, po którym Margaret, rozmarzona i bardziej skłonna do współczucia, lepiej przyjmowałaby argumenty. Osiągnąłem wreszcie

sukces; moja pani osuszyła łono, pokryte spienioną cieczą, i — — tak jak przewidywałem powróciła do przerwanej rozmowy:

— Jakże nie być zazdrosną o ciebie, paskudniku? Ten Douglas i mój brat... Nigdy nie sądziłam, że będę konkurowała z nimi. A właściwie kogo wolisz? Mnie, czy ich?

— Douglas? — spytałem, przejęty niemiłym dreszczem. — A cóż tu ma do rzeczy jakiś Douglas?

— Żartowałam... — uspokoiła mnie. — Doskonale wiem, że nie możesz mieć przyjemności z obcowania z tymi panami... Jednak gniewa mnie myśl o bezczelnym bibliotekarzu. Pozwala sobie stanowczo zbyt wiele!

Postanowiłem ciągnąć ów wątek i dowiedzieć się jak najwięcej. Okazało się, że Douglas Found zawezwał lady Margaret do rzekomo chorego lorda.

— Przybiegł do mnie z wiadomością, że brat zasnął w kąpieli. Był taki przekonujący... *a propos*, on cię chyba bardzo nie lubi, Colinie!

Znowuż ten przeklęty bibliotekarz! Leżałem sztywny z odrazy, co lady Margaret odczytała na swój sposób.

A może byleś z nim w znowie? — spytała żartem. — Przyznaj się, chciałeś pokazać tej rozpustnej Maggie, że nic sobie nie robisz z jej miłosnych zapędów...

Skądże znowu — zapewniłem szczerze. — Kocham tylko jaśnie panią, a Douglas jest wstrętnym, obleśnym typem, który durzy się we mnie, i pragnie zemsty.

Lady Margaret przyjęła tę wersję wypadków z podziwu godnym spokojem.

— Wszyscyście kłamcy — oceniła — a mój braciszek pewnie zmusił cię — czymże, jeśli łaska? Obietnicą zostania kupczykiem? Twój poprzednik, jak mi wiadomo, z ochotą odślaniali mu swe tyłki. Owszem, odwdzięczał się... Zawsze był słowny. I ty nie jesteś lepszy, wiem o tym! Chociaż... — przerwała, albowiem moja nieposkromiona płeć znowu dotknęła swą rozpaloną końcówką jej biodra — z tamtymi nie spałam. Ciekawe, wszyscy wydawali mi się tacy młodzi i niedojrzali. Może ty jesteś inny, Colinie?!

Należało bez ustanku rozwijać w lady Margaret to przekonanie... Toteż nadal wizytowałem lorda sprawiając, iż sama jaśnie pani, niby przypadkiem, znajdowała się w pobliżu właśnie wówczas, gdy bywał zapraszany do sypialni jej brata. Z bolesnym wyrazem twarzy wysłuchiwałem coraz częstszych skarg i pretensji Margaret, zarzucającej mi bezduszną niewdzięczność. Cóż wszakże miałem czynić, skoro jaśnie pan życzył sobie mej bliskości? Nie zdradzałem się, że wymagania lorda ograniczały się zazwyczaj do zwykłej asysty. Obcowanie z człowiekiem, potrafiącym tak pięknie mówić o miłości, stanowiło wytchnienie po gwałtownych utarczkach z jaśnie panią oraz coraz bezczelniejszym Douglassem.

Porzuciłem izdebkę bibliotekarza i, korzystając z życzliwości lorda, objąłem niewielki pokój blisko jego apartamentów. Z całą pewnością komnatkę cechowała skromna wykwintność, jakże odległa od prostackiej surowości

pomieszczeń dla służby. Przemieszkując w niej, zyskiwałem w oczach pospólstwa, co pozwalało mi z większym hartem znosić głupie zaczepki i przekpinki, jakich nie szczędzono poza moimi plecami.

Miałem powody utrzymywać, że osiągam pewien szczebel drabiny prowadzącej prosto w górę. Ani lord, ani lady Margaret nie złożyli jeszcze wiążących obietnic, wszelako ich deklaracje — podyktowane nie tylko troską, lecz i zazdrością — przybliżały jakże cenną perspektywę wolnej i nieskrępowanej przyszłości.

Co zaś się tyczy bibliotekarza starałem się, aby nie poznał, iż wiem cokolwiek o jego machinacjach. Zaczął bowiem donosić lordowi o moich spotkaniach z lady. Nie próbował więcej skłócać Margaret ze mną, jakby pojął własną bezsilność wobec nieuchronnego faktu, że lady pożąda mnie — silniej, niż kogokolwiek dotychczas...

Przez jakiś czas lord Fontenbarry nie wspominał o swej siostrze, choć moje stosunki z nią osiągnęły właśnie najżywsze stadium. Nie wątpię, iż jego lordowska mość spostrzegał na moim obliczu ślady tych męczących wyczynów. Milczał, dopóki nie wymawiałem się od zbyt długiej służby przy jego boku. Zaborczość lady rosła; wszelkimi sposobami starała się przeszkodzić swemu bratu w obcowaniu ze mną.

Lord wykazał nareszcie charakter i zażądał, abym ograniczył widzenia z lady. Z całą, należytą pokorą odparłem, że nie wolno mi decydować w tak ważnej kwestii. Prosiłem, aby sam porozumiał się z siostrą i skłonił ją do zastanowienia. Tego dnia, spoczywając w jej objęciach skarżyłem się, iż lord nie pozwala mi się z nią spotykać. Byłem zrozpaczony i ostentacyjnie żegnałem się ze swym szczęściem...

Lord wszakże zwlekał z decydującą rozmową. Zdawało się, iż tym razem zamierzył wygrać konkurencję z siostrą i dopiero potem przypieczętować swe zwycięstwo. Konsekwentnie żaliłem się przed nim na zaborczość lady. Odbierała mi tę odrobinę czasu, jaki dane mi było ofiarowywać memu panu. Lord widział się zmuszony do pocieszania mnie; wymusiłem na nim zapewnienie, iż pod żadnym pozorem nie odejdę z pałacu. Jakby chcąc wynagrodzić moje rozterki jaśnie pan ustanowił dla mnie uposażenie, choć dotychczas nie istniał zwyczaj opłacania wiejskich faworytów...

Nie ukrywam, że nieco wcześniej przyjąłem maleńki bibelot od lady Margaret. Obdarowywanie mnie stało się miłą tradycją naszych spotkań. Otrzymywałem więc to złotą monetę, to znów niewielki klejnot z biżuterii rodowej. Jaśnie pan zdawał się nie wiedzieć o tych dowodach łaskawości, choć nie kryłem ich przed wszędobylskim Douglasem. Widok tego poirytowanego głupca sprawiał mi przyjemność; nadal jednak czerpałem u niego wydatną pomoc w nauce.

Odpowiedzią lorda na podarunki lady były cacka nie ustępujące wartością, a nie pozbawione praktycznego zastosowania. Szczególnie uradował mnie

paradny, szlachecki strój wyszywany złotem. Ujrawszy mnie tak przyodzianego, lord założył mi na szyję ciężki łańcuch z misternie kutym w srebrze medalionem. Pod ażurowym wieczkiem kryła się koperta, zawierająca doskonałą miniaturę przedstawiającą mego dobroczyńcę.

Zachwyt dla kunsztownej pracy złotnika skłonił mnie do noszenia tej miłej sercu pamiątki. Ujrawszy ją, lady Margaret wpadła w najprawdziwszy szal. Studziłem go pełnym bezradności wyjaśnieniem, iż lord zobowiązał mnie do noszenia miniatury. Ciężki to obowiązek, albowiem rozdziera duszę mej umiłowanej Margaret, wszelako muszę czynić zadość kaprysom jaśnie pana... — Przekupuje cię, braciszek! — wołała rozsierdzona lady — już pewnie dojrzał, żeby wepchnąć cię do łóżka!

Protestowałem gorąco, zarazem smucąc się pewnością, z jaką lady prorokowała me rychłe zbliżenie z lordem. Chyba przekonująco dałem jej poznać, jak bardzo niemiła to dla mnie perspektywa. Przysięgłem nawet, iż odeślę nieszczęsny łańcuch, gdy tylko lord osłabnie w swych zamiarach. Zarazem bąknąłem coś o ubóstwie rodziny, sugerując, iż mógłbym przekazać łańcuch matce — na przechowanie...

— Musisz odmawiać temu staremu capowi — rzekła lady z determinacją — on się rozpala tym bardziej, im trudniejsza jest zdobycz... Wiem, że da ci wszystko, czego zażadasz. Ma pieniądze, wierz mi. Sknera, nie wypłacił nawet mego posagu... Powinieneś wyciągnąć od niego ładny grosz!

Przyjąłem radę kochanki i czekałem na kolejny ruch jaśnie pana. Nie spodziewałem się fajerwerków — postępowanie lorda było zazwyczaj ostrożne i powolne. Wszelako zmierzał do celu nader uparcie, toteż nie wątpiłem, że dotrzemy tam razem...

Ja z lordem, czy też ja z lady Margaret? Ów dylemat mogło rozstrzygnąć wyłącznie życie. Prawdę rzekłszy lord wydawał mi się chwilami partnerem spokojniejszym, o ile nie żądał za dużo...

W tym decydującym dla nas wszystkich momencie do gry włączył się Douglas. Zrazu wydawał się jeszcze przytłoczony rozmachem, z jakim poczyniałem sobie z obojgiem państwa. Niewiele dotąd osiągnął; nawet jego donosicielstwo przysparzało mi raczej korzyści. Nie wątpię, iż gryzł się na potęgę swoją i lorda bezsilnością. Teraz zmienił postępowanie — zrobił się życzliwy, wręcz nadskakujący. Dwoił się i troił, pomagając mi w trudnej nauce szlifowania greki (z łaciną radziłem już sobie nie najgorzej); za jego sprawą czytywałem filozofów i komentatorów, sięgnąłem także po dzieła z zakresu geometrii i arytmetyki. Postronny obserwator przysięgłby, że nie ma bardziej oddanych sobie ucznia i nauczyciela. Przecież gdzieś, na samym dnie naszych stosunków, czaiła się chytrałość i nieodparta żądza rewanzu...

Nie wątpię, że to Found skierował myśli jego lordowskiej mości ku Widmarkowi. Baronet nie był u nas od powrotu z Londynu. Lord nie wspominał go, przywykając do zaspokajania uczuciowych potrzeb w sposób tyleż łagodny,

co obliczalny. Tymczasem obecnie nie mówił już o niczym, poza spodziewaną wizytą! Chęć ujrzenia baroneta tak bardzo zaprzątęła jego umysł, iż zwolnił mnie na dwa dni z obowiązków układania się do snu. Zarazem nie zająknął się przede mną, czemu służą przygotowania, widoczne w całym pałacu. Oczywiście, znałem ich cel; lord złożył lady Margaret oficjalne zawiadomienie o przyjeździe gościa. Prosił ją, aby z życzliwością przyjmowała baroneta i była obecna podczas obiadów.

Podzieliłem się swymi podejrzeniami z jaśnie panią. Tłumaczyłem zły wpływ Widmarka na równowagę, jaką lord zdawał się osiągać.

— O czym mówisz? — nie rozumiała.

— O tym — wyjaśniłem — iż jaśnie pan decyduje się na moje towarzystwo bez niecných zamysłów. Wiem, iż nie dajesz temu wiary, ale dopiero przyjazd Widmarka pokaże, jak może rozigrać się wyobraźnia lorda!

Mój braciszek zasługuje więc na niespodziankę! — zdecydowała lady. — Mówisz, że Widmark kocha chłopców? Pamiętam go jako uwodziciela wieśniaczek! Już wtedy mój brat był mu nieodłącznym towarzyszem... Zróbmy maleńki wypad do Jarwey, zanim baronet zjedzie do nas. Myślę, że będę umiała przemówić mu do rozumu!

Bardzo niechętnie posłuchałem mej pani i, z duszą na ramieniu, pojechałem w odwiedziny do baroneta Widmarka. Przedsięwzięliśmy pewne środki, aby rzecz zachować w sekrecie. Sądziłem, że przechytrzymy Douglasa, lecz i tym razem nie doceniłem jego piekielnej przedsiębiorczości. Może, gdybym dokładniej rozglądał się wokoło, zachowałbym największą konspirację. Dzisiaj domyślam się, że na jego rzecz pracował jeden z masztalerzy. Ten sam, z którym jakiś czas mieszkałem w jednym pokoju. Teraz nienawidził mnie, albowiem, choć równy mi stanem, nadal obrabiał konie, gdy ja pławiłem się w luksusie...



Rozdział szesnasty

Widmark powitał nas z wielką uprzejmością. Wobec lady podkreślał dawną zażyłość, o której niewiele wiedziałem. Musiała być jednak na tyle bliska, aby mógł tytułować Margaret „principessa”.

Jestem niezmiernie zaszczycony — wołał — iż nawiedziliście moje skromne progi! Principesso, jakże dawno nie raczyła pani zjawić się u mnie! A dzisiaj?

— cóż za podwójne szczęście! Księżniczka i paż! Jakże Colin zmężniał i wydoroślał! Pamiętam go dzieckiem, a oto stoi przede mną młodzieniec... To doprawdy niezwykle widzieć was oboje!

Zasiedliśmy do spóźnionego śniadania. Baronet śmiał się i żartował opowiadając pieprzne plotki z królewskiego dworu. Po spożyciu posiłku oddalił się na pół godziny tłumacząc nieobecność obowiązkami zarządzania majątkiem. Kręciłem się niepewnie, co zirykowało panią. Fuknęła też na mnie bez żadnych ceremonii.

— Tyłek cię śwędzi, obwiesiu? Zaczekaj, jeszcze baronet dogodzi ci tym swoim barbarzyńskim żelastwem!

Mówiąc to wskazywała na ściany, gdzie istotnie pysznił się budzący grozę oręż — pełen wyrafinowanych ostrzy, nabijanych gwoździami maczug i splątanych łańcuchów.

Po powrocie gospodarz zaproponował lekkie portugalskie wino. Piliśmy je rozleniwieni ciepłym kominka. Domowy nastrój najwyraźniej ośmielił Widmarka; przesiadł się na sofę do spoczywającej tam w półleżącej pozycji lady Margaret. Obdarzać mnie znaczącym spojrzeniem, powiedział:

— Czyżby Colin towarzyszył pani, principesso, na dobre i złe?

Lady roześmiała się z nieudawaną swobodą, pozwalając baronetowi złożyć pocałunek na ramieniu. Gdy jednak zabierał się do objęcia jej, w lady zawrzała krew.

— Słuchaj, Widmark oświadczyła nieprzyjaznym tonem — z ciebie jest zwykła, stara świnia!

Baronet uśmiechnął się wdzięcznie.

— Oczywiście — rzekł — ale taki już mój los. Ktoś musi być świnią. Ale czemu stara? Nikt z nas, principesso, nie zestarzał się... Nadal porywa nas młodość!

— Nie przerywaj! — ciągnęła lady — wiem, że niezły z ciebie kozioł i doskonale pamiętam twe niecne wyczyny sprzed lat! Teraz, jak słyszę gwałcisz niewinne dzieci...

— *Mon Dieu!* — obruszył się Widmark — to potwarz! Tylko moi wrogowie i wierzycciele, którzy są moimi wrogami utrzymują coś podobnego... Gwałcę? Raczej pozwałam się uwodzić!

Lady świętoszkowato dała poznać, iż brzydzi się taką kreaturą. Tymczasem baronet okazał się nadzwyczaj domyślny.

— Więc to Colin nie utrzymał języka za zębami...? — zapytał. — Twoja przyjaźń, principesso, z tym ładnym chłopcem przekroczyła platońską granicę! Cóż, nie protestuję, przeciwnie — witając was oboje jakbym witał jedno, uroczne stworzenie!

Roześmiał się oblesnie i zatarł ręce z zadowoleniem. Najwyraźniej zaświtał mu jakiś ohydny pomysł, bo popatrywał na nas wyzywająco i bez najmniejszego wstydu koncentrował wzrok to na piersiach lady, to znów na moim kroczu.

Lady postanowiła odeprzeć zakusy.

— Opanuj się! Nie przybyliśmy do ciebie po to, abyś dawał upust podłym instynktom.

A niby w jakim celu? — rzekł beczelnie. — Principesso, doznaję zawrotu głowy siedząc tak blisko twego ciała!

Przechylił się ku lady i znów próbował złożyć pocałunek na jej szyi. Tym razem Margaret nie zareagowała tak złowrogo.

— No dobrze — droczył się Widmark — czego chcesz w zamian za jeden, mały pocałunek?

Moja pani rzeczywiście umiała handlować z łotrami. Widziałem jak naszego gospodarza zaślepią żądza: uczyniłby wszystko dla jej zaspokojenia... Lady nie trzeba było więcej, aby przystąpić do rzeczy!

Poznawałem jej plan wspólny z Widmarkiem. Pomysł, aby zajechać do Jarwey od początku traktowałem niechętnie. Dopiero pod wpływem nalegań jaśnie pani przystałem na widzenie z baronetem. Jakże więc teraz mogłem traktować intrygę, w której Widmark — brutalny gwałcieciel — występował w roli bezinteresownego mecenasa? Nie chodziło o pieniądze — tych baronet nie miał, chyba, że pożyczone. Lady żądała od niego, aby niezwłocznie wysłał mnie do Londynu i, posiłkując się znajomościami, umieścić u swych przyjaciół...

Baronet najpierw zdziwił się, potem zamyślił, nareszcie roześmiał z satysfakcją:

— Chcesz dopieć swemu braciszкови, Margaret? Chcesz, żeby myślał, iż to Widmark, stary druh, sprzątnął mu sprzed nosa tego chłoptysia? A tak naprawdę rezerwujesz go dla siebie! U kogóż zatem miałbym go umieścić? Przecież chciałabyś się widywać z psotnym Colinem? Rozumiem, że posiadanie na wyłączność tak soczystego kaska dostarcza ogromnej przyjemności. Tylko — cóż ja dostanę za fatygę, skoro nie wolno mi nawet skraść całusa?

Nie tylko Widmark był sceptyczny: mnie także nie podobał się ów pomysł. Po pierwsze — dostawałem się bez reszty w łapy baroneta, a po drugie — traciłem możliwość szachowania lady Margaret jej zazdrosnym bratem... Po trzecie,

i najważniejsze, powracałem do roli pionka w grze.

Wszystkie powody wystarczały, abym odpowiedział przecząco na prowokujące pytanie Widmarka.

A jakiż w tym udział Colina? On także powinien znać cenę... zapytajmy, czy zgodzi się w ciemno...

— Nie! — oświadczyłem zwięźle.

— A czemuż to? — obruszyła się lady. — Nareszcie pozbywasz się lorda, czy to nic dla ciebie nie znaczy?

— Wielmożny pan będzie mnie szukał i na pewno odnajdzie! — odparłem natchniony. Moje słowa wywarły na baroncecie duże wrażenie. Pomyślał chwilę i rzekł:

— Chłopak ma rację! Jerzy nie podda się łatwo, wszak moi znajomi są także i jego znajomymi. — Ejże! — krzyknął, wskazując na lady Margaret — czy principessa nie wycina nam wszystkim przedniego kawału?

Chociaż jaśnie pani pozowała na skrzywdzoną niewinność, baronet nie dał się zwieść z tropu.

— A jakże, drogi Colinie! — obwieścił z tryumfem — proponuje się nam odegranie roli wędkę z przynętą. Ty będziesz robakiem, ja wędziskiem, a biedny Jerzy — rybą... Któż jednak odda się łowieniu? Kto zmąci spokojną toń wody? Principessa! A gdy już dramat dobiegnie kresu — zapewne postawi nam wszystkim warunki...

Mimo całej niechęci do baroneta musiałem przyznać, iż ma głowę nie od parady. Koncept Małgorzatki nazbyt już był przebiegły, aby liczyć na jego pomyślne urzeczywistnienie. Spojrzałem przeto w pociemniałe z wściekłości tęczęwki naszej drogiej lady i westchnąłem znacząco, dając znak, iż tym razem biorę stronę Widmarka.

— Jeśli to kwestia ceny — odezwała się kusicielka — możemy rozpocząć targ...

Baronet najwidoczniej lubował się w takich scenach; świadek taki jak ja, uskrzydlał go i pozwalał rozwinąć ukryte talenty.

— Licytacja? — zawołał rozbawiony. — Niechże mi będzie wolno przypomnieć, że najpierw ustala się cenę wywoławczą!

— Jest dobrze znana — rzekła sucho jaśnie pani — dasz Colinowi schronienie w Londynie i jakieś pieniądze — na początek...

— Droga przyjaciółko! Widmark nie posiadał się z radości — tylko tyle? I aż tyle? Znasz przecież mą oplakaną sytuację. Żydzi siedzą mi na karku domagając się spłaty weksli. Jarwey straciło hipotekę, a ty proponujesz utrzymywanie tego żartocznego dzieciaka i to jeszcze — jak mniemam — na stołecznym poziomie? Wielki to ekspens grosza, ale i starych przyjaźni. Zatem w zamian — zażądam ciebie...

Nigdy nie widziałem lady równie spokojną jak wówczas, gdy usłyszeliśmy tę niecną propozycję. Najmniejszym drgnieniem mięśni nie zdradziła swych uczuć. Siedziała sztywno, z oficjalnie wysuniętym podbródkiem tak, jakby mowa była

o jej koniu, nie zaś o niej samej.

— Jakże więc brzmi twoja decyzja, Maggie?

Odpowiedź padła natychmiast i wprawiła mnie w osłupienie:

— Niech tak będzie!

— Wina! — zawołał baronet. — Hej, jest tam który, podajcie to stare porto, którym przywiózł z Hiszpanii. Czekają dwadzieścia lat na taką uroczystość!

Służba zakrzętnęła się żwawo, zmieniono obrus, na stół wjechały słodkie ciasteczka, a baronet własnoręcznie rozlał ciemną maźmazję do małych rżniętych kieliszków.

— Wzniesmy toast za piękne i zdecydowane kobiety, które potrafią dobić pierwszą fazę targu!

Dłoń lady Margaret unosząca do ust kieliszek zatrzymała się w pół drogi.

— Pierwszą fazę? — powtórzyła wolno. — Układ został dobity, baronecie, i nic więcej nie będę ci winna...

Widmark bawił się coraz lepiej. Odczekał dla efektu parę chwil wystawiając naszą cierpliwość na okrutną próbę, po czym wywiódł następującą myśl: on, Widmark uczyni wszystko, abym dotarł szczęśliwie do Londynu i tam, w należnym mi luksusie, czekał na odwiedzin lady. Nie chciałby zdradzać zbyt wiele, ale sądzi, iż kilku odpowiedzialnych panów z towarzystwa chętnie przyłoży rękę do ustalenia mej kariery. Wszelako cena jaką przyjdzie mu zapłacić jest niewspółmierna, albowiem porywając mnie zdradza starego druha — lorda Fontenbarry. Z nim, za młodu, jadał z jednej żołnierskiej miski, a to zobowiązuje. Dlatego, jeśli przyjąć ofertę lady za poważną, czeka również na podobne zobowiązanie ode mnie...

— Ty świntuchu! — porwała się energicznie z miejsca moja chlebodawczyni — chcesz uwieść Colina w mojej obecności?

— Ależ, droga pani, nikogo nie zamierzam zmuszać! Mam nieprzepartą ochotę na was oboje. Tu, zaraz, natychmiast...

To mówiąc przybliżył się niebezpiecznie do lady, sięgając po sznurówkę jej sukni. Stałem jak słup nie wiedząc, czy już skakać do gardła Widmarkowi, czy wstrzymać się, aż zrobi to lady Margaret.

Ale ona nie poruszyła się. Łapy Widmarka sprawnie obnażyły jej ramiona i dobiegały się do gorsetu. Patrzyłem z przerażeniem, jak baronet wyluskuje jej białe ciało i pieści — najpierw lewą, potem prawą pierś. Mój przyspieszony oddech zwrócił uwagę obojga, gdyż, mrugając porozumiewawczo do lady, rozkazał:

— Na co czekasz, Colinie, zrzucaj te uroczyste szmatki! Pokaż się nareszcie takim, jakim chciałby cię widzieć nasz Stwórca — nagim i czystym, niczym Dziewica Orleańska!

Mogłem jeszcze uciec, drzwi ciągle stały otworem. Ale za moimi plecami rozciągał się wrogi mi świat, podczas gdy w tym pokoju, pełnym gustownych mebli, obrazów i starożytnej broni, wymagano tylko, abym rozebrał się.



Zarówno lady jak i Widmark widywali już mą nagość; od pierwszych, trudnych doświadczeń w tym względzie upłynęło sporo czasu i nie przeżywałem już świętoszkowatego zawstydzienia. Niemniej zadałem sobie przymus, ściągając spodnie. Tymczasem Widmark obnażył lady, sam pozostając w bieliźnie. Z obrzuczonego haftem rozporka dobywał się jego członek — jak taran, zwrócony przeciwko nam obojgu.

— Podejdz! — rzekł do mnie zdyszany — układając bezwładną lady w pozycji sposobnej do miłości. Wskazawszy miejsce pomiędzy jej nogami skłonił nas, byśmy odegrali przed nim komedię fizycznego zbliżenia...

Nigdy jeszcze nie kochaliśmy się w tak szczególnych warunkach! Fakt, iż za moimi plecami czyhał Widmark, z całą pewnością nie powiększał mego wigoru. Jednakże, odejmując mi całą naturalną pewność, zarazem przydawał perwersyjnego uczucia lęku; wiedziałem, iż baronet nie poprzestanie na obserwacji i zechce włączyć się w naszą miłość.

Nie omyliłem się. Gdy, wprowadziwszy członek w spokojne łono lady, rozpoczynałem gwałtowniejsze ruchy, Widmark pochwycił mnie za biodra i sam nadał tempo. W momencie szczytowania zwałił się na mnie, zagłębiając męskość pomiędzy moimi pośladkami. Trwałem wyprężony jak struna, musiał mnie przeto ostro gwałcić. Wziąwszy ogromny impet rzucał się po mnie, a jego dzikie podskoki udzielały się — poprzez moje ciało — także lady Margaret. Wówczas dopiero odczułem, iż moja pani nabiera ochoty na tę szaloną przygodę. Skurczyła się wokół mego wiotczącego członka i w rytm uderzeń baroneta zaczęła wyciskać mnie i otwierać, cofając, to znów nasuwając uda.

Widmark zauważył aktywność lady i jeszcze bardziej wzmógł swą szarżę. Przebił się już we mnie w takim stopniu, że odczułem pierwszy, charakterystyczny ból. To jakby przerywano naprężoną błonę, naciągniętą do ostateczności i pociągającą razem w głąbię brzucha — spierzchniętą mosznę i twardy członek.

Lady, odgadując grożącą mi torturę starała się odepchnąć Widmarka tak, aby zsunąwszy się niżej nie mógł atakować bezpośrednio. Ale baronet, schwytywszy walczące z nim dłonie splótł je sobie na karku, jeszcze silniej wiążąc nas wszystkich. Stanowiliśmy teraz jedno drgające i dyszące ciało, w którym przelewały się soki, otępiające nas i czyniące nieczułymi na bodźce z zewnątrz...

Toteż nikt nie potrafił powiedzieć jak długo obserwował nas łysy mężczyzna o tak jasnych rzęsach, iż jego zaokrąglone źrenice zdawały się wylewać z oczodołów. Kiedy powróciliśmy do przytomności, pierwsza zorientowała się lady:

— Found! Jak śmiesz wchodzić bez pukania!

Zanim Widmark odwrócił ku niemu spurpurowiałą z rozkoszy twarz, Douglas Found, powiernik lorda, zaanonsował doniosłość:

— Jego lordowska mość Jerzy Fontenbarry!

Zastygliśmy w malowniczych pozach, wyznaczonych nam przez dogasającą w naszych ciałach rozkosz. Lord wkroczył niespiesznym krokiem i, obrzuciwszy

naszą beznadziejnie splątana trójkę nic nie mówiącym spojrzeniem, zajął miejsce w jednym z foteli. Stamtąd, w całkowitym milczeniu, oddał się oględzinom wspólnego nam popłochu.

I tym razem najbardziej świadoma okazała się lady.

— Jerzy — poprosiła bardzo łagodnie — to poniżej twojej godności!

Lord zgodził się bez protestów. Nie wykazywał także najmniejszego zdziwienia, gdy Widmark, próbując żartobliwego tonu, rzucił na próbę:

— Pojmujesz, ta wiejska nuda! Chyba nie sądzisz, że to coś poważnego!

Spokój lorda wywierał na wszystkich niemiłe wrażenie. Wolelibyśmy, by wrzeszczał, próbował nas bić lub rozpaczał — cokolwiek, tylko nie zachowywał tej etykietałnej, doskonałej obojętności.

— Zgoda — baronet wygramolił się ze mnie i, przesłaniając srom, szedł ku lordowi. — Możesz żywić pretensje, ale pozwól sobie wytłumaczyć...

— Proszę, baronecie — odezwał się Douglas, a w jego dłoni pojawił się jakiś wysmukły przedmiot. — Niechże pan nie zmienia swego miejsca!

— Wariat! — nieoczekiwanie pisnął Widmark i cofnął się gorliwie z powrotem na sofę. — Jerzy, pozwolisz mu celować do mnie z pistoletu? Jeszcze chwila, a zawołam służbę...

Lord dystyngowanym ruchem dłoni przekreślił wymowność baroneta.

— Czego więc oczekujesz? — spytał Widmark, próbując wrócić do zażyłego tonu. — Mam się kajać?

Najwidoczniej Douglas wybornie znał swego pana, gdyż i teraz przemówił w jego imieniu:

— Baronecie Widmark, pan zbeszcześcił honor kobiety!

Zanim Widmark zdołał odpowiedzieć, poruszyła się energicznie nasza lady. Nie było to łatwe; najpierw wyslizgnęła się z moich objęć, lecz mój ciężar okazał się dla niej nazbyt przytłaczający. Toteż uczyniwszy zdesperowany wysiłek, aby znaleźć się poza sofą, uzyskała połowiczny sukces, spadając na podłogę...

Nie bądźże śmieszny, bracie — jęknęła, zdając sobie sprawę jak dwuznacznie zabrzmiały te słowa. — Chcesz bronić mojej czci? Pozwól, że sama zadbam o nią tak, jak uznam za słuszne!

Douglas z dystyngowaną miną fagasa, spoza której czytałem ogromną satysfakcję, znowu wyręczył lorda:

— My nie puszczamy płazem takiej obrazę! Lord Fontenbary wyzywa baroneta Widmarka na udeptaną ziemię i tuszy, że zabije go tak, jak na to zasługuje gwałciiciel i przeniewierca...



Rozdział siedemnasty

Pół godziny później sytuacja przedstawiała się następująco: panowie udali się do różnych pokojów, aby przygotować się do pojedynku. Lord stanowczo odrzucił jakąkolwiek możliwość mediacji. Również przeniesienie starcia na dzień jutrzejszy uznał za niewykonalne. Chciał się pojedynkować przed zapadnięciem zmroku. Widmark, acz niechętnie, przystał na to żądanie, zobligowany żołnierskim honorem i stanowczością swego przeciwnika.

Lady Fontenbarry postanowiła pozostać w Jarwey aż do rozstrzygnięcia. Ja również nie zamierzałem nigdzie się ruszać, mimo nalegań Douglasa. Obrzydły typ polecił mi w imieniu lorda, abym natychmiast wracał do pałacu. Nie usłuchałem, tym śmielej, że lady stanowczo poparła mnie w nieposłuszeństwie.

Siedzieliśmy więc i czekaliśmy. Bezczynność oraz zrozumiałe podenerwowanie nadwątląły nasze siły. Bibliotekarz zdawał się nas pilnować, co wzmagało irytację jaśnie pani. Wreszcie nie wytrzymała i wyrzuciła go. Podporządkował się, lecz został za progiem. Stał tam, dobrze widoczny poprzez uchylone drzwi, niczym więzienny pedel.

Rzeczywiście, czułem się osaczony. Teraz, gdy w sposób tak namacalny uzmysłowiłem lordowi swe kręactwa, nie mogłem spodziewać się łaski. Powrót do pałacu będzie początkiem końca, a Douglas znajdzie sposób, aby się na mnie zemścić. Odejdę w niesławie, pozbawiony wszelkich korzyści. Gorączkowo rozmyślałem o ukrytych pod łóżkiem podarunkach lady Margaret i lorda. Stanowiły nielichy mająteczek, szczególnie przydatny człowiekowi bez zajęcia... Nie zamierzałem wracać do Kew; jakże pokazałbym się swym rodzicom! Plotka lotem błyskawicy leciała z pałacu do miasteczka. Nie zwiódłbym nikogo minką niewiniątka. W Kew nie miałem przyszłości... Kto przygarnąłby młodzieńca, dbającego o gładkość policzków i dłoni?

Spotkała mnie klęska i należało wyciągnąć wnioski. Dalszy rozwój wypadków zatrzymał wszakże jeszcze bardziej. Co wydarzy się, jeśli któryś z mych protektorów zginie? Ani lady, ani zwycięzca pojedynku nie dawali mi gwarancji, że pozostanę w pałacu na dotychczasowych warunkach...

Należało więc niezwłocznie działać. Znałem determinację lorda i podrażniony honor baroneta. Tym kogutom nie przemówiłbym do rozumu. Była wszakże jeszcze lady Margaret, sprawczyni całego nieszczęścia. Przecież jej pomysłem był wypad do Jarwey, to ona wdała się w targi z Widmarkiem! To lekkomyślna lady zobowiązywała się do uczynienia mnie mieszkańcem Londynu.

Nie rozumiem — rzekłem stanowczo, aby zamyślona Margaret zwróciła na mnie uwagę — jak dwóch rozsądnych mężczyzn dopuszcza do takiej bzdury...

A widząc, że jest niechętna rozmowie ciągnąłem z uporem:

Ktoś przecież musi ich rozdzielić! Bardzo łatwo wyrządzą sobie krzywdę. I o co? Największe nieporozumienia można przecież załagodzić!

Spojrzała na mnie jak na raroga i prychnęła z pogardą:

— Dureń, co ty wiesz o sprawach honoru!

Jakiego honoru? udałem zainteresowanie. — Cóż w końcu zrobiliśmy? Ja kochałem panią, a mnie — baronet. Wszystko! Wcześniej rznąłem się z twoim bratem. Taka jest prawda.

Skrzywiła się i chyba zamierzała płakać. Ale, oczywiście, natychmiast się opanowała.

Więc co? — judziłem. Może nie mam racji? Może kłamię!

Miałem serdecznie dosyć fałszu; zrezygnowawszy z języka wyższych sfer mówiłem okropnie — ale mówiłem szczerze.

Małgorzatka nie umiała jednak sprostać takiej wymowie.

— Grubianin! syknęła. — Zamilcz albo każę cię wychłostać! Nie tobie sądzić o postępkach twych panów!

Nie mnie? uniosłem się. — A któż oceni was lepiej niż Colin, parweniusz, chłopak od gnoju, dający wam dupy? Cóż to — nie widzę was takimi, jakimi jesteście — w pazerności, łajdactwie i perwersji? Możecie sobie mówić o honorze i obyczaju, ale wiem jedno: byle złodziej ma tyle sumienia, aby przyznać się przed sobą do kradzieży. Wy kradniecie wszystko dookoła — ziemię, złoto, ludzi i ich prawość, ale twierdzicie, że Bóg tak chce! Otóż każdego z was dopadną kiedyś robaki. Będziecie gnili, a wasze dusze, o ile nie zgniły wcześniej, opowiedzą się Bogu, a wtedy... wtedy Bóg odwróci się od was jak od najgorszych zbrodniarzy. Kto wie — fantazjowałem widząc, iż ten zapal wywiera duże wrażenie na pobludłej lady — może zniży się ku wam podlejszy archanioł, przystanie i zapyta: Margaret, dziwko przeklęta, czemuś nie wybrała drogi do piekła? Tam twoje miejsce i takich łotrów jak ty!

Umilkłem, przestraszony nie na zarty. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się być aż tak bezpośrednim. Brutalność sługi przekraczała granice jakie lady Margaret potrafiłaby ścierpieć. Teraz więc gotowałem się na cios ostatni: raptem było mi wszystko jedno — cały świat stracił dla mnie znaczenie.

Reakcja lady zatrwożyła mnie z zupełnie odmiennych przyczyn. Jaśnie pani przyznawała mi rację! Więcej, pragnęła rozgrzeszenia! Potraktowana krzykiem życzyłaby sobie, abym ją stokroć bardziej zelżył. Przyjemność płynąca z obelg, wyraźnie pobudzała ją do czynu!

— Lady Margaret korzystałem z okazji — nasz występki zranił lorda boleśnie, ale przynajmniej pani wolno zadeklarować poprawę... A cóż. bardziej przekonującego niż odżegnanie się od Colina! Musisz — głos mój nabrał stanowczych odcieni wyprzec się mnie i to nie zwlekając! Widmark i lord są

zobowiązani zapewnić mi przyzwoite warunki życia. Nie obstawaj, abyśmy widywali się w Londynie. To zawsze będzie możliwe, wierz mi. Nie mogę też zatrzymać się w Fontenbarrys House, ani, tym bardziej, u baroneta. W Londynie przedstawiono mnie niejakiemu hrabiemu Bürsten. To młody człowiek o dużym majątku. Nie wątpię, iż na prośbę twego brata przyjmie mnie jak syna...

Rzykowałem, bo skądże pewność, iż Bürsten pamięta mnie jeszcze? Poza entuzjastycznymi pochwałami oraz obietnicą, bym szukał z nim kontaktu, niczego więcej nie otrzymałem od bladolicego hrabiego...

Pomysł wyraźnie spodobał się mojej pani. Znałem jej talenty i nie wątpiłem, iż zdoła nakłonić obu pojedyńkowiczów do okazania nam wszystkim odrobiny miłosierdzia. Wszak rapier, broń zdradliwa, mogła wyprawić na tamten świat obu mężczyzn...

Ale w urzeczywistnieniu pomysłu przeszkadzał nam Douglas. Gdy lordówna zbliżała się do drzwi, zastawił je własnym ciałem kategorycznie żądając nie opuszczania pokoju.

— Douglasie Found rzekła lady bardzo niskim i stanowczym głosem — jeszcze jeden raz mi się sprzeciwisz, a wydrapię ci oczy!

Naiwny (z kobietami) bibliotekarz nie posłuchał przestrogi. Za chwilę Margaret wczepiła się w jego czuprynę, obrabiając ją bardzo dokładnie. Nie ukrywam, że z dużą przyjemnością włączyłem się do walki. Nauczenie rozumu Douglasa Founda usprawiedliwiało tych kilka siniaków, jakie w ostatecznym rachunku oberwałem. Trzeba przyznać, iż Found bronił się dzielnie. Okazał się też chłopem na schwał, tyle tylko, że całkiem nie przygotowanym na tak gwałtowną bliskość żeńskiego ciała. Uwieszona u jego szyi Margaret czyniła spustoszenie większe, niżli by to wynikało ze stosunku sił. Biedny Douglas nie wiedział, co ma zrobić z napastniczką, której rozpalone wdzięki atakowały go bez pardonu.

Wznicieliśmy nielichy hałas, toteż wkrótce, z sąsiednich pokoiów wyjrzała służba. Ktoś pobiegł po baroneta, ktoś inny zawiadomił lorda. Obaj nadeszli w jednej chwili; ich oczom przedstawił się żaloszny widok.

Bibliotekarz tkwił w drzwiach, chwając się, bliski upadku; z rozoranych policzków ciekła mu krew. Lady, zdyszana i potargana opadła na sofę. Przysięgłbym, iż właśnie zakończyła odpierać jakąś okrutną napaść. Ja, ze swej strony, kuliłem się pomiędzy Foundem a panią, bardziej udając, niż cierpiąc. Wolałem jednak nieco przerysować swój ból, słusznie przypuszczając, iż wzmogę tak potrzebne nam wszystkim współczucie.

— Co tu się dzieje? — zawołał lord, obejrawszy malownicze pozy naszej trójki.

— Douglas, mówże u licha!

— Co się dzieje? — zapłakała (jak na zawołanie) lady. — I ty śmiesz pytać tego chłystka, tego chama, tego... — szukała strasznych słów, ale skończyło się na paroksyzmie szlochu.

— Zostawiasz nas samych z tym zbrodnicą, który rzuca się na mnie i na Colina, a potem...

Widmark, stojący za lordem, dusił się ze śmiechu. Lord brał jego sapanie za wyraz wzruszenia, ale ja nie żywiłem złudzeń: baronet poznał się na podstępnie lady i teraz zamierzał pomóc nam w brawurowym stylu.

— Jerzy — rzekł nie mieszkając — czy to być może? W moim domu, twój służący, który mierzył do mnie z pistoletu (a ty mu na to pozwoliłeś!), teraz napastuje twoją siostrę, dla której żywię ogromne i niewygasłe uczucie! Jakim prawem pytam? Co pozwala mu na taką bezkarność? Służba! — ryknął potężnie, aż obecni w pokoju poderwali się, jak od wybuchu miny. — Natychmiast wzięć tego draba i wsadzić do loszku!

Tupet Widmarka obezwładnił lorda Fontenbarry. Próbował protestować, Douglas także nie sprzedawał tanio skóry; mimo to czterech osiłków porwało szanownego bibliotekarza, ściągnęło po schodach w dół, a lord zdołał jedynie pocieszyć go, iż natychmiast wyjaśni zaistniałe nieporozumienie.

Wszelako Found zmuszony został do odsiedzenia w wilgotnej piwnicy wielu godzin, albowiem na scenę wkroczyła teraz lady Margaret i przedstawiła rzecz po mistrzowsku! Po burzliwych sporach wszyscy (łącznie ze mną) odnieśli wrażenie, iż to lord zaproponował genialne wyjście: niech hrabia Bürsten przygarnie takiego młodego rozbitka jak ja... Jaśnie pan zobowiązał się do szybkiego napisania listów. Wzdychał ciężko; Widmark dodawał mu otuchy twierdzeniem, iż Bürsten, stary kompan, nie zawiedzie w potrzebie. Poza tym panowie mieli się zobaczyć za kilka tygodni...

Lady Margaret, aby przełamać wahania lorda, poskarżyła się, iż jej fundusze nie pozwalają na szybki wyjazd do Londynu. Co najmniej kwartał zabawi na wsi, czyż to nie okropne? Gentlemani przyświadczyli ochoczo i decyzja zapadła!

Należało jeszcze rozstrzygnąć wstydliwą sprawę pojedynku. Formalnie wyzwania padły, obaj zobowiązali się walczyć. Brakowało sekundanta. Douglas tkwił w zamknięciu, zaś pod ręką nie znalazł się nikt godny tej roli. Lady Margaret poddała więc myśl, aby uznać, że pojedynek odłożono: przyczyna obrazy jeszcze nie zniknęła. Z drugiej wszakże strony przyjęte działanie mogło wyrzucić zbawienny wpływ na ostateczny sąd obu przeciwników o stopniu i sile obrazy...

Teraz należało jeszcze zgodzić się jak układać wzajemne stosunki w okresie, by tak rzec, przejściowym. Odpowiedzi Burstena lord spodziewał się nie wcześniej, niż za tydzień. Nie ukrywam, iż moja skromna osoba przysparzała w tym względzie najwięcej kłopotu.

Właściwie, jako poddanemu lorda Fontenbarry, wypadało mi wracać razem z chlebodawcą. Jednakże dla nikogo nie było tajnym, iż uciekłem... to jest uciekliśmy wspólnie z lady. Ona dałaby się uprosić do powrotu, lecz stanowczo nie życzyłaby sobie, abym ponownie zamieszkał z jej bratem. Cóż, tydzień to siedem dni, sto sześćdziesiąt osiem godzin, a Bürsten mógł spóźnić się z odpowiedzią...

Na razie nikt nie wychodził z propozycjami. Panowie pili kawę, gawędzili o błahych sprawach; burza minęła i tylko na horyzoncie rozlegały się ostatnie grzmoty.

W końcu, niespodziewanie, zapadł zmierzch i lord, choć nader niechętnie, zgodził się zanoć w Jarwey. Zaproszenie Widmarka zabrzmiało niezwykle ciepło, zupełnie jak za starych, dobrych czasów. Słyszac ów familiarny ton lady zaniepokoiła się: nie leżało w jej interesie nadmierne zbliżenie obu przyjaciół. Nie daj Bóg doszliby do porozumienia, gorzej — wróciliby do dzielenia się mną!

Lady błyskawicznie odkryła ową możliwość i równie szybko przekreśliła ją, wspominając przewinę Founda.

Bracie — rzekła tonem obrażonej niewinności — nie słyszę, abyś zamierzał ukarać swego fagasa! Nic nie wróci na dawne miejsce, jeśli ów bezczelny typ nie dostanie za swoje!

Lord zachmurzył się, gdyż poczuł nazbyt jeszcze świeże rany. Widmark również siedział naburmuszony. Skoro jednak przyjął koncept lady, pozostawiało mu teraz przyłączyć się do oskarżeń...

Racja — rzekł — Douglas zachował się nazbyt impulsywnie!

Impulsywnie! lady nie posiadała się z oburzenia — toż on próbował mnie zgwałcić!

Ależ siostrzo! — westchnął lord — gdybym miał go o to skarżyć, straciłby całe życie w więzieniu!

— I bardzo dobrze! — podsumowała nieubłagana lady. — Co zamierzasz uczynić?

— A cóż mam zrobić? — jęknął lord.

— Zwolnić go ze służby — natychmiast!

Wyrok na Douglasa Founda zapadł tak nieodwołalnie, iż nawet jaśnie pan, który bronił się przed jego wykonaniem uznał, iż nie wolno tracić czasu. Zawezwano bibliotekarza; wszedł spokojny, nieco poobijany (służba potraktowała go bez litości) i wysłuchał sentencji jak żołnierz.

— Nie obawiaj się — — rzekł lord pragnąc osłodzić skazańcowi moment zakładania stryczka. — Otrzymasz półroczną odprawę...

Pilnie przypatrywałem się Foundowi, który imponował postawą. Nie wyrażała rezygnacji ani poddaństwa, nie dostrzegłem w niej nic wyzywającego. Przyjął cios bez pytania, czym sobie nań zasłużył...

Rychło odjechał do pałacu pakować manatki.

My tymczasem bawiliśmy w Jarwey jeszcze pięć dni. Uplynęły na wzajemnym przekonywaniu się, że tak naprawdę nie zaszło nic godnego uwagi. Panowie kontrolowali się wzajemnie bacząc, by któryś przypadkiem nie zawędrował do mego pokoju. Stróża dopełniała lady Margaret... I tak, w otoczeniu czujnej trójcy żyłem jak u Pana Boga za piecem.

List, wysłany przez umyślnego, spowodował natychmiastową odpowiedź. Bursten entuzjastycznie pisał o przyjęciu w swe progi Colina, tego „cudownego

dziecięcia wrzosowisk", które „niczym anioł rozświetli szare, londyńskie dni". Powiadomił już Goudhama i razem szykowali godne powitanie faworytowi drogiego lorda Fontenbarry.

Z pisma wynikało, iż oczekują także przyjazdu lorda. Nie odpowiadało to Widmarkowi. Ponowny wybuch konfliktu zawisł na włosku. Musiałem interweniować.

— Obowiązki jaśnie panów tu, na wsi, przekreślają możliwość waszej natychmiastowej podróży — oznajmiłem. — Jednakże jaśnie pani, bez trudu pojedzie do Londynu i wróci — najszybciej jak to możliwe. Dla bezpieczeństwa — dorzuciłem chytrze — należy przydać jej towarzystwo — osoby pewnej i zaufanej...

Dalibóg, nie wspomniałem o Douglasie Foundzie! Byłaby to z mej strony ogromna bezczelność. A jednak lord tak właśnie zrozumiał mą propozycję. Lady, usłyszawszy, iż na koszt brata jedzie do Londynu, ucieszyła się; ale podróż z Douglasem wydała się jej zamachem na „godność kobiety".

— Ten sam opryszek ma konwojować nas przez całą drogę? W jakim charakterze, jeśli łaska? Najemnego strażnika?

Lord uprzejmie wysłuchał skarg siostry i tonem nie podlegającym dyskusji rzekł:

— Poleciłem Founda memu znajomemu w Królewskim Towarzystwie Nauk. Nie zaprzeczysz, moja droga, iż były bibliotekarz posiada talenty, sposobne do wykorzystania w tej szacownej instytucji!

Tak, jakby nigdy nie wyrzucał Founda! Czas istotnie cofał się do swych początków...

Mimo kaprysów lady byłem właściwie bardzo zadowolony. Teraz wypadało przygotować się do podróży. Wróciliśmy do pałacu i każde z nas pakowało się na swój sposób. Ukrywałem wszystkie podarunki — pieniądze i kosztowności w małym i niepozornym kuferku. Kilka większych kamieni zaszyłem w kubra-ku... Nazajutrz niecierpliwie wypatrywałem karocy.

Ale lord Fontenbarry nie chciał rozstawać się bez pożegnania. Zaweźwał mnie do kancelarii i mówił swym zwykłym, cichym głosem:

— Colinie, mój smutku! Tracimy się z oczu, a ja nie wiem, czy długo wytrzymam bez ciebie! Zupełnie nie umiem poradzić sobie z uczuciami, jakie we mnie wzbudzasz. Tak, chłopcze, okazałeś się silniejszy! Zawsze chciałem wiedzieć, czy choć trochę mnie lubisz;... Zamlcz, wolę złudzenia. Nie żegnamy się, bo zrobię wszystko, żebyś do mnie wrócił!



Rozdział osiemnasty

Hrabia Bursten, mój nowy protektor (na czas nieobecności lorda Fontenbar—ry) okazał się bodaj najosobliwszym okazem pośród arystokratycznej menażerii. Pisał wiersze i nie krył z tego powodu ogromnej dumy. Wiersze te mówiły wszystko o jego prawdziwych zainteresowaniach. Toteż, aby nie rozvodzić się o hrabim więcej, niż to konieczne, zacytuję jeden z jego utworów. Opiewa w nim męskość jako kwintesencję istnienia. Czymże jesteś, płci mężczyzny? — pyta w introdukcji poeta i odpowiada, jak potrafi najlepiej:

*Kotkiem, bo naturalnie szpuntujesz szczelinkę,
Wolkiem, bo orzesz równo najtwardszą dziewczynkę,
Smoczkiem, bo zawsze dajesz, choćby kroplę na dzień,
Bloczkiem, bo ciężką pannę ruszysz z miejsca snadnie,
Ryglem, bo ty zamykasz, a ciebie nie sposób,
Figlem, bo jesteś żartem dla ponurych osób,
Piórem, bo sprawnie piszesz na białej i czarnej,
Kurem, bo cię kokoszki pociągają swarne,
Miotem, bo tłuczesz zdrowo sam będąc tłuczony,
Kotem, bo się przymilasz do panny i żony,
Kociółkiem, bo gotujesz w sobie ogień z wodą.
Pachółkiem, bo usłużysz największą wygodą,
Sierżantem, bo cię rozkaz podnosi do boju,
Atlantem, bo udźwigniesz pół babskiego roju,
Zegarkiem, bo godziny nie przepuścisz żadnej,
Kanarkiem, bo się ćwiczysz w pieśni bardzo składnej,
Solniczką, bo potrawę dosalasz jak trzeba,
Doniczką, bo twój kwiatek wystrzela do nieba,
Sprężyną, bo odbijasz niejednego tyłeczka,
Tarniną, bo czerwienność od krwistych porzeczek,
Rabarbarem, bo nawet łyko masz soczyste,
Browarem, bo się pienisz jak zdroje pienne,
Kodeksem, bo ferujesz prawa i przepisy,
Pumeksem, bo się ścierasz bez skazy i rysy,
Pastorałem, bo święcisz niecierpliwie dłonie,
Antałem, bo twój likwor każda panna chłonie,
Folblutem, bo zajeżdżisz każdą amazonkę,*

*Marabujem, bo jesteś ptakiem oraz członkiem...
Sto nazw, lecz brak pewności, które twoje miano?
— Nie wiesz? Choć brzmi inaczej, znaczy wciąż to samo!*

Chwilami dziękowałem Stwórcy, iż hrabia Aleksander Maria Beniamim Robert Bürsten z rodziny, dzierżącej od pokoleń rozkoszny zameczek tuż w zakolu Tamizy, wykazując talenty poetyckie nie dostrzega zbyt jasno rozgrywających się wokoło wydarzeń. Gdyby bowiem uważniej zastanowił się nad własną rolą w spisku, zawiązanym dla mojej skromnej osoby, musiałby przyznać, iż pod każdym względem czyni się z niego głupca.

Oto lady Margaret, od przekroczenia rogatek miejskich znów pewna siebie i bardzo wymagająca; rozkazuje mi, abym spotykał się z nią co drugi wieczór w małym dworku jej dobrej przyjaciółki, missis Gemple. Rozkaz wykonuję ściśle, dostarczając nam obojgu niezapomnianych przeżyć. Nie pytam Małgorzatki, kiedy wraca (a miała wszak wracać natychmiast), czekam potulnie, świadomy, iż lord nie da się oszukiwać zbyt długo. Podobnie Widmark: wyobrażam sobie obu panów śledzących się wzajem. Konie parszczą w stajni, stangreci pukają się w czoło, narzekając na wariatwo chlebobawców, a oni — rozesławszy czujki na trakt — liczą godziny do swego odjazdu, żywiąc nadzieję, iż rywal wyruszy pierwszy...

Oto Douglas, chytra sztuka: trzyma się na uboczu, wierny piesek lorda Fontenbarry, przecież widuję go w okolicy. Zachodzi niekiedy nawet do hrabiego (znają się ponoć ze wspólnych studiów) i, choć nie zamieniamy słowa, wyczuwam, co zazdrosny bibliotekarz pragnie mi przekazać. „Pilnuj się”, mówi cała jego bardzo godna postać, „nasza gra nie skończona! Zwyciężyłeś w pierwszej rundzie, przed nami druga!” Przyjmuję wyzwanie, mimo, iż nie wiem, w czym imieniu trzusi się Douglas: lorda, czy własnym?

Pojawia się także inny (wcale miły) kłopot: rozwija się moja londyńska kariera. Hrabia szeroko otwiera drzwi dla przyjaciół i, z pańskim gestem, dzieli się z nimi swą zdobyczą. Traktuje mnie w tym względzie jak ostatniego cynika; wkrótce wiem już, iż przestając ze mną usiłuje zaspokoić potrzebę perwersji, a nawet obrzydliwości...

Do najbliższych przyjaciół hrabiego zaliczali się Edwin lord Goudham i książę de Montfort. Obaj z doskonałych, choć podupadłych finansowo rodzin, spędzali czas na doskonaleniu się w bezeceństwie, osiągając na tym polu rodzaj wybitności, albowiem żadne przyjęcie, na którym obok pulardy serwowano także dziwki i młodych chłopców nie obywało się bez ich uczestnictwa. Najpewniej zresztą bywali jego współorganizatorami lub choćby poddawali koncept, w jaki sposób z londyńskiej nocy uczynić grecką lub rzymską orgię...

Hrabia z pasją rywalizował z obu utytułowanymi gentlemanami, uzyskując najwyższe z możliwych ocen zarówno uczestników zabaw jak i pracujących tam kurew. W eleganckich burdelach mawiano, co prawda, że Bürsten zniża się do

pospolitego gustu, dopraszając dziewczynki z doków. Wszelako znawcy zagadnienia twierdzili, iż nowa krew zwycięża na korzyść hrabiego. Toteż Goudham i de Montfort niejednokrotnie przeżywali gorycz porażki...

Tylko baronet Widmark w pełni stawiał czoła talentom Burstena. Teraz, gdy go zabrakło, hrabia niepodzielnie władał londyńskim sezonem.

Mówiłem już, że nie zamierzał mnie ukrywać. Skądinąd pozostawiłem w towarzystwie jak najlepsze wspomnienia po swym pierwszym, londyńskim występie. Obwieszczenie o mym powrocie wzbudziło sporą sensację wśród utytułowanych gentlemanów w średnim i podeszłym wieku. Lord Goudham osobiście pofatygował się przywitać mnie w imieniu stołecznych miłośników piękna, a uczynił to w formie tyleż górnołotnej, co konkretnej, pozostawiając cenny upominek. Po nim przybyło kilku równie życzliwych panów i od wszystkich pozyskałem skromny zadatek męskiej przyjaźni.

Bürsten z zadowoleniem obserwował ów najazd, przestrzegając jedynie przed zbyt szybkim uleganiem prośbom naszych gości.

— Nie mogę — tłumaczył — zamienić mej siedziby w dom schadzek. Co innego małe przyjątko, tylko dla naprawdę zaufanych... Przekonasz się, Colinie, myślę nad czymś zupełnie niezwykłym!

Istotnie, wyobraźnia naszego poety przekraczała najśmielsze granice. Koncept wzbudził pośród znawców furorę, choć nie zabrakło słów obrzydzenia. Ale też sceneria pamiętnej nocy, nie miała sobie równych. Dworek zamienił się w jatkę, gdzie wśród zdartych zwierzęcych skór, pełnych i rozplątanych tusz, odrąbanych części rodnych i krwawych, wewnętrznych narządów urządzono orgię, wyposażając jej uczestników w noże, łańcuchy do przeciągania mięsa, haki rzeźnicze i topory — na szczęście tępe i wykonane jedynie z blachy. Wszelako, unurzane we krwi, robiły kolosalne wrażenie, a zapach oprawianej wołowiny i toczącej się z niej juchy powalał nawet najbardziej zahartowanych.

Mój kochany hrabio! — skarżył się Goudham — wylejże choć trochę pachnideł na tę niezmierną górę steków, gdyż zamiast kopolować — rzygam!

Wszelako byli i tacy goście, którym ogromnie podobał się rzeźniczy wystrój. Wśród nich rej wodził karli książe de Montfort, przybyły do Londynu za interesami. Jego dziecięce ciało kontrastowało ze słoniowym seksem wystającym spod skromnej przepaski. Wyczyny gnoma już wcześniej wzbudzały podziw, ale dopiero w bezpośrednim spotkaniu można było przekonać się, że jest najprawdziwszym mistrzem. Jego zboczenie objawiało się głównie tym, że — jak wampir — pożywał krwi bardziej, niż stosunku. Tutaj miał jej obfitość i szalał wśród dziwek, zaszywając jedną po drugiej w specjalnie do tego celu przygotowanych tuszach.

Patrzyłem nie bez wstrętu na pokracznego arystokratę i tych wszystkich, zamożnych ojców rodzin, właścicieli majątków ziemskich, donacji i bankowych asygnat, uprawiających miłość jak narkotyk, który zażywany w coraz większej dawce skutkuje coraz słabiej, wywołując tylko nieustanny głód. Czyż na tym

właśnie polegało złączenie się, choćby przypadkowe, dwóch istot ludzkich? Zespolenie cielesne, jak mawiał pastor w Kew, winno czynić z nas jedno ciało.

A pożądanie? Jakże pożądać samego siebie? Znałem bezpłodne próby samozaspokajania się i odrzucałem kościelną wersję znaczenia miłości. Więc czymże była? Uczuciem? Podobno wówczas nie wymagała dowodów fizycznych. Uduchowiona i zanadto wyspekulowana, aby wzbudzać żywsze emocje — rodziła tylko paradoks. Wiedziałem jedno: tarzające się w zwierzęcej krwi ciała nie szukały prawdziwego sensu miłości, zdolne jedynie do krótkiego oszołomienia stępałych zmysłów...

— To ty jesteś tym szaluputem lorda Fontenbarry! — dobiegł mnie z dołu skrzeczący głosik i miękka, spotniała łapka, spoczęła na moim biodrze, odciskając czerwony ślad. — Pozwól, niechże ci się przyjrzę, mówiono o tobie cuda.

Książę de Montfort okiem znawcy przebiegał po moim ciele, przybranym w skromny strój Orfeusza. Złocona lira, przewieszona przez ramię, zadźwięczała ostrzegawczo. Francuz uznał jej ton za wyraźną zachętę i ujawszy mnie w talii krzepkim chwytem — pociągnął za sobą.

— Znasz tu zapewne wszystkich — dyszał zadowolony, kiedyśmy przeciskali się pomiędzy trupami zwierząt i splecionymi ciałami ludzi — oto spójrz, jak znakomicie można spożytkować ciało, jak wiele wzniosłej ohydy tkwi w członkach... Podejdz tu, Orfeju, nie brzydz się, to mięso — wyborny okaz wykastrowanego wołu... Patrzaj, obdarty ze skóry ogon, z kostnymi kręgami, które przebijają włókna. Cofasz się, odchodzisz? A czymże byłaby twoja sztuka, gdyby nie siła, zawarta w mięsie — podstawie wszystkiego? Spójrz na zsiniałą giez, czyż nie przypomina twego ramienia? Palce przekształcone w kopyto, staw zginający się w przeciwną stronę, ale wierzaj mi, reszta — mechanika ścięgien, kości, ta sama, co u ciebie, piękniśiu! Obdarty ze skóry, rozplątany od grdyki po łono wyglądałbyś niemal identycznie, co mówię, byłbyś znacznie mniej interesujący! Pocciwy hrabia pomyślał o specjalnych zachciankach, więc przejdźmy dalej, w tamten kąt — widzisz? Skórzane wory, z których wylewają się białozółte kule, podtrzymywane na skręconych linkach, jak oczy, wyrwane przez kata... — To jest esencja chuci, mój chłopcze, w tym zawiera się cała prawda o pożądaniu!

Depcząc jądra knurów deptaliśmy sen o pięknie; jakże fałszywe wydawało się teraz, obnażone i skompromitowane krwią, mięsem i śmiercią!

— Nie przesadzajmy, mój mały i nie opuszczajmy nosa, tego ślicznego noska, który marszczy się od smrodu i paskudztwa... Przecież możemy udawać, że nic nie wiemy o czymś tak potwornym! Albowiem Bóg ulepił nas z innej gliny, niż ów rozkładający się żywiec (książę roześmiał się). Potrafisz to sobie przetłumaczyć, Colin? Bo gdybyś ugrzązł w ciemnych myślach, nie chciałbyś się więcej bawić, i cóż ja miałbym za przyjemność z ciebie, łotrzyku?

Wyrwałem się karłowi i rozpaczliwie szukając jakiegoś schronienia przed wszechobecną ohydą zbiegłem do piwnic. I tutaj jednak gości baroneta



oczekiwały niespodzianki: jedno z pomieszczeń, urządzone na wzór starej katowni zajmował grubas i naga prostytutka, rozciągnięta na metalowym łożu, pełnym łańcuchów i zaczepów.

Spostrzegłszy mnie, opasy jegomość wstydliwie przykrył niewielki członek, sfatygowany w miłosnych potyczkach i przymilnym głosem zaprosił do „wspólnego stołu”. Rozkraczona dziewczyna zerknęła z wyraźnym znudzeniem, lecz obejrzawszy mnie dokładniej nabrała chęci na kolejne danie i przymilnie wyraziła gotowość pofiglowania „z tym małym przybłądą”.

— Nie odmawiaj, na Boga — wołał grubas, popychając mnie w jej stronę — ja sobie przycupnę, ot, u twoich stóp i będę patrzył jak prawdziwy żarłok!

Ponownie doświadczyłem stanu, który, niczym paraliż, odciął zbuntowane myśli od ciała, rządzącego się już własnymi prawami. Mój naprężony seks wycelował między rozrzucone uda kobiety. Jej wyćwiczone łono umiało dostarczyć wiele przyjemnych doznań i zaspokoić męską naturę. Gdy skończyłem, płaczący się u mych stóp nieszczęśnik załkał głośno, pomstując na niesprawiedliwy los, który obdarzył go tak mizernym penisem.

— Spójrz, młody człowieku — wołał płaczkliwie — czy tą gałązką można przebijać mur bez obawy, że nie złamie się w najważniejszym momencie? Czy wiesz, co znaczy żyć z tą świadomością? Ileż ja lekarstw zażyłem, ilu konowałów pytałem o radę, a wszystko na próżno! Czemu nie potrafię wypełnić tej dziwki i dać obojgu prawdziwą rozkosz?

Gdy tak krzyczał, w mej głowie zadźwięczał ironiczny wierszyk Burstena:

*Rzekłszy, żeś jest w szczelince, powiem nazbyt mało,
Boś trafił do Tartaru! Jeśli tam cię wwiało,
Jeśliś zapadł po szyję (mówię szyję, bowiem
Jakkolwiek bym nazywał, zawsze brzydko powiem),
Jeśli, ciekawy ognia, co ci smali lica
Sprawdzasz, czy twa kochanka kurwa czy dziewica
I, splakawszy się setnie ze śmiechu lub żalu
Potrafisz swoją panią utrzymać na palu —
Jeśli (czego ci życzę) z wytrwałą oskomą
Będziesz się równo spalał (a wszystkim wiadomo,
Ze ogień u mężczyzny niczym wybuch spala) —
Powiem, żeś jest pierdoła, który dop. Ja!*

Tymczasem grubas, odrzuciwszy mnie od katowskiego stołu próbował wbić się w łono kobiety. Dziwka, chichocząc, wołała na całe gardło:

— Oj, mister, to łaskocze, oj, nie wytrzymam, umrę od tych figli—migli!

Opadłszy na nią, zatykając jej wesołe usta, grubas zapłakał rzewnymi łzami...

Ze zgrozą uprzytomniłem sobie, iż coraz bardziej gustuję w plugawych uczynkach, będących tylko chwilą i zapatrzonych w chwilę; zupełnie, jakby nie

istniała żadna przyszłość i nic więcej nie czekało za progiem... Epikurejskie „carpe diem” niczym pułapka, odbierało mi jasność sądu. Gdzie podziwiał się dążenia, którym jeszcze parę tygodni temu oddałbym siebie wraz z duszą? W tej godzinie nic nie miało wartości. Pośród otaczającej ohydy nawet poezja Burstena zyskiwała na poziomie. Zrozumiałem rzecz elementarną: piękno i brzydota, życie i śmierć nigdy nie występowały oddzielnie, zawsze połączone, zlane w jedno i, niekiedy, jakże trudne do rozróżnienia! Ponadto w świecie podłości i obrzydli—
twa, istniała swego rodzaju rzetelność. W pewnym sensie nie sposób było gościom hrabiego odmówić budzącej szacunek perfekcji. Nawet ów, zebrzący o litość grubas, znajdował tu swoje miejsce; odrobina szyderstwa przydawała orgii podniecającego smaczku...

Opanowało mnie niezdrowe, chutliwe podniecenie: z wypiekami na twarzy patrzyłem na gołe dziwki, tarzające się w zwierzęcej krwi i resztkach jadła i na brzuchatych panów, łowiących swe piszczące partnerki w pętle, ukręcone z jelit. Jeśli w piekle czekała nas, grzesznych, większa emocja, gotów byłem uznać, iż jest ono ze wszech miar zajmujące...

Raptem posłyszałem cichy, jadowity szept, który przeniknął me otumanienie: — Pilnuj się! Pamiętaj o zobowiązaniach i nie próbuj uciekać od odpowiedzialności!

Czym prędzej rozejrzałem się po szalejącej sali, nie dostrzegając wszakże nikogo, kto chciałby mnie przed czymkolwiek przestrzegać. Za to kilku rozbawionych młodzieńców okrążyło mnie, namawiając do wspólnej rozkoszy.

Widziałem, jak zabawiali się między sobą, stosując najrozmaitsze narzędzia tortur. Teraz ich ciała pokrywała nie tylko zwierzęca krew. U najbliższej stojącego dostrzegłem rozciętą skórę i razy, zadane pejczem.

— Przyłączasz się? — zaproponował najstarszy, o zmysłowym, głupim obliczu. — Panowie szlachta, weźmy tego parweniusza na małe spytki!

Nim zaprotestowałem porwali mnie na ręce i wynieśli do sąsiedniej komnatki. Tam, przywiązawszy do wysokiego krzesła, wykorzystali mą, niesytą wrażeń męskość.

Zdawało się, że lecę w przepaść, na dnie której czeka chłodna toń cudownego jeziora. Pragnąłem zanurzyć się w nim, aby splukać nagromadzone plugastwo, lecz ciągle tylko spadałem, daleki od celu...

Chyba straciłem na czas jakiś przytomność, gdyż uniósłszy głowę nie ujrzałem już swych oprawców. Czyjeś ręce ostrożnie rozplątywały wiążące mnie sznury.

— Naprawdę tegoś chciał? — usłyszałem znany szept i serce podeszło mi do gardła. — Colinie, jak możesz być dla siebie tak bardzo okrutny?

Przysiągłbym, iż pochyla się nade mną Douglas Found! A może lady Margaret? Chyba więc nadal leżałem nieprzytomny, poddawany torturom przez rozpustnych kochanków.

Czułem się słaby, zupełnie, jakbym otrzymał wiadomość o śmierci najbliższego człowieka. Moje dzieciństwo (myślałem) kończy się bezpowrotnie — oto wkraczam w surowy i pokraczny okres, wiodący do dojrzałości, poza którą, jak wykrzywiona twarz grubasa—impotentą czyha starość — bezsilna i pozbawiona wdzięku...

Czy to jej właśnie lękam się najbardziej? Czy to przed nią uciekają wypiełgnowani ludzie, zadając sobie tyle poniżeń i ohydy? Co ja tu robię, na Boga! Co ja tu robię — pomocy!!!



Rozdział dziewiętnasty

Sukces Burstena rychło dotarł do gniazda rodu Widmarków i chociaż w Jarwey nadal czekano na pierwszy krok lorda Fontenbarry, baronet, swym krewkim zwyczajem, postanowił zaznajomić mnie, co sądzi o udzielaniu się pośród rekinów takich jak Goudham czy de Montfort młodzieńca, któremu — jakby nie było pomagał. Wysłał tedy umyślnego z wiadomością tylko do moich rąk; przyjąłem list bez entuzjazmu, albowiem niemal namacalnie czułem w pobliżu obecność wszędobylskiego Douglasa. Przeczytałem pełne ironii słowa, z których zacytuję fragment przekonany, iż dobrze uzmysławia on jak bezpowrotnie traci niezależność ten, który zdaje się na łaskę (i niełaskę) możnego pana.

„Colinie — pisał Widmark — dowiedziałem się, iż nie dotrzymujesz naszej umowy. Hrabia Bürsten służył nam przecie tylko w charakterze dobrej wymówki, ty zaś rozwijasz skrzydła w jego gościnnym domu... Rozumiem twoje racje, lecz nie sądz, bym je akceptował. Wiem, iż zmartwiłeś lady Margaret. Biedaczka, pisała do mnie, że ostatnio zaniedbujesz ją haniebnie. Ponad tydzień niewidzenia się z oczekującą i spragnioną kobietą to nadto, nawet dla takiego potwora jak ty! Ze mną, póki co, nie spotkasz się, ale nie dopuszczaj nadziei, że zrezygnowałem z twego mięska. Jeśli nawet trochę pohulasz — twój zysk, bylebyś tylko nie zechciał prysnąć za pieniądze, które dostajesz od tych namolnych kałdunów. Stary Widmark posiada klucz do twego zamka i użyje go w stosownym czasie. Teraz żegnaj — na chwilę i bądź dobrej myśli. Lady Margaret ciągle jeszcze jest gotowa wybaczyć ci, o ile nie wsuwasz swego ptaszka do jakiejś żeńskiej, zgrabnej dupki...”

Zjawił się także posłaniec od lorda Fontenbarry z pismami do mnie oraz hrabiego Burstena. Otrzymaliśmy listy niemal równocześnie, z prośbą o błyskawiczną odpowiedź. Hrabia nie ukrywał przede mną treści zwięzłego *demarche*, jakie lord uznał za słuszne wystosować w „zaistniałych okolicznościach”. Dla jasności przytoczę fragment:

„Drogi Burstenie, jestem wdzięczny za twą opiekę nad Colinem. Zawiodłem się jednak na londyńskich przyjaciołach, którzy mą nieobecność potraktowali jak prezent. Przykro mi, iż pozwoliłeś, aby w twoim domu usiłowano deprawować powierzone ci dziecko. Czyż w ten sposób odpłacasz moją przyjaźń? Jeśli ulegam złym językom, próbującym nas rozdzielić — wybac. Jeśli jednak usłyszałem prawdę, wówczas tylko nasze spotkanie wyjaśni do końca tę smutną kwestię. Niestety, obowiązki nadal zatrzymują mnie na wsi. Wszyscy zatem

powinniśmy czekać. Wierzę, iż dobrze zrozumiesz, co chcę przez to powiedzieć i podejmiesz stosowne starania, aby mój spokój pozostał nie naruszony. Napisałem także list do Colina informujący go o moim stanowisku. Proszę, abyś dopilnował tego chłopaka: jest roztargniony i zapewne nie zdaje sobie sprawy ze zła, jakie wyrządza nam wszystkim. Niechże przeczyta mój list i zastanowi się nad sobą..."

Pismo skierowane do mnie lord sformułował bardziej bezpośrednio i, przyznając, brzmiało chwilami niczym skarga. Byłbym się nawet wzruszył, gdyby mój pan nie uniósł się pod koniec, składając takie oto wyznanie:

„Jeśli Colin, ten niesforny młodzieniec, któremu zapewniłem przyszłość, zechce naruszyć kontrakt, w myśl którego — przypominam — należy on dalej wyłącznie do lorda Fontenbarry i winien spełniać jego pragnienia, choćby poprzez wstrzymywanie się od zaspokajania żądań tymczasowych protektorów, jeśli zatem mój Colin złamie to niepisane przyrzeczenie, uczynię wszystko, aby wrócił tam, skąd przyszedł — do gnoju, biedy i głupoty... Tak mi dopomóż Bóg!”

Lord nie szczędził także ostrzeżeń przed lady Margaret, z których jedno zabrzmiało szczególnie wymownie:

„Co się tyczy mej siostry, naruszyła ona surowy zakaz, jaki otrzymała ode mnie wyjeżdżając. Wiem, iż nadal spotykacie się u pewnej intrygantki nazwiskiem Gemple. Czyż nie dostarczasz mi powodu, chłopcze, bym zwątpił w twoją uczciwość? Pamiętaj, że lojalność, o której nigdy nie miałeś najmniejszego pojęcia, stanowi podstawę życzliwości ku tobie. Rozumiem, że podlegasz złym wpływom, wszelako natychmiast odmów widzeń z lady Margaret! Jak słyszałem ostatnio zaniedbywałaś ją... Tuszę, iż nie zmienisz tej nader słusznej decyzji!” — I cóż ty na to? — spytał Bursten — nie spuszczać ze mnie oka. — Lord Fontenbarry domaga się swej własności i chyba słusznym będzie, jeśli wspólnie zastanowimy się, co należy uczynić, aby nie przejął cię, jak to on ma w zwyczaju...

Mój hrabia nie bujał jednak w nazbyt wysokich obłokach i przemówił całkiem rozsądnie. Wzdrygałem się na myśl, że miałbym powrócić bez reszty pod opiekuńcze skrzydła jego lordowskiej mości, a Bursten, podchwytyjąc ten odruch niechęci mówił o planach jakie wiąże z moją osobą i propozycjach zgłaszanych przez Goudhama i de Montforta... Czy więc roszczenia lorda Fontenbarry nie są już mocno spóźnione? Wszak sam zrezygnował z twych usług, Colinie.

— Pozwól pan, hrabio — rzekłem z namysłem — od lorda nie należy żądać zbyt wiele... Rozstaliśmy się w tak nagłych okolicznościach, iż osad niewiedzy zatruwa nam obu dobrą pamięć o łączącej nas przeszłości. Myślę, iż zobaczymy się wkrótce, a wtedy postaram się wyjaśnić wszelkie nieporozumienia...

Bursten słuchał z lekkim pochyleniem głowy, jak gdyby podejrzewał oszustwo.

— Chcesz go widzieć? — spytał szydyczko. — I po cóż? Żeby nam zrobić na złość! Oj, Colinie — pogroził mi palcem, lecz wyraz twarzy nie wróżył nic

zabawnego nauczyłeś się grać na nasjak na klawikordzie. Wielkie ut to lord, re to baronet, mi — Goudham, fa — Bürsten, sol, la, si — cała reszta... Ale uważaj! Fontenbarremu nie brak cierpliwości, a jednak — wyrzucił cię (taka też była oficjalna wersja, z jaką przybyłem do hrabiego). Ja także mogę zrezygnować z goszczenia cię, bo... cóż mi dałeś przez ten czas? Mnie, tylko mnie, nie zaś tym dupiastym głupkom śliniącym się na twój widok?!

Zmieszałem się mocno, nie będąc przygotowany na taki wybuch flegmatycznego zazwyczaj poety. Cóż, nie starałem się uwodzić Burstena, przeciwnie, sądziłem, iż moja obecność pozwala mu zaspokajać jedynie pewne fantazje, dalekie od osobistego uczucia. Jeszcze jeden konkurent do mych wdzięków oznaczał niemały ambaras.

Na dodatek lady Margaret znalazła sposób, aby się ze mną skontaktować i niemal wymusić spotkanie. Nie będę opisywał jego przebiegu — zachowywaliśmy się oboje jak szaleni. Pod koniec, gdym zdołał nieco uładzić rozdrażnioną kobietę podała mi list, jaki lord wystosował do niej tego samego dnia, w którym napisał do mnie.

Prawdę rzekłszy brzmiał jak ultimatum:

„Siostrze, zwracam się do ciebie w krótkich słowach — natychmiast wracaj na wieś! Jeśli kiedykolwiek sądziłaś, że będę ci dłużny pieniądze, przeznaczone na posag — myliłaś się. Od dzisiejszego dnia nie dostaniesz nic, poza utrzymaniem. Jeśli trzeba — postaram się odizolować tak nieodpowiedzialną istotę. Mój wierny Douglas ma cię na oku i nie wątp, że zachowa się zgodnie z moimi poleceniami. Dlatego — ostrzegam raz jeszcze — nie czyni nic, co zmusiłoby mnie do stanowczego działania.”

— Zabiłabym tego Founda! Chłystek, którego nie sposób się pozbyć! Nawet tutaj nie daje nam spokoju! Gdzież on jest? Gdzie przebywa? Naślę na niego zbirów, którzy poderzną mu gardło! — wściekała się jaśnie pani.

Z chęcią udzieliłbym wiadomości o Douglasie, lecz poza podejrzeniami nie dysponowałem żadnym konkretnym dowodem pozwalającym odnaleźć go w miejskim tłumie. Nie zdradziłem jednak, iż kilka monet i kilka wskazówek (Królewskie Towarzystwo Nauk!) wystarczyło paru obrotnym londyńczykom dla rozpoczęcia poszukiwań...

— Najpierw zabiję Douglasa — zdecydowała lady — a potem ciebie, jeśli dalej będziesz mną pomiatał! Ty bękarcie, z piekła rodem! Siedzę tu bez grosza, zdana na łaskę starych przyjaciół, którzy patrzą na każdy kęs jaki biorę z ich półmiska! Sądzisz, że to miłe? Przypomnij sobie, w jakim celu dotarliśmy aż tutaj! Miałam sprowokować mego brata, wymusić na nim przyjazd, a potem pieniądze, pozwalające nam obojgu wyjechać! Czy pamiętasz marzenia o Francji? Co z tego zostało!

Miała rację, biedulka. Okazywałem się potworną świnią...

Skoro sytuacja stawała się dla mnie coraz bardziej skomplikowana należało uczynić wiele, aby nie poddać się zwątpieniu. Mój plan (jeśli wolno nazwać tak

kilka luźnych pomysłów) sprowadzał się do przekonania, że nie jest rzeczą naturalną, by Burstenowie, Widmarkowie, Fontenbarrowie, Goudhamowie, de Montfortowie i tyłu, tyłu innych bezkarnie uprawiało swój nieczny proceder tuż pod bokiem króla! Cóż by poczęli, gdybym zechciał opowiedzieć światu w jaki sposób zabawiają się między sobą? Dziwiło mnie zawsze, że ich niewątpliwe przestępstwa uchodzą uwadze władz. Znana awantura w Fontenbarrys House (kiedy to aresztowano wraz ze mną jedynie służbę i dziwki) potwierdziła, jak trudno udowodnić cokolwiek możliwym... Lecz co innego doniesienie do straży miejskiej złożone przez zirytowanego sąsiada, a co innego szczegółowe wyznania głęboko skrzywdzonego młodzieńca! U kogo jednak zawczasu poszukać wsparcia, kto udzieli opieki i obrony na czas walki? Moja myśl coraz częściej zwracała się ku kościołowi...

Dlaczego? W nad wyraz niespokojnym świecie tylko kościół ze swym dostojenstwem i niewzruszonością jawił się jako gwarant praw ostatecznych. W Dekalogu, którego nauczyła mnie matka, nie było miejsca na oszustwo: ów dostojny tekst mówił zatem o rzeczach niebywałych. W kościele pokładałem swą ufność, to on miał dopomóc w wyzwoleniu z parszywych okowów, albowiem — głoszący tak niezgodne z praktyką życiową ideały — istniał, kwitł, potężniał; słowem — zgadzał się na całe, ziemskie zło! Był zatem najwyższym kłamstwem — użytecznym dla mnie i mych zamiarów.

Nie sądzicie proszę, by tak cyniczne rozumowanie świadczyło o skrajnym zepsuciu. Przeciwnie: nie chcąc dłużej przestawać z ludźmi myślącymi i postępującymi w okropny sposób, musiałem, po raz ostatni!, uciec się do podstępów i zdrady.

Zapewne oskarżam się nazbyt niesprawiedliwie. Moje „ofiary” nie zasługują bowiem na aż tak czule potraktowanie... Kogóż bowiem krzywdziłem, komu wyrządzałem szkodę? Jakże nazywać ich ofiarami, skoro to oni właśnie trudnili się napastowaniem, niszczeniem i brukaniem niewinnego młodzieńca!

Bronią przeciw potworom było wyznanie — szczerze i bezlitosne... Spowiedź, jak u konfesjonału, szeptała do ucha, ale i w serce człowieka, chcącego mądrzej spożytkować, aby wiarołomstwa lordów, baronetów i hrabiów nareszcie okrzyknięto zbrodnią! Cóż mogliby uczynić, jakie kłamstwa zaofiarować, jakimi pieniędzmi sypanąć dla zatuszowania swoich występków? Och, posiadali zapewne ogromną moc, ale nie przeciw krzyżowi! Ten symbol (jak mniemałem) stojący ponad całym złem świata ostatecznie złamie ich pychę...

A kto wznosił miecz sprawiedliwości? Mały Colin, adorowany i sprzedawany bez umiaru, obdarzany jedną, drugą błyskotką i plugawiony na potęgę wedle kaprysu, zachcianki, fantazji szlachetnego pana... Spowiedź — ta najgorętsza z form przyzywania Boga na świadka i sędziego, a zarazem intymne odwołanie się do sprawiedliwości ludzkiej zbrojnej komżą i pastorałem otwierała niewiarygodne możliwości — zemsty i nagrody. Bo przecież (przekonywałem sam siebie) walczyłem nie tylko na rachunek, wystawiony za własne poniżenie, ale również

ujmowałem się za każdą z istot, kupowanych na targu próżności i występku. Lokajów, wykorzystywanych w niecznych praktykach przez obojga państwa, dziewczyn zmuszanych do prostytucji, dzieci, trzymanyh za kawałek chleba, by wzniecały namiętności starców, zwierząt poddawanych torturom obcowania z ludzkim pożądaniem. W tej liczbie znajdowała się Fanny, pensjonariuszka wesołego domu matki Ancley, znanego powszechnie jako „Zajazd pod Kupidy—nem”. Z usług tego zakładu korzystał również — dla uświetnienia swych wieczorów — hrabia Būrsten i Fanny ponownie zjawiła się w moim życiu...

Nasze powtórne spotkanie przebiegało niemal sentymentalnie. Dziewczyna wspominała mnie przez ubiegły rok tak często, iż chyba nie mogłaby mnie już zapomnieć... Nie zakochała się; charakter jej pracy wykluczał podobny wypadek, przecież odczuwała rodzaj siostrzanej tęsknoty za kimś, kto dał jej chwilę złudzenia.

Uprzytomniłem sobie, że i moje uczucia rozpałały się na myśl o tej krótkiej miłości. Powtórzyliśmy tedy wszystko od początku ku obopólnej rozkoszy. Na koniec zapytałem odurzoną jeszcze kochankę o pastora „Szczyłka”; jego groteskowa postać, znana jedynie z relacji Fanny, nie dawała mi spokoju. Okazało się, iż pastor nadal odwiedza zakład matki Ancley i jest tym milej przyjmowanym gościem, iż ostatnio wspiał się na wysoki szczebel duchownej drabiny — został osobistym sekretarzem biskupa Westminsteru!

Czyż trzeba było czegoś więcej? Przyjazny zbieg okoliczności i tym razem skracał drogę do celu. Niewiele zastanawiając się poprosiłem Fanny, aby odpowiedziała sposób, dzięki któremu pastor okazałby się choć odrobinę zobowiązany do wysłuchania mej gorącej prośby. Wspólnie ze sprytną dziewczyną ustaliliśmy plan działania. Nie obeszło się bez małej sumki dla madame, odpowiedzialnej za dyskreję wobec szczególnie szacownych klientów. Gdy wzięliśmy i tę przeszkodę Fanny zainscenizowała spotkanie ze „Szczyłkiem”. Jako niespodziewany uczestnik mogłem rozkoszować się zaiste farsową sceną, która od progu rozbawiała do łez.

Kościsty, niewysoki mężczyzna klęczał obejmując od tyłu wypiętą ku niemu dziewczynę (ach, jakże podniecająco wyglądała Fanny w tym obleśnym uścisku!) i energicznie wsuwał... nos między jej pośladki. Krótki, lecz zadziwiająco szeroki członek tryskał obfitą strugą, gdy jego właściciel niemal ginął w zaokrąglonym zadku. Z tego schronienia pomrukiwał wojowniczo; wystrzelawszy się, ani na chwilę nie utracił zadzierzystej ochoty. Gdy zdawało się, iż zatchnie się z braku powietrza, wy dobył zaczerwioną twarz i szerokim jęzorem począł wylizywać szparę, w której zażywał tak przyjemnych doznań...

Dziewczyna chichotała, a pastor nie przerywał wykonywanej skrupulatnie czynności, póki cały zadek nie załśnił niczym lustro. Wówczas osunął się pomiędzy jej rozstawione stopy i mierząc kciukiem w kobiece łono zażądał rzeczy, sprzeciwiającej się naturze. Tymczasem Fanny z niezmaconym wdziękiem spełniła owo żądanie kąpiąc kochanka... w urynie! Leżąc, rozkoszował się

ciepłymi strumykami spływającymi wzdłuż torsu i raz po raz zanurzał dłoń w niestrudzonym źródle podniecającej cieczy. Po upływie kilku minut zbeszczeszczone i wyraźnie szczęśliwy gotował się już do nowej próby...

Tym razem sięgnął po spleciony z mocnych linek sznur, zawiązany pośrodku na dwie pętle w sposób, umożliwiający przesuwanie ich wobec siebie. Jedną zacisnął na mosznie, drugą wokół nasady członka. Wręczywszy końce Fanny rozkazał szarpać je na przemian w takt ognistej melodii. Gwizdał przy tym na złożonych w ryjek wargach. Dziewczyna podrygując tyłeczkiem i przestępując z nogi na nogę wykonywała do tej melodii rodzaj osobliwego tańca. Patrzyłem z niedowierzaniem, jak skrępowany i targany z niemałą siłą organ sługi bożego nabiera fioletowego odcienia, a wydłużony ponad wszelką miarę worek czerwienieje, zdając się pękać wzdłuż ostro uwidocznionego szwu. Zatopiony w modlitwnej ekstazie mężczyzna nie reagował na ból. Spiczaste pośladki tłukły natomiast o podłogę w rytm podrygów Fanny, z zaciśniętych zębów wydobywał się już nie gwizd, lecz syk, nie przypominający niczego, com dotąd słyszał! Dziewczyna pracowała bez wytchnienia; pierś ofiary rozdymała się, szerokie żebra niemal przebijały pergaminową skórę, a wpadnięty brzuch kłosał, coraz bardziej przyrastając do kręgosłupa. Na niedostrzegalny dla mnie, lecz zrozumiały dla obojga znak, Fanny tyłem weszła na tę nieociosaną ludzką deskę i posuwając się wzdłuż lędźwi udeptywała wszelkie nierówności, aby na koniec postawić stopę na szyi obłąkańca. Cały czas podrywała nieszczęsny sznur i tortura trwała nieprzerwanie. Twarz mężczyzny stawała się straszna — język, wysunąwszy się spomiędzy krzywych, żółtych zębów przybierał liliowy kolor, podobny temu, którym od dawna szczycił się eksplodujący krwią członek. Teraz spomiędzy warg wychylał się drugi penis, jak w malowidłach przedstawiających czartów zlatujących się na sabat. Również Fanny upodabniała się do złośliwej rusałki, składającej na ustach trzepoczącego się topielca pierwszy i ostatni pocałunek!

W tejże chwili pastor uniósł wzrok i zobaczył mnie — zamarłego z otwartymi z podziwu ustami... Nie byłem zdolny do wykrztuszenia przygotowanych na tę okazję słów! Wówczas ze zdeptanej gardzieli duchownego dobiegł szept, który zabrzmiał jak pozdrowienie szyderczego przypadku:

— Czego, u diabła, wytrzeszczasz gały, *mio caro*?



Rozdział dwudziesty

Niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie: czy prostolinijnie dążę do celu? Czy nie oszukuję i nie zwodzę tylko dla przyjemności jakie daje kłamstwo? Czy też decyduje o nim wyłącznie pożytek, jak spodziewam się osiągnąć?

Zazwyczaj nie udzielałem łatwej odpowiedzi, gdyż byłyby niczym rozgrzeszenie mordercy przeżywającego wyrzuty sumienia. Na usprawiedliwienie miałem świat, przymuszający do działań podłych i sprzecznych z naturą... Czy w takich warunkach piękne przymioty ducha mogły rozwijać się bez zakłóceń? A może tak ceniona uczciwość w ogóle musiała obywać się bez wzniosłych atrybutów, gdyż zginęłaby marnie? Aby przetrwać — broniła się wybiegiem, podstępem, zdradą.

Zadecydowałem walczyć bronią mych wrogów. Była nad podziw skuteczna, gdyż przemawiała do tchórzliwych serc.

Oczywiście, gryzł mnie potężny wstyd. Wyrzuty sumienia spędzały sen z powiek, opuścił mnie apetyt, miewałem przywidzenia i lęki, świadczące o tym, że przeżywałem swą decyzję jak ciężki, może niewybaczalny grzech. Ale cóż począłoby na moim miejscu chłopak, któremu młoda arystokratka groziła wytrzebieciem, gospodarz — wylaniem na ulicę, oddalony opiekun — rewanżem za popełnione (chyba tak!) zdrady, a jego rywal — zwyczajną chłostą... żadna z tych propozycji nie nastrojała zbyt wielkim optymizmem; myślałem więc jedynie o obronie — tyleż skutecznej, co gwarantującej bezpieczeństwo.

Albowiem nawet w więzieniu (cóż za okropna wizja!), zarówno lord, jak hrabia i baronet, bez większego trudu potrafiliby wybić mi z głowy wszelką myśl o wnoszeniu oskarżeń. Wystarczył większy grosz dla strażnika, by znaleziono mnie zadławionego własną koszulą. Zimna cęła byłaby więc przedwczesnym grobem!

Przeto zwracałem się ku Bogu, orędownikowi maluczkich, i do jego ziemskiego mandatariusza - kościoła. Tylko blisko ołtarza, w szerokich ramionach pastora, mogłem zachować ufność, iż przeżyję rozpętaną wokół zawieruchę.

Na razie szukałem komitywy z Beniaminem Hinsleyem, vel „Szczyłkiem”. Ów duchowny zapewne nie rozmawiał z Panem o filozoficznych zagadnieniach bliskich jego młodzieńczemu powiernikowi, ale za to umiał omamić rozsądnych mieszczuchów niezwykle rozmodloną pozą. Uchodził nawet za świętobliwego i — zaiste — nabrałbym się na jego nieskałaność, słuchając kazań z ambony

Opactwa. Jako sekretarz biskupa wykazywał się sumiennością — był niczym opoka w gospodarstwie, którego dom stanowiła westminsterska katedra. W ramach swych obowiązków nadzorował także Hospicjum św. Wita, stojąc na czele zarządu, złożonego z rajców i miejscowych kupców. Wkrótce dał mi poznać z jakich przyczyn ochoczo udziela się w pracy na rzecz schronienia dla obłąkanych.

Myślę, iż „Szczylek” zdawał sobie sprawę ze wszystkich przywar, jakie nieustannie szarpały jego ciało i nie dawały spać sumieniu. Nie potrafiąc opędzić się od pokus wkrótce uznał, iż najlepszym sposobem pozbycia się ich jest zaspokojenie. Cele hospicjum oglądały więc brzydkie wyczyny Hinsleya, w których bezwolny udział przyjmowali więźniowie własnych urojeń — kobiety i mężczyźni, żyjący w zwierzęcym stanie.

Moje towarzystwo pastor przyjął jak zrządzenie boskiej łaskawości. Ciężała mu samotność w uprawianiu grzesznych praktyk i rad był czynić to wspólnie z młodym człowiekiem, na którego przerzuciłby choć część winy. Niemal skwapliwie otworzył przede mną hospicjum przypominające więzienie, dzięki okratowanym drzwiom i oknom. W dużych, ogólnych izbach zamknięto bez dostępu światła grupy mężczyzn i kobiet. Tych, którzy zachowywali się agresywnie trzymano w maleńkich celach. Na nasz widok wyli potępieńczo, tłukąc ciałami o ściany.

— *Apaga satanas* — mruczał Hinsley przypatrując się ryczącym potworom. — Wiesz, Colinie, diabeł ma kilka wcieleń, a jednym z nich jest na pewno wariat. Wariat tym różni się od czarnoksiężnika, iż nie uświadamia sobie wstąpienia weń sukkuba, podczas gdy czarnoksiężnik doskonale wie o tym, i potrafi z tego nieźle skorzystać... O, ten tutaj, chłop na schwał cieszył się powszechnie dobrą opinią. Rymarz, ojciec rodziny, bardzo pobożny... Jest tu już trzy lata i nadal się nie uspokoił!

Potężny, młody jeszcze mężczyzna o dzikim wyglądzie zarośniętej twarzy przeżył wychudzone ciało, nie osłonięte niczym przed wzrokiem ciekawskich.

— Czasami wydaje mi się — perorował Hinsley — iż normalni ludzie są stokroć bardziej szaleni od tych biedaków...

Nie przeczyłem, zwłaszcza, że postęпки samego pastora skłaniały do podobnych zastrzeżeń.

Wprowadził mnie do celi schludniejszej niż inne i, zamknąwszy drzwi, podszedł do wyrka, na którym spoczywała istota całkowicie przesłonięta burym kocem. Uniósłszy jego rąbek dał mi poznać, że znajdujemy się w miejscu odosobnienia złotowłosej dziewczyny, odzianej jedynie w lekką, prostą koszulę.

A to przypadek szczególnie — uprzedził, wielce zadowolony. — Czy dałbyś wiarę, że ta pięknotka uwodziła mężczyzn na prawo i lewo, aby ich ranić, a niektórych wręcz okaleczać? Szczególnie upodobała sobie starców, łasych na taki kąsek. Wreszcie pozbawiła męskości pewnego para nożycami do strzyży owiec!

Złotowłosa istota uśmiechnęła się promiennie, ukazując drobne zęby.

Mówią, że diabeł zasmakował w kobiecym podołku — ciągnął Hinsley, uważnie obserwując dziewczynę — i mówią też, że najbardziej niebezpiecznym dla mężczyzny jest spotkanie z nim właśnie tam, bez możliwości obrony...

— Pastorze — roześmiałem się — czyżby miał pan ochotę spróbować?

Hinsley nie stracił powagi i namaszczonym głosem odrzekł:

— Nie ryzykuję bez potrzeby... A i twego ptaszka, młodzieńcze, rad bym oszczędzić... Od czegoż jednak mamy wariatów, czekających bezprzytomnie swej godziny! Mały eksperyment odpowie na nurtujące nas wątpliwości.

To rzekłszy podszedł do drzwi i uderzył w nie pięścią. Po korytarzu przetoczył się dudniący, donośny pogłos. Za chwilę rozległo się człapanie stróża i szczękający dźwięk ciągniętych po klepisku łańcuchów. Drzwi otwały się ze zgrzytem i do celi wepchnięto młodzieńca, którego nogi skuwało żelazo. Pызata gęba stróża zajrzała ciekawie i omiółwszy wnętrze chytrym spojrzeniem wymamlała:

— Ale nie dłużej niż godzinę, wielebny. Pamiętajcie, młodego potrzebuję do dokładnego rachunku!

Widząc moje zdziwienie pastor wyjaśnił, że w hospicjum liczy się pensjonariuszy tuż przed zachodem słońca, w przekonaniu, że ilość gąb winna zgadzać się z ilością wydanego przed południem pożywienia...

— Ale któż tak naprawdę to sprawdzi! — westchnął niby melancholijnie i mrugnął do mnie łobuzersko. — Jimmy — zwrócił się do stojącego z opuszczonymi rękami młodzieńca — masz tu kobietę taką, jakiej pragnąłeś — czystą i bardzo chętną...

Głos Hinsleya, przypominający gdakanie starego rajfura, sprawił, że z pozoru obojętny chłopak ożywał; sztywna z brudu koszula załamała się na jego brzuchu tworząc całkiem okazały namiocik. Zbliżywszy się, pastor uniósł ją w górę, obnażając przyrodzenie chłopca.

— Niewinne i czyste — orzekł — przypatrując się z lubością sinoczerwonej pałce, zakończonej u nasady rozciągniętym i obficie owłosionym workiem. — Czy znamy organ bardziej precyzyjny i działający sprawniej od tej laski Mojżesza?

Ciało młodzieńca zwinęło się jak oparzone pod wpływem lubieżnych spojrzeń wielebnego i szalonej dziewczyny. Trudno orzec, czy wzrok wyrażał więcej ognia i napastliwości... Jednakże tym razem spełnienie przypadło wariatce. Krótki łańcuch, przytwierdzony do obroży na jej szyi uniemożliwiał spotkanie tych dwojga, póki chłopak nie przystąpił kilku kroków.

Doskonale, Jimmy — pochwalił Hinsley — weź się za nią i nie żałuj sobie!

Wariat z gardłowym okrzykiem skoczył na sprężone w oczekiwaniu ciało. Smukłe, dziewczęce dłonie o długich paznokciach zacisnęły się na jego pulsujących od wysiłku pośladkach, rysując na białej skórze krwawe pręgi. Nie zważając na ból parł nieustraszenie, wypełniając kobietę posuwistym ruchem, który przejmowała ochoczo, zespalaając się w jednym, wspólnym rytmie.

Gdy zdawało się, iż pospieszny akt dobiega końca, dziewczyna sięgnęła po moszną chłopaka i, wydobywszy ją, poczęła nacinać drżącą skórę ostrymi jak noże paznokciami. Z gardła ofiary wydarł się jęk, wszelako krwawa operacja nie przeszkodziła obojgu dopełnić rozkoszy.

Legli wyczerpani, nie próbując obdarzać się zwykłą w takich okolicznościach czułością. Hinsley i na to posiadał stosowną teorię.

— Są jak psy, które sparzywszy się, gryzą się i warczą na siebie — orzekł, zwracając mą uwagę na odpychający wyraz twarzy dziewczyny. — Zmysły — ciągnął — decydują o naszych czynach. My, ludzie normalni, usiłujemy powściągnąć żądze i wydaje się nam, że potrafimy usidlić je pomiędzy rozsądkiem a obrzydzeniem. Ale gdy brakuje owych dwu klamer, nic już nie wstrzymuje rozpasania!

Patrzaj! — szeptał nachylając się nad leżącymi — na te dwa z pozoru martwe ciała! Nie ma w nich myśli, tylko uśpiona żądza. Zachłysłeni się nią i wyczerpali — na jedną małą chwilę. Gdy znów odżyją pragnienia, dotyk obojga przekaże im sposób, w jaki natrą na siebie w poszukiwaniu ekstazy. Wystarczy zaczekać, a znowu ruszą do tańca, jakby spotkali się po raz pierwszy!

Czekaliśmy więc i pastor nie omylił się. Tym razem dziewczyna nie poprzestała na krajaniu paznokciami mocno już pokiereszowanej moszny. W jej prawej dłoni niespodziewanie błysnął kawałek szkła i, zanim zdołałem krzyknąć, zagłębił się w bezbronny i drgający mięsień. Chłopak zmarł z bólu; Hinsley nie spieszył z odsieczą. Podbiegłem i wyrwałem mordercze szkło z rąk wariatki, kalecząc się przy tym. Zbryzgany własną i chłopaka krwią zażądałem od Hinsleya wyjaśnień.

— Czyżbyś pan pragnął zguby tego nieszczęśnika? Przecież jest on jak zwierzę, a cóż ono winne własnej ohydzie?

Pastor uśmiechnął się z wyższością i wycelowując we mnie wskazujący palec odparł:

— Nie przedstawiłem dotąd naszego szaleńca: oto Jimmy Rakarz, oberwaniec z Heli Street, który gwałcił kobiety metalowym drągiem... Ten sam — przyświadczył tryumfalnie, kiedym wzdragał się na dźwięk imienia, wywołującego szczególnie dreszcz grozy. — Mówisz, że jest zwierzęciem... Oczywiście, ale dopiero teraz przywrócono go wspólnej nam naturze. Dopiero w murach hospicjum osiągnął zwykłą sprawność psa, rzucającego się na sukę!

— I jakież stąd wnioski? — spytałem, pomagając Jimmiemu zwlec się z łoża. Krwawił obficie, podczas gdy dziewczyna zachowywała całkowitą obojętność.

Spójrz — zawołał tryumfalnie pastor — oto kwintesencja kobiety! Zgwałcona, odplaciła samcowi kastracją i już nie wie, co było najpierw. Jest brzuchem i ostrzem, broniącym brzucha, łaknieniem i stróżą wzbraniającą picia! Oto czym jest diabeł w kobiecie. A może to kobieta jest diabłem...?

Wyglądał jak obłąkany, z rozwianym włosiem i szcerwieniłą twarzą, z której biła prorocza pewność.

— Niestety, czas na mnie! — ocknął się, goniony licznymi obowiązkami. — Jeśli chcesz, możesz tu pozostać, ale strażnik nadejdzie lada chwila!

Nie zdradziłem najmniejszej chęci przebywania sam na sam z nieszczęśnikami, w których Hinsley tchnął pożądanie i okrucieństwo, równie mechaniczne co pozbawione uczucia... Tych dwoje nie posiadało duszy, do której mogła zapukać prawdziwa żądza i prawdziwa nienawiść. Kimże byli? Dwa nagie ciała pozbawione świadomości celu dla jakiego Bóg powołał je na świat...

Wychodziliśmy długim korytarzem zapełnionym, jak zwykle w porze posiłku, fantastycznymi postaciami szaleńców o łagodnych, niemal miłych ruchach, przechadzających się od ściany do ściany lub stojących w osłupieniu — bezbronych wobec własnego wariactwa i wariactwa tych, którym przypadł w udziale nadzór nad tym domem. Pastor zacierał ręce, zadowolony z udanego pokazu. Sądził, że wywarł na mnie dostateczne wrażenie, bym akceptował jego sposób życia.

Ale ja szukałem innego sposobu potwierdzenia, że mój nowy mentor rzeczywiście należy już do świata zabawek, jaki budowałem dla siebie bardzo starannie, krok po kroku, płacąc cenę najwyższą — szacunku dla samego siebie.

Po kilku równie odrażających eksperymentach skreśliłem list na adres przewielebnego biskupa Westminsteru. Wręczyłem go Hinsleyowi wiedząc, iż poświadczy wszystko, com tam opisał. Nie był to donos, lecz wyznanie, nie skarga nawet, ale spowiedź. Jeśli bowiem „Szczylek” nie uczestniczył we wszystkich wspomnianych przeze mnie orgiach (a okryłem milczeniem te, rozgrywane się w hospicjum), to przecież był wystarczająco przestraszony wizją czekającej go kary. Wierzyłem, iż nie zawiedzie mych oczekiwań i dałem mu pojąć, że tylko szczerza sympatia, jaką we mnie wzbudził, powstrzymuje mnie od zdradzenia jego niecznych praktyk. Upewniłem go, albowiem szalał z niepokoju, iż stosunkowo tanim kosztem wywinie się od odpowiedzialności, o ile zaręczy za mą prawdomówność. On sam, surowy i akuratny sekretarz, już wcześniej miał doniesienia o rozgrywających się pod boki króla bezeceństwach. Rok temu na dworze lorda Fontenbarrы aresztowano wynajęte prostytutki. Od tamtego czasu orgie rozpowszechniły się za sprawą hrabiego Burstena, lorda Goudhama i księcia de Montfort. Nazwiska tak szacownej szlachty powtarzały się wśród klienteli najbardziej zaprzalych zamtuzów. Hinsley poznał osobiście upadłą kobietę o imieniu Fanny (otrzymała ode mnie trzy funty), będącej przedmiotem rozpusty wymienionych wyżej arystokratów.

Nie posłużyłem się nazwiskiem Widmarka... Nie wiem, przeoczenie, czy chytryść? Zapewnie nie do końca przenikałem konsekwencje mej gry, jednakże uznałem, że nie należy pozbywać się od razu wszystkich argumentów. Kilka warto zachować na później...

Teraz pozostawało mi tylko czekanie. Umiliłem je sobie w ramionach lady, zadowolonej, a nawet szczęśliwej, iż znowu miała mnie tylko dla siebie. Biedulka! Czyż mogła przypuszczać, że wkrótce posłużę się i jej osobą dla zdemaskowania

stokroć ohydniejszej afery, która wstrząśnie Londynem, a moje imię wyniesie na usta wszystkich?

Droga lady Margaret, czekająca swych pieniędzy od skąpego brata, ani przez moment nie byłaby zdolna wyobrazić sobie, że piękny francuski brzeg stanie się dla niej ostatnią ucieczką przed ludzką wzdardą i potępieniem, a fundusze, których wyglądała, zasilą kieszeń jej młodocianego kochanka. Przyszłość wyglądająca tak niewiarygodnie miała się ziścić zaledwie w jeden, wiosenny miesiąc, tak jak w jedną noc przyływ morza, powodowany luną, potrafi zmienić granicę między wodą a lądem...



Rozdział dwudziesty pierwszy

Przewielebny Amilcar Bishop — biskup Westminsteru mógł uchodzić w tych czasach powszechnego zepsucia za wzór cnoty i czystości. Mówiono, iż jako młodzieniec odzegnał się od bogatego małżeństwa zapewniającego mu wspaniałą karierę. Wolał poświęcić się Bogu, przyjmując swe początkowe ubóstwo niczym wyraz łaski. W tym względzie pozostał nieugięty i gdy szczególne przymioty umysłu i serca zapewniły mu westminsterski pastorał, nadal trzymał się skromnych, wręcz ascetycznych zasad, nie korzystając z biskupiego pałacu, złotej zastawy i niemałego za jego porzednika dworu. Złe języki doszukiwały się u nowego biskupa objawów sknerstwa, lecz większość miłujących go parafian nie żywiła wątpliwości, że Bishop oddałby ostatnią koszulę potrzebującym. Jakoż, zasłynął z dobroczynności, obdarowując hospicja i przytułki, łożąc na darmową supelkę i podarunki świąteczne dla ubogich. Ów mąż słusznego wzrostu, lat średnich, pogodnego obejścia i przenikliwej inteligencji przeczytał mą spowiedź, a wezwawszy swego niezawodnego sekretarza Hinsleya (jakimże doskonałym łgarzem był „Szczyłek”) spytał, co mu wiadomo o tej sprawie.

Nie przeczę odrzekł Hinsley — iż posiadam informacje bezpośrednio od młodzieńca, zwracającego się w tak dramatyczny sposób do waszej przewielebności. Młodzieńca, ośmielał się zaznaczyć, o wielkich talentach i niewątpliwych przymiotach ducha i ciała. Słyszając o jego przejściach uznałem za najstosowniejszą suplikę do władz kościelnych, albowiem fakty zdają się wielce kłopotliwe i niebywałe... Rzecz tyczy najwybitniejszych nazwisk królestwa. Byłyby w tak haniebny sposób pogrążone w odmętach występku?

Amilcar Bishop wysłuchał godnej mowy sekretarza (jak zwykle, tak i tym razem nie zawiódł się na człowieku, któremu szczerze ufał) i postanowił, z zachowaniem należytej dyskrecji, wezwać mnie do złożenia świadectwa prawdy. Zważywszy na drażliwość kwestii obaj duchowni na razie nie wtajemniczali nikogo więcej.

Wieczorem stanąłem przed obliczem biskupa i czystym głosem opowiedziałem historię swego życia. Kiedym zakończył, Bishop załamał ręce i z wielkim smutkiem wykrzyknął:

Gdyby ów młodzieniec, któremu tak dobrze z oczu patrzy, mówił całą prawdę, świat pękłoby na dwoje, a wszelkie plugastwo, ukryte dotąd pod powierzchnią, wpełzłoby na świat! Złym jestem kapłanem! U mego boku szerzy się zaraza, a ja, niczym zegarmistrz, widzę jeno maleńki fragmencik pięknego

mechanizmu, jakim jest życie. Czy zasłużyłem na gorycz, płynącą choćby z domniemania tak wielkich zbrodni, popełnianych na młodych istotach? Pan, w swej mądrości, wymierza mi karę, albowiem nazbyt pysznie sądziłem, że odrobina ładu zapanowała nareszcie w mieście występku, Londynie! Jakież głupiec ze mnie, jakież głupiec!

Tu wypada powiedzieć, iż jedyną słabością Amilcara Bishopa był teatr i sposób, w jaki bohaterowie sztuk wystawiali się ze sceny. Biskup, będąc złotoustym z natury, przejął teatralną manierę, która w niczym nie zaszkodziła jego reputacji, przeciwnie, kazał z ambony niczym Bóg Ojciec, posługując się gładką frazą i wspaniałymi porównaniami...

Gdy nieco ochłonęliśmy, Hinsley ośmielił się zwrócić uwagę na konkretne trudności, związane ze złożeniem wiadomego oświadczenia. — Chłopiec gotów jest zaprzysiąc je na krzyż!

W duszy Amilcara Bishopa toczyła się teraz prawdziwa bitwa pomiędzy obowiązkiem chrześcijanina a obawą, iż potężne siły, broniące szlacheckiego honoru uniemożliwią jakąkolwiek rozprawę. Wybornie rozumiałem rozterkę biskupa, wszelako bez wątpienia wierzyłem, iż znajdzie stosowne rozwiązanie. Jakoż zaczął naradzać się z Hinsleyem; dyskusja trwała długo, ale przyniosła owoce. Sporządzono pisemne potwierdzenie zawartych w liście zarzutów, a następnie zasiadłem do ułożenia spisu ewentualnych świadków... Raz jeszcze wymieniałem Hinsleya, potem służących — Emmę, lokajczyka lorda Thackereya i kapitana straży, który aresztował mnie pod Fontenbarrys House ponad rok temu. Byłem pewny, iż nikt nie zatai bezwstydnich szczegółów. Zwłaszcza, że to „Szczylek” miał odebrać zeznania...

Pierwsza rozmowa z biskupem wywarła na nas obu korzystne wrażenie. Toteż wkrótce Hinsley zaprosił mnie ponownie w progi wielebne. Tym razem dysponowaliśmy oświadczeniami dziewczynek „Spod Kupidyna”, a także żołnierskim raportem oddziału, który zapakował nas do więzienia Fleet. Strażnicy dobrze pamiętali okoliczności aresztowań i — za sprawą Hinsleya — uzupełnili oficjalny tekst wielu spostrzeżeniami, wskazującymi niedwuznacznie na rzeczywisty charakter odbywającego się w Fontenbarrys House „przyjęcia”. Ponadto wyszło na jaw, iż do straży miejskiej wielokrotnie już docierały wiadomości o orgiach urządanych przez grupę szlachetnie urodzonych osób, wśród których — o zgrozo! — znajdował się także sędzia i prokurator Londynu...

Amilcar Bishop polecił zdwoić wysiłki, aby nieoficjalne śledztwo wypełniło wszelkie wymogi oskarżenia. Wobec ujawnionych okoliczności nie zwrócono się do jurysdykcji; kościół uruchomił potężną, ukrytą machinę, aby przemówić w moim imieniu i napiętnować grzeszników...

Nasze spotkania z biskupem stały się częstsze. Nigdy nie dane mi było przestawać z człowiekiem o równie czarującym cechach. Jego stanowczość, oddanie sprawie i bezgraniczna obiektywność czyniła zeń wybitnego męża,

powołanego do wielkich, państwowych zadań. Gdy mu to mówił, odpowiadał z wielką skromnością:

— Pochlebiasz mi chłopcze, lecz czynisz to w sposób tak rozsądny, iż nie odczuwam gniewu. Rozmowa z tobą sprawia mi dużą przyjemność, a i ty, jak widzę, nie stronisz od pogawędek. Wielce żałuję, iż zetknęliśmy się za sprawą ponurych i karygodnych wydarzeń. Społeczność nasza nie obroniła cię i nie pospieszyła z pomocą, gdyś jej najbardziej potrzebował; wypada przeto, abym prosił cię o przebaczenie. Lecz i ty, w swym młodym sercu musisz nauczyć się przebaczać...

Opowiedziałem tedy biskupowi o mękach, jakie przezywam, wrywany z rąk do rąk, o bezwzględnym posłuszeństwie, wymaganym przez mych właścicieli i o wstręcie, jaki budzą we mnie ci mali, utytułowani ludzie... Wielebny słuchał z litościwym zrozumieniem, póki nie zaatakowałem szlachty.

— Nie oskarżaj herbów o całą podłość! — sprzeciwił się. — Nie dołączaj do tych, którzy rewolucją chcieliby zmieść z tego świata porządek rzeczy ustanowiony przez bożą mądrość! Czyż bardziej cierpiełeś od plugawego lorda, niż pijanego opryszka? Pamiętaj, iż skrzywdzili cię po prostu ludzie i tylko oni, zwłaszcza w swych sumieniach, muszą ponieść prawdziwą karę.

— Jakże tu wierzyć w sprawiedliwość, skoro w rękach mych oprawców jest cała władza? — wątpiłem.

Bishop rozpostarł nade mną dłonie w geście błogosławieństwa i niezrównanym głosem, mogącym przekrzykiwać pioruny, głosił:

— Bóg, Najwyższy Sędzia, nie pozostawi cię bez nadziei. Wierź, a będzie ci dane... Cierpliwości, młodzieńcze, czas twej ostatniej próby zbliża się!

Na te słowa wszedł do komnaty zaaferowany Hinsley, aby donieść, iż upadłe kobiety z pewnego zakładu, wymienionego przeze mnie, potwierdzają wielokrotne uczestnictwo w orgiach zarówno u Fontenbarrów jak Burstena, czy Goudhama...

— Sodoma i Gomora! — zakrzyknął biskup z wielkim przejęciem. — Jeśli tak — dziej się wola boża!

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Przedłożono świadectwa radzie biskupiej, ta zaś wystąpiła o niezwłoczne przesłuchanie dwóch lordów i hrabiego. Zawezwano więc lorda Fontenbarrów do Londynu...

W tym trudnym czasie Hinsley ofiarował mi swój niewielki domek na schronienie przed ciekawskimi oczyma. Sprawa, choć prowadzona w najściślejszej dyskrekcji, poczyniała zjawiać się pod postacią pogłosek wśród londyńczyków. Mimo całej ostrożności nie powiódł się szlachetny zamiar prania brudów bez publiczności...

Kiedym tak czekał, spoglądając na schludny ogródek pastora Hinsleya, wyobrażałem sobie uczucia mych możnych przyjaciół. Bursten, zapewne, będzie próbował udawać głupka, potem załamał się pod naporem faktów. Lord zniesie oskarżenia z godnością i nikt nie usłyszy od niego przyznania się do jakiej—

kolwiek winy. O Goudhamie nie miałem wyrobionego sądu; chyba spróbuje płacić (otrzymał nie.dawno spadek), a kiedy to nie poskutkuje, oskarżę komiltonów...

Przez kilka dni żyłem w odosobnieniu. Trwało wytężone gromadzenie dowodów i rozmowy z obwinionymi. Swe zainteresowanie zgłosił królewski dwór. Amilcar Bishop musiał uchylić nieco rąbka tajemnicy przed zaprzyjaźnioną z nim królową—matką. Wrażenie było ponoć ogromne, szlachetna pani wpadła w rozpacz, doszło do interwencji doktora. Nic dziwnego, skoro niegdyś ojcu Burstena osobiście wręczała Order Podwiązki!

Hinsley, co wieczór, składał mi sprawozdania. Lord przyjechał niemal natychmiast, ale też list władz kościelnych musiał go poruszyć do głębi. Domagał się widzenia ze mną, wszakże Bishop odmówił takiej konfrontacji. Moje słowa znalazły potwierdzenia u licznych świadków (okazało się, iż służba bywa niezwykle rozmowna) i sam dziwiłem się, że ową prawdę podzielało naraz tak wiele osób! Pośród znajomych biskupa zyskiwałem błyskawiczną sławę i ogromnie starano się o moje wejście do roznamiętnionego od pogłosek towarzystwa. Bishop zachował nieugiętość. Im dłużej pozostawałem nieznany dla świata, tym pewniej brzmiały słowa mej dramatycznej spowiedzi.

Dla niewiadomych przyczyn jej fragmenty znalazły się w niepowołanych rękach i Londyn zapoznał się z nimi w postaci naprędce drukowanych ulotek. Ludzie, z dnia na dzień, otrzymywali znakomitą okazję dla pomstowania na szlachtę!

Mniej więcej dwa tygodnie od pierwszego kontaktu z Bishopem przeżyłem najryzykowniejszą przygodę. Do cichego domku Hinsleya wdarł się zamaskowany mężczyzna z wyraźnym zamiarem... zasztyletowania mnie.

Uratowałem się (po raz kolejny!) za sprawą łaskawego przypadku. Napastnik, nieświadom rozkładu pokoiów, skierował się na prawo do saloniku, podczas gdy ja zwykłem zajmować mniejszy pokój po lewej stronie. Zwabiony hałasem wyszedłem na korytarz i tam właśnie zderzyłem się z poszukującym mnie mordercą.

Przyznam, iż w pierwszej chwili nie spostrzegłem maski na jego twarzy. Prawdę rzekłszy wyglądał dosyć pocziwie; wziąłem go tedy za woziwodę. Już chciałem wskazać miejsce na odstawienie stągwi, gdy mężczyzna schwycił mnie za gardło! Napad tak mnie zaskoczył, iż nie stawiałem oporu. Gdybym wówczas otrzymał cios — padłbym trupem. Ale morderca przybył tu z bardziej perfidnym zamiarem. Przed zgładzeniem pragnął uzmysłowić nam obu przyczynę, dla której żegnam się ze światem...

— Ty mała źmijo! zasyczał tak znajomym głosem, iż gdyby nie paraliż strachu, roześmiałbym się prosto w jego zadarty nos! Nie zwracając uwagi na mój bełkot ciągnął dalej:

—Nie chciałeś uznać swych praw i obowiązków! Otrzymałszy wszystko, w zamian za małą usługę, niewiele znaczący gest! Wiesz dobrze, iż to ja

odpowiadam przed lordem za tak niewdzięczne zachowanie! Wybornie skorzystałeś z uczuć, jakimi darzyliśmy cię, lord i ja! Colin, och serce...! Nic już nie uczynisz, poza złem... Postanowiłeś się mścić, i sam wybrałeś jak najgorzej!

To mówiąc Douglas skierował w mą pierś ostrze sztyletu. Jego dłoń zdrząła, a przez ciało przebiegł głęboki szloch...

W tejże chwili w drzwiach prowadzących na dwór pojawił się wytęskniony woziwoda. Dostrzegłszy w półmroku szczipione sylwetki zagadał gderliwie. Nim Douglas sprzążył się do ciosu — kopnąłem go w podbrzusze, jak mogłem najcelniej. Zwinął się z bólu i upadł na kolana.

Współ z woziwodą spętailiśmy Founda i zamknęli w spizarce. Rychło przybyły konstabl odstawił go na posterunek.

Czyż muszę opisywać skutki nierozważnego czynu bibliotekarza? Przesłuchiwany, oświadczał, iż działał samotnie. Jednakże związek z domem Fontenbar—rych nie pozostawał dla nikogo tajemnicą. Za parę dni pojawiły się ulotne druki zniesławiające lady Margaret, potem — samego lorda.

Skandal zataczał coraz szersze kręgi. Mimo wysiłków biskupa oraz królewskiego dworu moja sprawa wymknęła się spod kontroli. Wyczyn Douglasa przepelnił czarę i teraz ludzkie języki miały decydować o dobrym imieniu kilku najprzedniejszych rodzin królestwa!

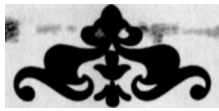
W otoczeniu Bishopa i królowej matki zrozumiano, iż umiar jest najlepszym sposobem wyciszenia londyńskiej hałastry. Zdrową myśl poddał pastor Hinsley; ja, ze swej strony, również nie nastawałem na gwałtowną zemstę. Liczyłem jedynie na wyrównanie strat i moralną podporę, tak istotną dla młodzieńca, wykazującego duże aspiracje. Wezwany przed oblicze wielbego biskupa raz jeszcze złożyłem zapewnienie, iż wykażę rozsądek i chrześcijańską powściągliwość. Toteż stosunkowo łatwo przyszło mi uzyskać dużą kwotę tytułem zadośćuczynienia. Pomnożono ją w dwójnasób, dzięki sympatii biskupa. Gdy zniknęła kwestia pieniędzy pozostało zadośćuczynienie moralne... Związana z nim propozycja, wydała się zrazu nazbyt śmiała nawet dla popierającego mnie Hinsleya:

— Chcesz, tak po prostu — — zostać szlachcicem? Ot, pstryknąć palcem i otrzymasz herb... A gdzie twoje dobra rodowe, Colin?

Nie obraziłem się na „Szczyłka”; nie miał biedak dosyć wyobraźni, by pojąć rozmach zamysłu.

Wieczorem odwiedził nas Amilcar Bishop. Najwyraźniej przynosił wiadomość szczególnej wagi, skoro zrezygnował z widzenia się ze mną w biskupim pałacu. W ten sposób, przy zachowaniu zupełnej dyskrecji, uzgodniliśmy ostateczne stanowisko.

Colin, syn Agaty z Kew, mógł spodziewać się, iż wyszywany złotem strój szlachecki, podarowany mu ongiś przez lorda Fontenbarry nie będzie tylko barwnym przebraniem!



Stałem na pokładzie brygu unoszącego mnie do wybrzeży Francji. We mgle wiosennego poranka ginęły białe skały Dover. Dziób żaglowca, zwrócony ku Calais, rozcinał ołowiane wody Angielskiego Kanału. Skwir mew krążących nad grottopsem spadał na nielicznych podróżnych kulących się na pokładzie. Wiał przenikliwy wiatr, osadzający na włosach szklisty i słony szron.

Żegnaj, stary kraju!

Witaj wolności!

| W bogato wypchanych kufrach wiozłem tytuł szlachecki. Zbyt długo musiałbym wyjaśniać, skąd wziął się ów znakomity rodowód. Wspomnę jeno księcia de Montfort, którego zasługą jest znalezienie stosownej procedury i rodziny, która mnie usynowiła.

Mały Colin — popychle, naczynie rozkoszy i krnąbrny sługa wielu panów — jednak zwyciężył! Na mych piersiach spoczywały listy polecające i kwity bankowe, które pozwalały zwiedzać świat bez troski o przyszłość. Wyjeżdżałem daleko i nie zamierzałem wracać. Z pokładu statku całe moje życie zdawało się brzydką, pozbawioną treści, plotką. Byłem jej bohaterem jakby przypadkiem i z ulgą ustępowałem miejsca innym. Zapewne, miał kto mnie zastąpić! Na drabinie szczęścia pozostawiałem niezliczonych Colinów, kaleczących się i spadających, aby — mimo wszystko — wspinać się! W odwiecznym trudzie tacy jak ja pokonywali drogę wiodącą ku wolności. Zdobyłem ją własnym i cudzym kosztem, licząc mój osobisty ekspens stokroć wyżej, niż gwinee rzucone przez możnych panów. Żadne złoto świata nie wynagrodziłoby przebytych upokorzeń!

Radowałem się wolnością w sposób, na jaki było mnie stać.

Teraz wypadało zapomnieć o przeszłości...

3 April 17.. r.

P. S. Pisząc te słowa skrępowany byłem tajemnicą, jaką nad wyraz szczęśny obrót losu nałożył na mnie, wedle światłej przestrogi księcia de Montfort: nie mów zbyt wiele! Toteż zdaję sobie sprawę, iż Czytelnicy moi pozostają w nieświadomości wielu spraw, które ich zaciekały. Dajcie mi przeto lat pięć. Po tym okresie zasiądę do pisania, aby donieść Wam o losach człowieka, który potrafił wykorzystać swą szansę. Czytajcie tedy „Zapiski pięknego hultaja”, taki bowiem tytuł położę na nowym tomie swych wspomnień!

